

Gracjan Bojar-Fijałkowski

O księżniczkach,
zbójcach,
karzełkach i...

wybór
pomorskich
legend



Koszalińska Biblioteka Publiczna
im. Joachima Lelewela

Gracjan Bojar-Fijałkowski

O księżniczkach, zbójcach, karzełkach i...

wybór
pomorskich
legend

Koszalin 2012

Publikacja sfinansowana dzięki pomocy:

Zakładu Elektronicznej Techniki Obliczeniowej Spółka z o.o. w Koszalinie
Gdańskiej Wyższej Szkoły Humanistycznej Filia w Koszalinie
Miejskiej Energetyki Ciepłej Spółka z o.o. w Koszalinie
Miejskich Wodociągów i Kanalizacji Spółka z o.o. w Koszalinie

Koncepcja graficzna książki:

Barbara Wysmyk

Ilustracja na okładce:

Jakub Roś, Zespół Szkół Sportowych w Koszalinie

W książce wykorzystano fragmenty prac plastycznych:

Klaudii Smorawskiej, Kamili Pietraszek, Mateusza Chołuja, Jakuba Kucaba, Olafa Śniocha,
Nikoli Borzemskiej, Roksany Stachnik, Michała Kałużnego, Piotra Pruszyńskiego,
Martyny Krzemienieckiej, Wiktora Musyta, Hanny Gronek, Igi Karpińskiej, Kacpra Kasprzaka,
Jakuba Murala, Sylwii Staniaszek, Igi Jednoralskiej, Krzysztofa Rosińskiego, Marty Rychter,
Aleksandry Burzak, Tomasza Grygorowicza, Agnieszki Statkiewicz, Jakuba Witczaka,
Oliwii Cybulskiej, Piotra Burzaka, Niny Kuchty, Jakuba Jędrzejczyka, Macieja Zarzyckiego,
Malwiny Sitarek, Igi Paczkowskiej, Mateusza Michalczyka, Zuzanny Kin, Julii Mikulskiej.

Wydawca:

Koszalińska Biblioteka Publiczna
im. Joachima Lelewela

ISBN 978-83-87317-80-5

Layout, DTP:

Mariusz Król, www.vidoque.eu

Druk:

Zakład Poligraficzny POLIMER w Koszalinie,
www.drukarniapolimer.pl

Słowo wstępne

Baśnie, podania, legendy i ludowe opowieści sięgają rodowodem najdawniejszych czasów. Towarzystwo ludziom w ich radościach i smutkach, obrzędach i zwyczajach, na co dzień i od święta. Mimo różnych zawirowań historycznych, mimo zmieniających się władców ludność Pomorza wierzyła, że uciekając w świat fantazji i uludy przetrwa szarość dnia powszedniego, że baśniowy biedak stanie się bogaty, chory w cudowny sposób ozdrowieje, a księżniczka spotka wreszcie ukochanego i oczekiwanego kandydata na męża. I nie przeszkodzą im w tym ani złe duchy, ani groźni zbójcy grasujący w tej krainie puszczy, nieprzebytych lasów i bagien.

Czasem niektóre z postaci czy zdarzenia mogą przypominać znane już opowieści ze Śląska, Warmii i Mazur czy Opolszczyzny. To wątki wędrownie, pojawiające się w tego rodzaju twórczości. Jednakże zawarte w tym zbiorze są rodzime, związane z Pomorzem, choć inne były koleje losu Pomorza Gdańskiego, nierozdzielnie związanego zawsze z Polską, a inne Pomorza Zachodniego, gdzie żywioł słowiański był przez wieki tępony.

Legendy i opowieści dotyczą konkretnych miejsc, które można zobaczyć, odwiedzić. Można więc poczekać nad jeziorami na karzełki – a nuż się ukażą? Stanąc na moście nad Łupawą, zaczerpnąć wody z cudownego źródła na Świętej Górze Polanowskiej, odwiedzić ruiny starego zamku w Drahimiu czy posłuchać dźwięków dzwonów nieustannie uciekających.

Prosta literacka forma i wspaniałe, oryginalne ilustracje wykonane przez dzieci powinny przynieść satysfakcję Czytelnikom, a także wiele korzyści z poznawania legendarnych dziejów Pomorza.

Całość zbioru podzielona została na trzy części. Jedna zawiera legendy związane z Koszalinem i okolicami, druga z pojezierzem świdwińsko-drawskim a trzecia z ziemiami zamieszkałymi przez Kaszubów. Niektóre z legend jeszcze nigdy nie były drukowane.

Książka ta ma uczcić setną rocznicę urodzin naszego Ojca. I zapewne nie powstałaby, gdyby nie wrażliwość i chęć pomocy ze strony Wydawcy, czyli Koszalińskiej Biblioteki Publicznej, jej dyrektora, pana Andrzeja Ziemińskiego oraz jej pracownic – pań Anny Marcinek-Drozdalskiej i Jadwigi Wysokińskiej, a także Sponsorów – prezesa Zakładu Elektronicznej Techniki Obliczeniowej, pani Weroniki Kazimierowicz-Kobierskiej, prezesa Miejskiej Energetyki Ciepłej, pani Grażyny Bielawskiej-Cieśla, dyrektora Miejskiego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji, pana Janusza Łodzieńskiego. Osobne podziękowania chcemy złożyć panu Wiktorowi Usikowi, kanclerzowi Gdańskiej Wyższej Szkoły Humanistycznej – uczelni krzewiącej idee związane z człowiekiem, jego duchowością i kulturą.

Anna Bojar-Fijałkowska
Zbigniew Bojar-Fijałkowski
Czesław Bojar-Fijałkowski

Koszalin, jesienią 2012 roku



Upiór z Suchej – Wiktor Marszałek, kl. I, „Nasza Szkoła” w Koszalinie

Upiór z Suchej

Zebrało się kilku w kącie podwórza, tuż za węgłem stajni. Ramię przy ramieniu, głowa przy głowie. Rozmawiali szeptem, rozglądając się uważnie na wszystkie strony..

– Widziałeś go, jak bił?

– Nie... Słyszałem tylko, jak wrzeszczał na cały głos, aż się po całym podwórzu rozchodziło. Potem jechał galopem przez pole, co koń wyskoczy.

– Diabeł, nie człowiek! Żeby za takie głupstwo...

Umilkli na chwilę.

– Chłopak nie wyżyje nawet do wieczora. A taki był zawsze wesół...! Kobiety mówiły, że mu ciągle krew przez usta bucha.

– Ej, dola to nasza parobczańska! Panu wszystko wolno. Nie spodoba mu się coś, oćwiczyci batem, nawet zabije i nic mu za to nie będzie.

– A może by tak sołtys... do Koszalina... przecie jest chyba jakaś sprawiedliwość? Żeby tak człowieka zabić?

– Głupis! Myślisz, że on tam nie ma swoich? Jest sprawiedliwość, a jakże! Tylko inna dla panów, a inna dla nas.

Jeden z nich spojrział w głąb podwórza i szturchnął pozostałych.

– Uważajcie, idzie kulawy Franc! Jak coś usłyszyci, zaraz doniesie.

Rozeszli się chyłkiem, każdy do swojej roboty.

Od tej rozmowy upłynęło kilka tygodni. Przewidywania parobków sprawdziły się co do joty – pobity przez dziedzica pastuch zmarł po kilku dniach. Urządzili mu pochówek bez żadnego rozgłosu, tak zwyczajnie, i na tym się skończyło. Wkrótce też ludzie przestali gadać, bo mieli dość własnych kłopotów na głowie.

Pewnego dnia sołtys wraz z Maćkiem poszli do Koszalina. Chcieli rozpytać się w mie-



ście, co by się stało, gdyby złożyli w sądzie skargę na dziedzica z Suchej. Dowiedzieli się, że nie warto zaczynać, bo i tak pan wygra i jeszcze do tego będzie się na nich mścił. Wrócili więc do domu markotni i zniechęceni.

Zbliżał się wieczór. Zostawili już za sobą miejskie rogatki. Droga wznosiła się nieco pod górę. Szli obaj zamyśleni, nie spiesząc się wcale. Zmęczenie odebrało im chęć rozmowy, a trochę i pamięć o nieszczęśliwym chłopaku zamykała usta. Taki był zawsze wesół, uczynny, nikomu złego słowa nie powiedział... Doprawdy, trudno było o nim zapomnieć.

Droga biegła teraz wśród leśnych drzew – z brzegu rzadkich i niskich, dalej smukłych, splatających się konarami. Przechodzili u podnóża Góry Chełmskiej. I wtedy to nagle Maćko zobaczył na wzgórku pośrodku drogi jakąś nieruchomą postać. Było w niej coś dziwnego – tak bardzo dziwnego, że nie pozwalało odwrócić wzroku.

– Patrzcie, sołtysie! Ktoś stoi przed nami na drodze jak słupek! – powiedział trącając starego łokciem.

Obaj stanęli i przyglądali się dobrą chwilę.

– Rzeczywiście – potaknął sołtys. – Ani się ruszy.

Podeszli jeszcze bliżej – postać wciąż stała nieruchomo i co najdziwniejsze, wydała im się znajoma.

– Kto to może być? – zastanawiał się Maćko. – Wygląda, jakbym go gdzieś widział.

Nagle obaj ze zdumienia szeroko otworzyli oczy, a skurcz przerażenia chwycił ich za gardła: była to jak żywa postać zmarłego pastucha! Na sobie miał odświętną kapotę, w której go pochowano, patrzył prosto przed siebie, a jego skrzyżowane na piersiach ręce miały woskowy trupi kolor.

– Nie...nie...odejdz w pokoju – mamrotał sołtys zbielełymi wargami. Chciał się przeżegnać by odpędzić upiora, lecz nie mógł unieść ręki.

Tymczasem zjawa znikła tak, jak się ukazała, po prostu rozplynęła się w powietrzu. Wystraszeni przyjaciele wzięli się pod ręce i szybkim krokiem poszli w stronę domu, oglądając się co chwila za siebie. Ale upiór pastucha nie pojawił się więcej.

Wiadomość o spotkaniu z upiorem szybko rozeszła się wśród mieszkańców Suchej. Od tej pory z nastaniem zmroku ludzie zamykali się w mieszkaniach i nie wychodzili na dwór aż do wschodu słońca. Ponieważ jednak upiór zabitego pastucha nie ukazał się nikomu więcej, zaczęto sobie potem żartować z przywidzeń sołtysa i Maćka.

Tymczasem w pałacu dziedzica pewnej burzliwej nocy ktoś nagle zaczął pukać do okna pokoju, w którym spały jego dzieci. Powtarzało się to regularnie – coraz silniej, coraz głośniejsze. Dzieci budziły się ze snu i przestraszone biegly ciemnymi korytarzami do pokoju rodziców.

Początkowo dziedzic Suchej uważał to wszystko za nocne majaczenia, kiedy jednak w końcu sam usłyszał niesamowite pukanie, postanowił położyć kres tym – jak uważał – wybrykom. Wezwał więc do siebie kilku stróżów i powiedział:

– Od dzisiaj co noc będziecie pełnić służbę wokół pałacu tak długo, aż przychwycicie obwiesia, który śmie zakłócać mi spokój. Kto pierwszy zauważy i złapie go na gorącym uczynku, tego nagroda nie minie. Niech przyprowadzi go do mnie bez względu na porę, już



ja się z nim rozprawię!

Podobny rozkaz wydał również dwóm służącym, które przez całą noc miały czuwać w dziecinnym pokoju.

Wszyscy stróże i obie służące czuwali pilnie nie tyle dla przypodobania się panu i uzyskania nagrody, ile z prostej ludzkiej ciekawości. Wraz z nastaniem ciemności wszyscy słyszeli wyraźne: puk...puk...puk... – aż do nadejścia świtu, ale nikomu nie udało się zauważyć sprawy tych hałasów.

Wkrótce do owych wydarzeń dołączyły się inne. Dzieci w pałacu oprócz różnych potraw dostawały na kolację ziemniaki w mundurkach. Gdy wraz z boną przychodziły do pokoju, by spożyć posiłek – ani jeden ziemniak nie leżał na talerzu, natomiast znajdowano je obite i rozrzucone po całym pokoju.

Wszystko to wzbudziło w dziedzicu niepokój. Widząc, że zwykłymi środkami nie może sobie dać rady, pojechał do Sianowa, by zwrócić się o pomoc do tamtejszego pastora, który podobno umiał poskramiać nieczyste siły.

Pastorowi wielce pochlebiało zaproszenie bogatego i wpływowego ziemianina. Toteż nie zwlekał i natychmiast udał się do pałacu, by zostać tam przez całą noc. Kazał sobie przynieść do dziecinnego pokoju wygodny fotel, wziął w ręce Biblię i zaczął się modlić w skupieniu.

Wszystko było w porządku, póki nie nastąpiły ciemności. Kiedy odezwało się pukanie w okno, pastora obleciał strach. Zerwał się z miejsca i zaczął żegnać krzyżem wszystkie kąty pokoju, odmawiając przy tym modlitwy.

– Precz, duchu przeklęty... precz! – wołał głośno, a pot kroplisty wystąpił mu na czoło. – Zgiń, przepadnij siło nieczyste!

Nic nie pomogło. Ktoś łomotał w okno z taką siłą, jak gdyby miał zamiar wysadzić je z futryn.

– Precz do piekieł! Uciekaj! – wrzasnął pastor i sam wziął nogi za pas.

Rozgniewał się dziedzic jeszcze bardziej i postanowił sprawę raz na zawsze zakończyć.

– Nie pomogły modlitwy pastora – rzekł do służby – może poradzi ktoś inny

Wysłał furmana do Koszalina, by mu koniecznie sprowadził kata, o którym również było wiadomo, że zna czarodziejskie sztuki. Mistrz topora usłuchał wezwania i od razu przybył do Suhej.

– Wynagrodzę cię sowicie – rzekł dziedzic – jeśli wreszcie uwolnisz mnie i domowników od nocnych brewerii.

– Co się dzieje, panie? – zapytał kat.

– Jakies licha co noc puka i puka mi w okno. Wystawiłem strażę, przywoziłem pastora i nic nie pomogło. Nocne licha jak stukało, tak stuka.

Kat uśmiechnął się chytrze, bo już się od furmana dowiedział o zabiciu pastucha i spotkaniu z upiorem pod Górą Chełmską, ale nie dał nic znać po sobie. Skłonił się tylko i odpowiedział:

– Postaram się wykonać twoje polecenie, wielmożny panie. Sądzę, że mi się to uda. Daj mi tylko do pomocy jednego człowieka, poza tym nic więcej nie potrzebuję.

– Będiesz go miał za chwilę – odparł dziedzic.

Zapadła noc. Pogasły światła w oknach pałacu, we wsi też panowała cisza. Przydzielony katowi człowiek usiadł w parku pod drzewem – jak mu przykazano i czekał co się stanie. Niewiele mógł w ciemnościach zobaczyć, dostrzegł tylko, że kat przyniósł ze sobą jakiś ko-



szyk, z którym nie rozstawał się ani na chwilę. W ręce trzymał narzędzie podobne do dużego młotka.

– Nie ruszaj się stąd, póki do ciebie nie przyjdę – rzekł kat i zaczął obchodzić pałac wo-koło. W lewej ręce trzymał narzędzie, potem przełożył je do prawej, w lewą zaś wziął koszyk. Stukał owym młotkiem w narożniki pałacu tak silnie, aż iskry sypały się snopami.

– Co on tam robi? – zastanawiał się służący. Coś go popychało, by podnieść się z miejsca i przyjrzeć się z bliska tajemniczym praktykom kata. Zaraz jednak odrzucił tę myśl w obawie, by sobie niewczesną ciekawością nie zaszkodzić. Jak by nie było, w grę wchodziły tutaj jakieś nieczyste siły.

Po trzecim okrążeniu kat zbliżył się do służącego. Nie miał już w rękach narzędzia, którym tukał w narożniki pałacu, natomiast dźwigał koszyk szczelnie przykryty zwykłym płótnem.

– Weź to i chodź ze mną pod Kleszcze! – rozkazał.

Ruszyli wąską ścieżką, rozdzielającą uprawne pola. Mimo panujących ciemności kat szedł pewnie, jakby znał tutaj każdy kamień. Chłop podążał za nim krok w krok i ugiął się pod niezwykłym ciężarem. Strugi potu płynęły mu po twarzy i szczypały w oczy, a koszula przylepiała się do pleców. Strach owładnął nim tak wielki, że najchętniej rzuciłby wszystko i uciekł gdzie pieprz rośnie, gdyby nie surowy nakaz.

Na granicznej miedzy kat zatrzymał się i odebrał koszyk z rąk służącego.

– Stój tu i nie oglądaj się! – rzekł. Następnie odwrócił się plecami i coś z koszyka wytrząsnął. Zaraz potem szybkim krokiem podążyli w stronę pałacu.

Za nimi w ciszy nocnej rozlegało się niesamowite wycie.

Mylił się jednak sprytny kat, sądząc że udało mu się przy pomocy tajemnych sztuk uwięzić upiora. Mylił się także zły pan, przekonany, że odzyskał spokój.

Kilka dni później wyjechał dziedzic konno na objazd pól. Było już dość ciemno, gdy w powrotnej drodze przejeżdżał właśnie w pobliżu miejsca, gdzie kat wytrząsał tajemniczy koszyk w czasie pamiętnej nocy. Nagle koń zachrapał trwożliwie i gwałtownie zarył się kopytami w ziemię. Na granicznej miedzy stał jak żyw ów pastuch i nieruchomymi oczyma patrzył na swego zabójcę.

– Czego chcesz ode mnie? – ze ściśniętej krtani dziedzica wydobył się na pół zrozumiały charkot.

Upiór nie odpowiedział. Powoli unióś w górę obie ręce, stawał się coraz bardziej przezroczystry, aż wreszcie zniknął z oczu.

W tym momencie dziedzic zsunął się martwy z siodła na ziemię.



Wróżba Swantewita

Świątynię wypełniał rdzawy półmrok. Dookoła unosiły się smugi pachnącego żywicą dymu. Z zewnątrz dobiegał szmer ludzkich głosów, tłumiony miękkością purpurowych zasłon, spadających do samej ziemi.

Pośrodku, owiany dymem kadzideł, królował poczerńiały ze starości tors Swantewita. Ogromny, wyciosany z drewnianego pnia, unosił na barkach głowę o czterech twarzach, z których każda patrzyła w inną stronę świata. Jakaś niezwykła i groźna moc biła od niego. Lewą rękę oparł na biodrze, w prawej zaś trzymał róg z drogiego kruszcu, napełniony miodem.

Łagodna fala kołysała uwięzionymi na kotwicach statkami, lizała piasek przyładka, obmywała kredowe zbocza Rany. Wysoko, pośród zieleni drzew, kryły się zabudowania świętego grodu zwanego Arkoną.

Bujno i gwarno było tu dzisiaj. Najpotężniejszy ze wszystkich słowiańskich bogów okazał w tym roku szczególną hojność: odwrócił burze i zimne wichry, dał ludziom zbiory obfite. Toteż dorocznym zwyczajem przybyli tu Słowianie ze wszystkich stron, by oddać cześć wielkiemu Swantewitowi, ofiarować plony i poświęcone mu zwierzęta oraz prosić o pomoc i dobrą wróżbę na przyszłe czasy.

Obszerny plac w samym środku grodu wypełniał tłum ludzi. Jedni przechadzali się, inni siedzieli w cieniu drzew otaczających świątynię boga. Nie było słychać krzyków ani kłótni, handlarze zwinęli swoje kramy, na twarzach zebranych malowała się powaga, należna świętemu miejscu.

W różnobarwnym, przelewającym się tłumie zwracała uwagę grupa jakowś dostatnio ubranych ludzi. Długie brody i nieco odmienny strój świadczyły, że przybyli z dalekich stron, ale w ich zachowaniu nie można było dostrzec właściwej obcym niepewności. Dźwigali z sobą kołacz przyprawiony miodem, okrągłego kształtu i tak wielki, że prawie dorównywał wysokości człowieka.

– To kupcy z Koszalina! – pobiegło szmerem wśród zebranych. Zaraz też zrobiono im





miejsce w pobliżu wejścia do świętego przybytku. Najwidoczniej cieszyli się tu ogólnym szacunkiem, skoro dostąpili szaczonego wyróżnienia.

Zbliżało się południe. Słońce zsyłało na ziemię oddech ciepłej jesieni, a wiatr uciął zupełnie. Stopniowo milkły rozmowy, spojrzenia zgromadzonych na placu tłumów kierowały się w stronę zdobionych płaskorzeźbami wież, osłoniętych w górze czerwonym dachem. Oto nadchodzi chwila, kiedy otworzą się i stanie w nich kapłan, by oznajmić ludowi wolę bóstwa. Jakie wyroki zapadły tam, gdzie nikt spośród zwykłych śmiertelników nie ma dostępu? Co im przyniesie rok, który przyjdzie? Pokój i dobrobyt, czy może choroby lub żagiew wojny?

Tłum zastygł w oczekiwaniu.

Na słupach, podtrzymujących ramy z zasłonami, wisiały szczyty i łuki, miecze i oszczepki oraz inna broń, zdobyta przez wojowników i ofiarowana w darze potężnemu bogu. Opodal widać było siodło i uzdę, widome oznaki boskości.

Przed posągami Swantewita stał żerca w białej szacie, sięgającej do stóp obutych w rzemienne sandały. Jasne włosy spadały mu na ramiona, a cała postać wyrażała nabożne skupienie. Pochylił głowę, skrzyżował dłonie na piersiach i modlił się długo, bezgłośnie poruszając wargami. Potem wolnym krokiem zbliżył się do posągu i wyjął z ręki boga złotem nabijany róg. Gdy stwierdził, że od ubiegłego święta nie ubyło w nim napoju – uśmiech radości rozjaśnił jego zmęczoną długim czuwaniem twarz. Znak to był nieomyślny, że rok następny również przyniesie obfite plony, a nieprzyjaciół nie napadnie na spokojne zagrody kmieci. Wylał więc kapłan stary miód pod nogi bóstwa, nalał świeżego, po czym cofnął się znowu na poprzednie miejsce i tak zaczął się modlić:

– Dziękuję ci za okazaną łaskę, wielki Swantewicie! Pomnażaj plony, chroń dobytek przed zarazą, a głód i niedostatek niechaj nigdy nie zajrzą pod strzechy twego ludu...

– Dziękuję ci za mądrość, wielki Swantewicie! Niech ład i prawo zawsze panują w twoich dziedzińcach. Naucz ludzi wszelkich umiejętności. A książąt sprawiedliwego władania...

– Okaż swą moc, wielki Swantewicie! Niechaj nieprzyjaciół nigdy nie naruszy słowiańskich grodów ni wiosek. Daj ludowi siłę i męstwo, a wróg ojczyzny niech od granic pobity odejdzie...

– Wielki, czterykroć wielki Swantewicie!

To powiedziawszy, jednym haustem wychylił zawartość rogu, jakby przepijając do bóstwa, po czym szybko nalał świeżego miodu i włożył naczynie w rękę Swantewita.

Bóg stał zimny, nieruchomy, zapatrzony w daleką przestrzeń, jakby obojętny na składane hołdy.

Zaskrzypiały otwierane wieże. Szmer pobiegł falą przez tłumy i zamarł natychmiast, gdy ukazała się biała postać żercy. Stał pośrodku i rozejrzał się wokoło, mrużąc oczy od blasku słońca.

W tej chwili podeszli do niego kupcy z Koszalina, niosąc ów kołacz ofiarny. Kazał go



kapłan postawić przed sobą, tak aby go wszystek lud widział, po czym wyciągnął w górę obie ręce i zawołał donośnym głosem:

– Witajcie nam, bracia Ranowie! Witajcie wszyscy, którzyście przybyli z dalekich stron drogami lądowymi i przez morskie otchłanie, by oddać cześć temu, który jest naszym wspólnym bogiem i złożyć mu w dani trud własnych rąk.

– Chwała Swantewitowi, chwała! – rozległy się zewsząd liczne okrzyki.

– Całnocnym czuwaniem i modłami – ciągnął dalej kapłan – wzywaliśmy tego, którego cztery twarze we wszystkie strony świata patrzą, by zechciał objawić ludowi swoją wolę. I oto stało się zadość naszym prośbom. Czy wszyscy widzicie kołacz, który przede mną stoi?

– Widzimy!

– Życzeniem największego z bogów jest, abyście w przyszłym roku znowu go mogli zobaczyć. Odwrócone są od waszych krain burze i wojny, klęska nie dotknie bydła ani płonów.

Okrzyk radości wyrwał się z tysięcy piersi. Ludzie powstali z miejsc i zwrócili się twarzami w stronę świętego przybytku, wznosząc dłonie w górę na znak dziękczynienia.

Kiedy w ten sposób oddali hołd bóstwu – kapłan uciszył tłumy i tak jeszcze mówił:

– Skoro więc wola Swantewita wszystkim została obwieszczona, przeto wzywam was i upominam, szlachetni mężowie, byście zawsze pamiętali o oddawaniu należnej mu czci. A jako zwyczaj odwieczny nakazuje – każdy mężczyzna i każda kobieta niechaj złoży po jednym pieniądzu w ofierze. Nie zapominajcie również oddawać części zdobyczy wojennej, kiedy za łaską Swantewita pokonacie nieprzyjaciół na morzu lub na lądzie!

– Przyrzekamy i wierności dochowamy! – mówili ofiarnicy, oddając poświęcone bogu dary.

Potem nastąpiły przygotowania do wróżb. Na rozkaz kapłana przybiegli słudzy świętego chramu, niosąc na rękach pęki włóczni. Zgromadzeni na placu ludzie rozsunęli się tak, że od bramy świątyni aż do skraj lasu powstał wolny, szeroki pas. Tutaj słudzy ustawili potrójny rząd włóczni, skrzyżowanych ze sobą po dwie w każdym rzędzie, wbijając je grotami w ziemię. Natomiast kapłan udał się do stajni i odmówiwszy modlitwy, wyprowadził stamtąd konia o białej jak śnieg maści, upiękzonego barwnymi rzemieniami.

Przez tłumy znowu przebiegł szmer, który natychmiast umilkł, kiedy prowadzony przez kapłana koń zbliżył się do ustawionych rzędów włóczni. Wszyscy zwrócili spojrzenia na piękną zwierzę, obserwując uważnie jego ruchy. Jeśli przestąpi włócznie najpierw prawą nogą – każde przedsięwzięcie zakończy się szczęśliwie, jeśli lewą – trzeba będzie od zamiaru odstąpić.

Potem znowu zbliżyli się do kapłana kupcy z Koszalina.

– Długa nas czeka droga w rodzinne strony, a wśród bezmiarów wód liczne niebezpieczeństwa grożą. Niechaj potężny bóg, który widzi przyszłe losy, ostrzeże nas przed nimi i wskaże czas żeglugi, byśmy mogli szczęśliwie wrócić do domów.

Kapłan skinął głową.

– Stanie się, o co prosicie! – odpowiedział i powiódł konia na ustawione włócznie. Trzykrotnie białe rumak przekroczył rzędy, za każdym razem rozpoczynając prawą nogą.

Twarze pielgrzymów promieniały radością. Odsunęli się na bok, ustępując miejsca innym.

Później jeszcze wrócono z linii kreślonych w popiele, aż wreszcie rozpoczęła się uczta pod gołym niebem. Tego dnia pobożność nakazywała folgowanie sobie we wszystkim, kto by zaś zachował wstrzeźliwość, tego jako bezbożnika usuwano spośród biesiadujących.



Następnego dnia wsiedli kupcy na statek i udali się w podróż powrotną do Koszalina. Jaromir, wytrawny żeglarz i przywódca wyprawy, wiódł ich bezpiecznym szlakiem, starając się nie zgubić z oczu wąskiego pasemka lądu, rysującego się na horyzoncie z prawej burty.

Podróż przebiegała pomyślnie. Minęli już widoczne z daleka zielone brzegi wyspy Uznam, zostawili za sobą szerokie ujście Odry. Jeszcze tylko jedna noc – i nad ranem zarzucą kotwicę w jamneńskiej przystani.

Zbliżał się wieczór. Niebo na wschodzie poczerniało. Ledwie widoczna mgiełka zaczęła powlekać horyzont, w górze nad statkiem ukazały się zwiewne białe pasma.

Żeglarzy opanował niepokój. Nie pierwszy raz przecież płynęli po morzu, więc wiedzieli, że zmieniające się w oczach barwy wody i nieba zapowiadają nagłą zmianę pogody. Istotnie – morze ciemniało z każdą chwilą, stawało się granatowe, niemal czarne.

Wkrótce ostry poryw wichru zmarszczył powierzchnię wody. Rozkołysało się morze, na grzbietach rosnących fali pojawiły się białe grzywy. Statek pochylił się gwałtownie i zaraz potem zarył się dziobem w wodną górę. Naprężone liny wypełnił przejmujący świst.

– Do żagli! Zwijać! – głos Jaromira mocował się z łopotem szarpanego wichrem płótna.

Nadaremnie usiłowano wykonać rozkaz. Kilka żagli oderwało się od rei i powiewało w powietrzu jak bezużyteczne strzępy. Niebezpieczeństwo wzrastało z każdą chwilą.

– Ściąć maszt! – krzyknął Jaromir, widząc, że pierwszy silniejszy poryw wichru może wyrzucić borykający się z żywiołem statek.

Kto żyw, rzucił się do roboty. Czepiając się belek, chwytając za liny, żeglarze piłowali twardy maszt. Ciemności powiększały grozę, przelewające się masy wodne w każdej chwili groziły zmyciem z pokładu. Wreszcie po niesłychanych trudach maszt zwałił się z trzaskiem, a nadbiegająca fala zabrała go z sobą. Okręt stał się igraszką szalejącego morza.

Mijały godziny. Cichła burza. Kilku żeglarzy wychyliło się spod pokładu i usiłowowało przebić wzrokiem ciemności. Nagle ktoś zawołał:

– Widzę światło!

– Gdzie? – krzyknął Jaromir.

– Z prawej burty!

– To światło na Górze Chełmskiej! Dzięki ci, Swantewicie, jesteśmy uratowani!

– W tej samej chwili burza rozszałała się na nowo. Po kilku uderzeniach nie było już steru. Statek zaczął odpływać coraz dalej i dalej, w kierunku przeciwnym do światła.

– Jesteśmy zgubieni! – wołali żeglarza.

Rozpacz odebrała im siły i chęć do dalszej walki. Niektórzy stracili przytomność, inni z goryczą wspominali niespełnioną wróżbę Swantewita.

Brzask powoli rozpraszał ciemności burzliwej nocy. Pozbawiona steru łupina jakimś cudem utrzymywała się jeszcze na powierzchni. Fale niosły ją w nieznaną.

Jaromir otworzył oczy i ze zdumieniem rozejrzał się wokoło. Był w jakiejś ciepłej izbie i leżał na łóżku, przy którym krzatali się ludzie w dziwnych ubiorach, przypominających ni to worki, ni to obszerne suknie z grubego szorstkiego materiału.

– Dokąd przybyłem? Gdzie jestem? – zapytał.



Jeden z krzątających się po izbie ludzi nachylił się nad nim. W oczach obcego człowieka Jaromir dostrzegł wyraz życzliwości i współczucia.

– Wśród swoich, bracie żeglarzu – padła odpowiedź.

– Ale gdzie są moi towarzysze?

– Spokojnie, bracie, spokojnie! Odpocznijcie teraz, boście ledwie uszli z życiem. Jeszcze się o wszystkim dowiecie.

Jaromir zamknął oczy i podobnie jak jego współtowarzysze zapadł w głęboki sen.

Gdy po wielu godzinach odzyskali siły, dowiedzieli się, że fale wyrzuciły rozbity statek na brzeg w pobliżu Bukowa Morskiego. Tutaj cudem uratowali ich zakonnicy z klasztoru Cystersów.

Wtedy kupcy przyjęli wiarę chrześcijańską, a w podzięce za uratowanie od śmierci własnym kosztem wystawili kaplicę na Górze Chełmskiej pod Koszalinem.



O zbójcach z Góry Chełmskiej i mosiężnym rogu

Nawałnica zdawała się nie mieć końca. Gęste chmury przewalały się po niebie i pogłębiały zapadające ciemności. Wiatr wył jak potępieniec i siekł strugami deszczu, a wzbierające potoki wody rozmywały koleiny na drodze. Kto żyw, chronił się pod dachem. Nawet psa by nie wypędził w taką porę!

Tego właśnie wieczora pewien samotny wędrowiec zmierzał do Koszalina. Czuł się już bardzo zmęczony uciążliwym marszem i walką z wichrem, który szarpał na wszystkie strony chroniącą go od deszczu oponę. Szedł niemal po omacku, z najwyższym trudem odnajdując drogę.

W pewnej chwili wiatr jakby nieco osłabł, natomiast szum wzmógł się jeszcze bardziej. Podróżny zorientował się szybko, że dotarł w pobliże Góry Chełmskiej. Przyspieszył więc kroku, bowiem został mu do przebycia dość krótki wprawdzie, ale najtrudniejszy i najbardziej niebezpieczny odcinek drogi.

Ponura sława tego miejsca znana była w całej okolicy – od Słupska aż po Kołobrzeg. Tutaj w niedostępnych uroczyskach mieli swoje siedlisko różni rabusie i złoczyńcy, którzy mordowali podróżnych, zabierając wszystko, co im w ręce wpadło. W owych czasach władza książęca mocno osłabła – nie było więc siły, aby ich poskromić.

Szedł więc samotny wędrowiec z trwogą w duszy ale i nadzieją, że zła pogoda zniechęciła – być może – owych złoczyńców do urządzania nocnych zasadzek. Marzył o tym, żeby znaleźć się jak najprędzej w zacisznej gospodzie, rozgrzać się kubkiem gorącego wina i potem ułożyć się do snu w czystej pościeli.

Już widział z daleka oświetlone okna zabudowań miejskich, gdy wśród szumu wichru dobiegł do jego uszu wzmagający się zgiełk. Słychać w nim było tętent końskich kopyt, trzask łamanych gałęzi i jakieś dzikie okrzyki. Podróżny znowu przyspieszył kroku, zgiełk jednak przybliżał się coraz bardziej, aż nagle gdzieś niedaleko przeraźliwy zew rogu rozdarł powietrze. Wtedy rzucił się do ucieczki, nie zważając na błoto ani kałuże wody. Ostatkiem sił dotarł do murów miejskich i zaczął tłuc pięściami w dębowe, żelaznymi ćwiekami nabijane wrota.





O zbójcach z Góry Chełmskiej i mosiężnym rogu – Maciej Langowski, kl. V Zespołu Szkół Sportowych w Koszalinie

Po chwili, która wydała mu się wiecznością, usłyszał wreszcie odgłos kroków nocnej straży.

– Otwórzcie, na miłość boską! – zawołał wędrowiec.

– Kimże jesteś, człowieku, że się po nocy włóczysz? – odezwał się po tamtej stronie energiczny głos.

– Idę do Sławna – odpowiedział podróżny. – Wichura i deszcz zatrzymały mnie w drodze, a teraz uciekam przed zbójcami. Czy nie słyszycie, jak trąbią na rogu? Wpuśćcie mnie za bramę dobrzy ludzie!

– A może i ty do nich należysz?

– Jestem sam. Nie mam żadnej broni!

Szczęknęły zasuwki i po chwili samotny wędrowiec znalazł się w bezpiecznym miejscu. Widocznie nie był tu obcy, gdyż bez błędzenia udał się wprost do najbliższej gospody.

W izbie było ciepło i prawie pusto – jedynie na ławie pod piecem siedziało kilku młodzieńców. Sądząc z ubiorów – byli to czeladnicy, którzy spotkali się po pracy i teraz spędzali wolny wieczór przy kubkach wina, przekomarzając się z ładną lecz biednie ubraną dziewczyną – najpewniej służącą właściciela gospody.

Kiedy spostrzegli obcego człowieka, który blady i roztrzęsiony usiadł przy sąsiednim stole, przerwali rozmowę i z zainteresowaniem zaczęli się dopytywać o przyczynę jego obecnego stanu.

Podróżny opowiedział swą przygodę. Jednakże podochoceni winem młodzieńcy nie okazali mu współczucia. Przeciwnie – zaczęli z niego żartować, i trącając się łokciami wypowiadali różne uszczypliwe uwagi.

Wędrowca dotknęły prześmiewki niedowarzonych młodzieńców – nic jednak nie odpowiedział, tylko coś w myślach rozważał. W końcu podniósł się z miejsca, sięgnął ręką za pas i wyciągnął mieszek pełen pieniędzy. Potem zdjął chustę, którą miał zawiązaną na szyi. Czelnicy zamilkli i tylko przyglądali się postępowaniu obcego, który to wszystko położył na stole i rzekł spokojnym głosem:

– Całą sumę podaruję temu spośród was, kto w tej chwili odważy się pójść na Górę Chełmską i w dowód swojej obecności zawiąże na szczycie wieży tę oto chustę. Zgadzam się nawet, by – jeśli chce – zabrał ze sobą towarzysza. Proszę – kto z was się decyduje?

Pyszałkowatym młodzieńcom mocno zrzędyły miny. Z jednej strony znaczna suma pieniędzy kusila do podjęcia ryzyka, z drugiej jednak strach paraliżował chęci. Wszyscy bowiem mieszkańcy Koszalina wiedzieli o okrucieństwie zbójców – a donośny głos rogu, przy pomocy którego zwoływali się na wyprawę, często słyszano wśród nocy. Toteż oglądali się z wahaniem jeden na drugiego i nie wiedzieli, co odpowiedzieć.

Świadkiem tej niemiłej sceny była służąca właściciela gospody, która przez cały czas stała pod piecem i uważnie słuchała ich rozmowy. Wstyd jej się zrobiło za owych znajomych młodzieńców, którzy najpierw wyśmiewali obcego człowieka za brak odwagi, a potem sami stchórzyli. Pomyślała też, że oto zdarza się jej okazja uzyskania sumy, która stanowiła dla niej prawdziwy majątek. Podeszła więc do stołu, wzięła w rękę chustę i rzekła:

– Skoro nie ma wśród was odważnych – ja pójdę!

Wtedy czeladnicy zerwali się z ławy i zaczęli dziewczynie tłumaczyć, by nie narażała się na niebezpieczeństwo. Ona jednak nie dała się odwieść od powziętego zamiaru. Podróżny najpierw ze zdziwieniem, a potem z wyraźną sympatią obserwował jej zachowanie.



- Przynależem nagrodę jednemu z nich... – powiedział, zwracając się do dziewczyny.
- Ja również bylam przy tym! – przerwała mu natychmiast.
- Podróżny uśmiechnął się.
- Nie cofam swego przyrzeczenia – rozstrzygnął. – Nie mogę też zabronić ci czegokolwiek. Widzę, że jesteś dziewczyną rozsądną i odważną. Rób więc, jak chcesz!
- Dziewczyna ubrała się szybko w ciepłą odzież, na nogi zaś włożyła mocne buty ze skórzanymi cholewami. Stojąc w drzwiach gospody, obróciła się jeszcze raz.
- Czekaście na mnie przy bramie! – krzyknęła i wybiegła na zewnątrz.



Początkowo wyprawa przebiegała pomyślnie. Mimo porywów wichury szarpiącej gałęziami drzew, mimo pohukiwania sów, które przestraszone fruwały wokół jej głowy, dziewczyna na szczęście dotarła na sam szczyt Góry Chełmskiej, gdzie stała wysoka wieża, wskazująca żeglarzom i rybakom bezpieczne wejście do portu. Szybko wdrapała się po drabinie na główny maszt i przywiązała do niego chustę podróżnego.

Schodziła właśnie po ostatnich szczeblach, gdy wtem zabrzmiał po lesie przenikliwy zew zbójckiego rogu. Serce odważnej dziewczyny zamarło z przerażenia. Potykając się o korzenie drzew, smagana po twarzy pędami krzewów – biegła w dół po zboczu, chcąc jak najszybciej oddalić się od niebezpiecznych miejsc.

Nagle tuż obok ujrzała osiodłanego konia, który stał przywiązany do pnia drzewa i niecierpliwie szarpał uzdą, chcąc się uwolnić z uwięzi. Nie namyślając się ani chwili, odwiązała wodze od pnia i siadła na grzbiecie rumaka, kierując go w stronę miasta.

Teraz jednak spostrzegli ją złoczyńcy i ruszyli w pogoń. Ich pełne wściekłości okrzyki mieszały się z parskaniem koni i tętentem kopyt. Cała gromada rozsypała się półkolem, chcąc jak najszybciej dopaść uciekającą dziewczynę i odciąć jej możliwość ucieczki.

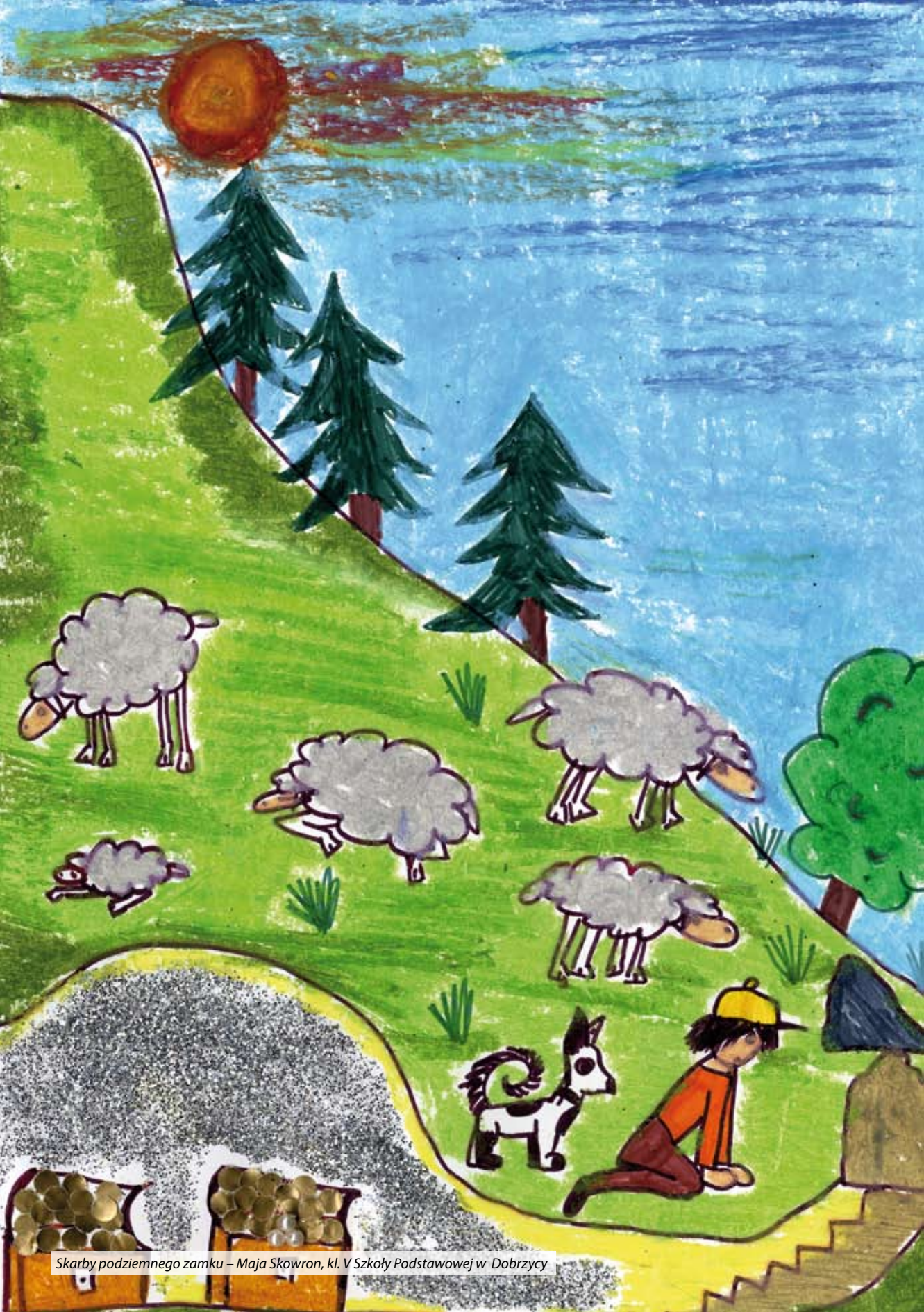


Wypadli na otwartą przestrzeń i znów skupili się zwartą grupą. Dziewczyna pochyliła się nisko nad grzywą rumaka i rwąc galopem dotarła do otwartych na oścież wrót miasta.

Tymczasem ścigający ją zbrojcy tak się zaślepili w swym gniewie, że nawet nie spostrzeżli, kiedy przekroczyli bramę. To właśnie stało się ich zgubą. Znaleźli się w ślepej uliczce miasta i tutaj zostali pojmani i wtrąceni do więzienia.

Na wieść o tym wydarzeniu zapanowała wśród koszalinian wielka radość. Zaraz następnego dnia zebrała się Rada Miejska i przyznała odważnej dziewczynie wysoką nagrodę za uwolnienie okolic miasta od zmory grabieży. Tłumnie udali się też wszyscy na górę Chełmską, gdzie zniszczono siedlisko zbrojców. Znalezione tam wiele cennych rzeczy, zagrabionych w różnych czasach – a wśród nich ogromny mosiężny róg, który odtąd przez wiele, wiele lat był używany przez strażę nocne. Jednakże jego głos nigdy już nie straszył.





Skarby podziemnego zamku – Maja Skowron, kl. V Szkoły Podstawowej w Dobrzycy

Skarby podziemnego zamku

Dzień był sierpniowy, słoneczny i upalny. Już od tygodni ani jedna kropla deszczu nie upadła na spragnioną ziemię. Zamarło miasto w rozpalonej czerwieni murów – a rozległe łąki, ciągnące się od Koszalina aż do połyskujących wód jeziora Jamno, straciły zieloną barwę. Soczyste, przetykane różnobarwnym kwieciami trawy, stanowiące pożywienie dla licznych stad owiec, stały się teraz rude, pozbawione życiodajnych soków. Tylko widoczna na horyzoncie Góra Chełmska dźwigała pod niebo swe lesiste zbocza – kusząc wszystko co żywe chłodem, panującym pod rozłożystymi konarami buków.

Zbliżało się południe, najgorętsza pora dnia. Sułek otarł rękawem pot, który obficie spływał mu z czoła i obszedł wokoło powierzone jego pieczy stado. Owce zbiły się w gromadę i ciężko oddychały. Widać było wyraźnie, że upał daje się biednym zwierzętom mocno we znaki. Niektóre od czasu do czasu schylały głowy w poszukiwaniu świeższych pędów trawy, inne kładły się na ziemi i leżały nieruchomo. A kiedy pasterz przechodził obok, wiodły za nim oczyma, jak gdyby w oczekiwaniu pomocy.

– Trzeba je zapędzić pod drzewa, niech trochę odetchną! – pomyślał Sułek. Gwizdnął na psa i ruchem pasterskiej laski zatoczył szerokie koło, wskazując mu równocześnie właściwy kierunek.

– Pogoń – no je, Bury! – zawołał.

Mądre zwierzę natychmiast zrozumiało rozkaz swego pana i po pewnym czasie wszystkie owce znalazły schronienie pod zielonym dachem. Tutaj pokładły się na ziemi i skubały gałązki krzewów.

Sułek usiadł pod pniem starego buku. Oparł się o niego plecami, zamknął oczy i nawet nie spostrzegł, kiedy zmorzył go sen. Pod zamkniętymi powiekami widział płynący strumień, a cichy poszum gałęzi wydawał mu się szmerem fal uderzających o brzegi.

Nagle obudziło go głośne szczekanie. Momentalnie oprzytomniał, zerwał się z miejsca i z niepokojem zaczął rozglądać się wokoło.

– Bury, do nogi!



Ale posłuszny zwykle pies tym razem nie usłuchał wezwania. Przystanął na moment, lecz zaraz nastawił uszy i warcząc rzucił się w pobliskie krzaki.

– Pewnie jakiś złodziej podkrada się pod owce! – pomyślał Sułek i bez namysłu pobiegł śladem Burego. – Już ja się z nim rozprawię! – groził zagniewany, ściskając w dłoni swą pasterką laskę.

Zaledwie jednak przebiegł kilkanaście kroków – zatrzymał się zdziwiony. Zupełnie niespodziewanie ujrzał przed sobą wielki kamień, ukryty w gęstych krzakach. Pies biegał wokół niego, doskakiwał z jednej to z drugiej strony i warczał zawzięcie, drapiąc ziemię pazurami.

– Czego on tam szuka? – zastanawiał się Sułek. – Przecież nie złodzieja, bo by się tam nie schował.

Zaciekawiony obejrzał kamień ze wszystkich stron, lecz nic nadzwyczajnego w nim dostrzegł. Był on podobny do innych i chyba od dawna tu leżał, gdyż nawet u dołu obrósł warstwą mchu. Żeby jednak pozbyć się resztek wątpliwości – oparł się o kamień ramieniem i spróbował ruszyć go z miejsca.

Lecz oto kamień ustąpił z niespodziewaną łatwością i oczom pasterza ukazał się wówczas dość szeroki otwór, prowadzący w głąb ziemi. Klęknął nad nim, pochylił się nisko i wtedy poczuł na twarzy wiejący stamtąd strumień chłodnego powietrza.

– To na pewno jakiś podziemny ganek! – pomyślał Sułek. Nie może być inaczej. Lecz jak to się stało, że dotychczas nikt jeszcze na niego nie trafił? Dokąd prowadzi, kto go zbudował i do jakich celów? A może to jakaś diabelska sprawa?

Usiadł nad krawędzią lochu i zaczął się zastanawiać nad dokonaniem odkryciem. Z początku zamierzał przesunąć kamień z powrotem na dawne miejsce i nie zawracać sobie głowy tą dziwną historią, lecz jednak ciekawość przemogła. Położył więc laskę w poprzek otworu i – trzymając ją oburącz – zaczął powoli zsuwać się w dół. Jeszcze ramionami i głową pozostawał na powierzchni, gdy poczuł pod nogami stopnie schodów, jak gdyby ludzką ręką wykutych w kamiennym gruncie.

Tym razem obleciał go lekki strach – że jednak był z natury młodzieńcem odważnym i silnym, postanowił opanować niemiłe uczucie i zbadać tajemnicę, którą odkrywało przed nim wnętrze Góry Chełmskiej.

Schody wiodły istotnie w głąb podziemnego korytarza. W miarę odległości od powierzchni ziemi stawał się on coraz węższy i wyższy tak, że po pewnym czasie Sułek mógł się już swobodnie wyprostować. Przy tym – rzecz dziwna – panował tu szary półmrok, w którym wyraźnie dostrzegł wydłużające się kamienne ściany o lekko chropowatej powierzchni.

Raptem schody skończyły się, Sułek ujrzał przed sobą ciężkie, kute w błyszczącym metalu wierzeje. Pokrywały je liczne płaskorzeźby o dziwnym i niezrozumiałym rysunku. Zamknięcie stanowiła zwykła prosta sztaba, którą na pierwszy rzut oka wystarczyło jedynie podnieść, by wejść do środka.

Znowu nastąpił moment zawahania: iść dalej, czy też zostawić wszystko i wracać? Sułek stał niezdecydowany, lecz w końcu energicznym ruchem ujął sztabę.

W tej samej chwili wierzeje jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki rozsypały się w proch – zdumiony pasterz stanął na progu wielkiej podziemnej komnaty. Jej ściany pokrywały wspaniałe malowidła, przedstawiające sceny polowania na nieznane zwierzęta, podobne do grzywiastych krów, lecz z wyglądu bardziej groźne – z krótkimi, zakrzywionymi do środka rogami. Między malowidłami wisiały oszczepy, łuki i przeróżna broń. Kiedy jednak spróbo-



wał zdjąć ze ściany jeden z oszczepów – ten natychmiast rozsypał się mu w rękach.

Wolnym krokiem przeszedł wzdłuż całą komnatę, starając się już niczego nie dotykać. Wokoło panowała niezmacona cisza i tylko nie wiadomo skąd płynęło łagodne światło, ukażące oczom pasterza całą wspaniałość otoczenia

Idąc dalej – natrafił znów na inne drzwi, które podobnie jak za pierwszym razem rozsypały się przy dotknięciu. Następną komnatę wypełniały bogato rzeźbione sprzęty, w głębi zaś na wysokim fotelu siedział nieruchomo dziwnie ubrany mężczyzna. Miał na sobie długą ciemną szatę – a na głowie kapelusz z szerokim rondem, przystrojonym w niezwyklej długości pióro. Musiał to być człowiek niestary, na co wskazywała krótko przyszyty czarna broda nadająca jego twarzy dostojny wyraz. W ręce, która zwisała miękko z poręczy fotela, trzymał pożąłką kartę, zwiniętą na obu końcach i pokrytą licznymi znakami.

Powoli, krok za krokiem, Sułek zbliżył się do owej postaci, chcąc dokładniej przyjrzeć się wyrysowanym na karcie znakom. Zaledwie jednak uczynił ostatni krok – wszystko rozleciało się w pył.

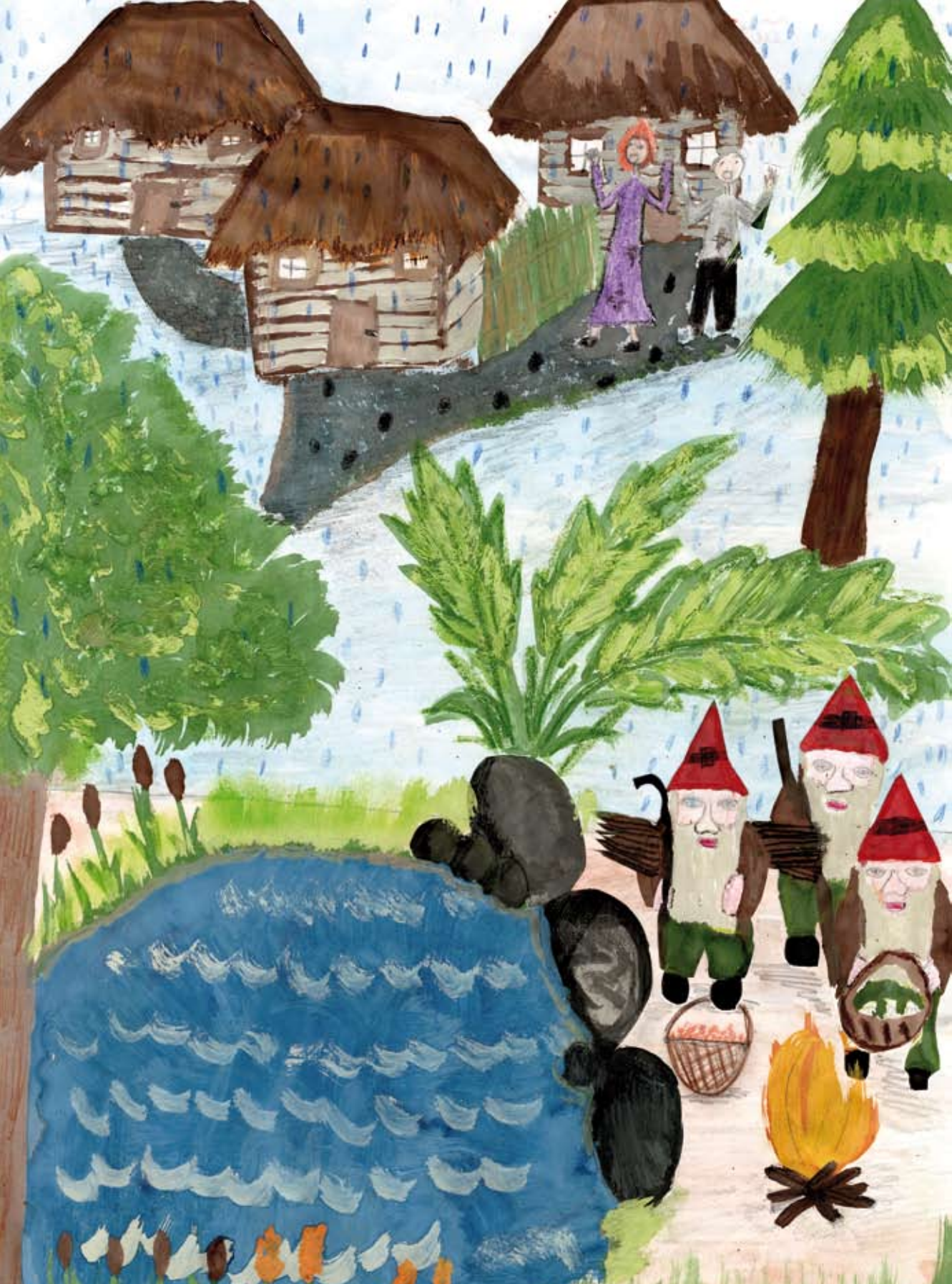
Odważny pasterz postanowił zbadać do końca tajemnicę podziemnego zamku. Poszedł więc dalej i znów natrafił na trzecie z kolei drzwi, które tym razem nie rozsypały się przy dotknięciu, lecz ustąpiły bez oporu -otwierając widok na inną komnatę.

Sułek stanął oniemiały – bowiem to, co ujrzał, mogło rzeczywiście przyprawić o zawrót głowy. Pod ścianami stały otwarte skrzynie, pełne nieprzebranych skarbów. Czegóż tam nie było! W jednych mieniły się barwami tęczy szlachetne kamienie – w innych połyskiwały miękkiem blaskiem stopy złotych pieniędzy. Pośrodku stały dębowe stoły, na których rozstawione były jak gdyby do uczty szczerozłote misy, puchary i inne naczynia.

Podszedł do jednej ze skrzyń i nappełnił garście złotymi monetami. Nie mógł ich jednak zabrać, bo nawet nie posiadał kieszeni. Postanowił więc wrócić tą samą drogą na powierzchnię ziemi i przyjść następnego dnia.

Daremnie jednak zawiedziony pasterz starał się później odnaleźć wejście do podziemnego zamku. Zniknął gdzieś ów kamień wskazujący drogę – Góra Chełmska pod Koszalinem zachowała do dziś tajemnicę znajdujących się w jej wnętrzu skarbów.





O dobrych karzełkach znad brzegów Jamna – Zuzanna Todorowska, kl. II, Zespół Szkół w Tymieniu

O dobrych karzełkach znad brzegów Jamna

Był to rok klęski i nieurodzaju. Padające przez całe lato deszcze niszczyły plony. Gniło zboże na polach i trawy na łąkach, a skoszone siano pływało w rozlewiskach wody.

Pod strzechy mieszkańców Jamna, Łabusza i innych wiosek, rozrzuconych wzdłuż morskiego wybrzeża, zadrzała bieda. Każdego ranka skoro świt wychodzili ludzie z domów i spoglądali bezradnie w górę. Wiatr gnał od morza strugi siekącego deszczu – niebo było szare, nabrzmiałe grubą warstwą chmur.

– Niedługo wszystko nam zmarnieje! – mówili między sobą. – Gdy przyjdzie zima, nie będzie chleba dla ludzi ni karmy dla zwierząt.

– Już teraz ryczą z głodu. Nie wypędzisz ich z obór w taką wodę...

– Co tu robić – pytali jedni drugich.

– Nic! Trzeba czekać, może się kiedyś wypogodzi – odpowiadano.

– Ale wtedy nie będzie co zbierać!

– Przyjdzie głód, oj, przyjdzie!

Słuchały ludzkich narzekań karzełki, które od niepamiętnych czasów mieszkały w głębi starego kurhanu przy drodze wiodącej z Jamna do Łabusza. Mieszkańcy tych stron wiedzieli o ich istnieniu i nazywali małych człowieczków Julkami. Nikt ich jednak na własne oczy nie oglądał – a to dlatego, że nie chciano zakłócać im spokoju.

Obcy człowiek, który znalazłby się przypadkiem w pobliżu owego kurhanu, nigdy by nie dostrzegł starannie ukrytych wejść, znajdujących się na wzgórku tuż pod sosnami. Wejścia te – małe okrągłe otwory – prowadziły do podziemnej siedziby karzełków.

Natomiast obcy człowiek z łatwością mógłby zauważyć niewielki staw, otoczony wokół kamieniami i położony tuż obok drogi. Nikt by mu jednak nie powiedział, że stąd karzełki czerpią wodę dla potrzeb swego podziemnego gospodarstwa.

Kiedyś przejeżdżali tędy rycerze z koszańskiego grodu i chcieli napić konie, ponieważ było bardzo gorąco. Ostrzeżono ich natychmiast, aby tego nie czynili, gdyż woda ze stawu nie nadaje się do picia ani dla ludzi, ani dla zwierząt. Omijali więc rycerze niegościnne miejsce.



Mieszkańcy Jamna i Łabusza utrzymywali w tajemnicy istnienie Julków. Nie pozwalali nawet dzieciom bawić się w pobliżu kurhanu. Dobre karzelki otaczały bowiem opieką okolicznych gospodarzy. W czasie głodu i klęsk nieraz przychodziły im z pomocą, dzieląc się zapasami żywności, zgromadzonej w podziemnych spichrzach. Dlatego po każdorazowych żniwach nie grabiono z pól wszystkich kłosów, aby niewidzialni dobroczyńcy mogli uzupełniać swe zasoby.

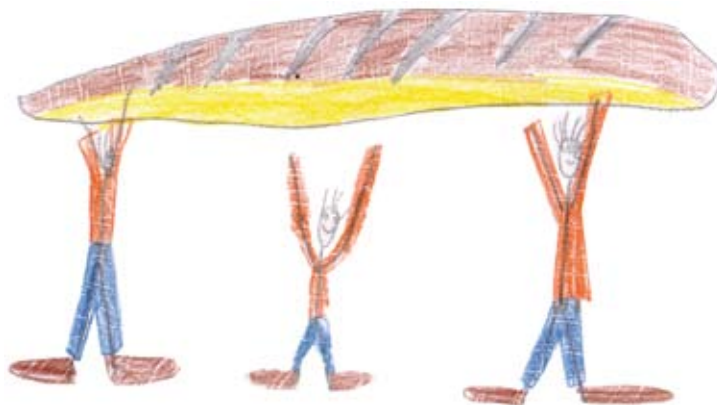
Skończył się wreszcie okres szarugi. Odpłynęły chmury, ciepłe promienie słońca osuszyły zalane wodą pola. Jednakże pogoda przyszła zbyt późno – szerniałe i porośnięte zboże nie nadawało się już do niczego, nawet na ściólkę dla bydła.. Zbiory innych płodów zapowiadały się również nie najlepiej. Wszystkim było wiadomo, że nadchodząca zima przyniesie z sobą głód.

Zebrały się więc karzelki na naradę. Wyszły ze swego oddalonego ukrycia, siadły na kamieniach otaczających staw i zaczęły rozważać, jak pomóc dobrym ludziom.

– Słuchajcie! – rozstrzygnął sprawę najstarszy z rodu Julków. – Obliczyłem dokładnie nasze zapasy. Mamy obecnie dość żywności na całą najbliższą zimę i następne lata. Pomóżmy biedakom, którzy przez całe życie ciężko pracują na kawałek chleba i nikomu krzywdy nie czynią.

– Zgoda, wszyscy się zgadzamy! – odezwały się liczne głosy. – Zawsze byliśmy ich przyjaciółmi i nie powinniśmy zostawiać ich w potrzebie.

Gdzieś w oddali dobiegł turkot wozu jadącego drogą. Julki zerwały się z kamieni i natychmiast znikły w głębi kurhanu.



Nadeszła zima. Opadły liście, zasnęły drzewa w lesie. Mróz ściał lodem powierzchnię Jeziora Jamneńskiego. Ustały prace w polu, przerwano połowy ryb. Ludzie zaczęli przymierać głodem.

Najbardziej jednak dokuczała bieda pewnej staruszce, mieszkającej na samym skraju wioski Jamno. Nie miała krewnych, żyła sama jedna na świecie. Wiek i choroby odebrały jej siły do pracy, toteż często musiała korzystać z pomocy sąsiadów, czasem nawet jałmużny.

Dobrzy ludzie pamiętali o niej. Nie tylko obrabiali kawałek jej roli, ale od czasu do czasu



ktos przyniosl kobiecie opalkę maki na placki, niekiedy nawet owinięta w płótno osełkę masła – inny znowu urąbał drewna pod kuchnię, żeby nie musiała się trudzić.

Teraz jednak było szczególnie trudno i sąsiedzi nie mieli czym się dzielić. Toteż staruszka nie dziwiła się niczemu i z pokorą znosiła swój ciężki los.

Pewnego ranka tak biedaczka zasłała, że nawet nie miała siły wstać z łózka.

– Już mi chyba zemrzeć przyjdzie – pomyślała bez żalu. Mimo to ostatkiem sił podniosła się, ażeby napalić pod kuchnią. Małe okienka były pokryte szronem i przepuszczały niewiele światła do wnętrza izby.

– Jakże mi ciemno w oczach – szepnęła. Zachwiała się na nogach i byłaby upadła, gdyby się nie wsparła o krawędź stołu. Nagle...

– Skądże się to wzięło? – zawołała drżącym głosem.

Na stole leżał bochenek świeżego chleba. Dotknęła go dłonią – był jeszcze gorący, jakby wprost z pieca wyjęty. Tuż obok niego stała miska z przegotowanym mlekiem.

Rozejrzała się wokoło, myśląc, że ktoś z sąsiadów wyświadczył jej tę przysługę. Chciała podziękować za okazaną pomoc. Ale w izbie nie było żywej duszy.

Uchyliła drzwi prowadzące do sieni. Na podłodze widać było smugi nawianego w nocy śniegu, którego nie naruszyła ludzka stopa.

Wówczas staruszka domyśliła się, komu zawdzięcza tę niespodziewaną pomoc.



Wielu jeszcze biedakom pomogły dobre karzelki. Za to następnego roku była piękna pogoda, dopisały zbiory i Julki mogły odnowić zapasy, którymi w ciężkich czasach dzieliły się z mieszkańcami Jamna i Łabusza.





Nocna przygoda drwala Marcina – Weronika Świątek, kl. III, Zespół Szkół w Tymieniu

Nocna przygoda drwala Marcina

Marcin obudził się gdzieś w środku nocy. Siadł na pościeli, ziewnął szeroko i przeciągnął się kilka razy, aż w gnatach zatrzeszczało. Czuł się dziwnie rześki, jakby spał od wielu godzin. Chciał przez okienko wyjrzeć na podwórze, lecz szyby pokrywała gruba warstwa szronu. Chuchnął więc kilkakrotnie w to samo miejsce, a następnie zdrapał paznokciem topniejące resztki. Na dworze nie było widać nikogo.

– Chyba za wcześnie wstałem – pomyślał. – Ano trudno, już teraz kłaść się z powrotem nie będę. Pójdę do lasu sam. Nim przyjdą inni drwale, będę już miał kawał roboty za sobą!

Chciał podejść do sąsiedniego łóżka, by obudzić żonę, jednakże po namyśle zmienił zamiar. Otworzył kuchenną szafkę, odkroił pajdę chleba i kawałek słoniny, zapakował to wszystko do torby, przerzucił siekiere przez ramię i po cichu wyszedł z domu.

Połna droga, prowadząca do Osiek w kierunku lasu, wrzynała się w grubą po obu stronach warstwę śniegu. Mróz skrzypiał pod nogami Marcina, który szedł różnym krokiem i pogwizdywał wesoło.

Ani się spostrzegł, kiedy osiągnął skraj lasu. Nietrudno było znaleźć miejsce pracy – na oświetlonym księżycową poświatą zboczku odcinały się ciemną barwą stopy zrąbanych gałęzi, tu i ówdzie leżały jeszcze nie wywiezione wczoraj sosnowe pnie.

Marcin usiadł na grubym odziomku. Położył siekiere z boku, wyciągnął z torby chleb ze słoniną i już zabierał się do śniadania, gdy nagle z głębi lasu dobiegło ujadanie psów, przeplatane głośnym nawoływaniem.

Zerwał się z miejsca jak oparzony – przypomniał sobie bowiem, że teraz właśnie nadeszła godzina duchów – i skóra ścierpła mu ze strachu. Toteż z pośpiechem schował do torby nie napoczęte śniadanie, uczynił na czole i piersi znak krzyża, a następnie trzonkiem siekiery zakreślił na śniegu duże koło. Nieco już spokojniejszy, stanął pośrodku i czekał co się stanie.

Tymczasem odgłosy nocnego polowania nie milkły. Czasem tylko cichły i jakby się oddalały, ale potem wybuchały znów bardzo blisko. Samotny drwal rozglądał się wokoło, lecz nie mógł przebić wzrokiem czerniejącej ściany drzew i krzewów.



Nagle na pobliskiej stercie gałęzi coś się poruszyło. Zająć, nie zająć? Lis, nie lis? Zanim Marcin zdążył się zorientować, ujrzał ze zdumieniem małe dzieciątko czepiające się jego nóg. Dziecko ubrane było jedynie w zgrzebną koszulkę i trzęsło się na mrozie jak liść osiki.

– Ratuj, dobry człowieku – wołało maleństwo – nie daj mnie pochwyć!

Marcin stał bez ruchu całkowicie zaskoczony i nie mógł wydobyć z siebie głosu.

– Skądże ty tutaj? – wykrztusił wreszcie. – Kto cię przesładuje?

– Duch Puszczy mnie ściga i jego myśliwi – odpowiedziało dziecko. Cała sfera psów czyha, żeby mnie porwać! Jeśli im się uda, jestem zgubiony na zawsze!

Serce Marcina ogarnęło jakieś niezwykle wzruszenie i łzy napłynęły mu do oczu. Przygarnął chłopczyka do siebie, zdjął z szyi wełniany szalik i otulił nim zziębnięte dziecko.

– Bądź spokojny – powiedział stanowczo. – Nikomu cię nie wydam, choćby tu sam Duch Puszczy się zjawił. Ale wytłumacz mi, co tu robisz w lesie nagi i bosy?

– Powiem ci wszystko, szlachetny człowieku – rzekło dzieciątko bo wierzę, że mnie od zguby uratujesz. Kiedy jeszcze żyłem na świecie...

– Jakże to? – przeraził się Marcin. – Jesteś więc duchem, a nie żywym dzieckiem?

– Nie lękaj się, wpierw posłuchaj! Matka moja była kobietą złą i okrutną. Kiedy się urodziłem, przeszkadzałem jej tylko. Postanowiła więc zgładzić mnie z tego świata. Pewnego dnia wyniosła mnie potajemnie do lasu i utopiła w bagnie, zaniedbawszy nawet chrztu świętego. Dlatego błąkam się teraz po świecie i wciąż uciekam przed Duchem Puszczy, który tylko czyha na takie jak ja duchy. On właśnie chce mnie pochwyć i zamienić w psa, bym łowił dla niego inne dzieci. Gdybym dostał się w jego ręce, byłbym zgubiony na wieczne czasy.

– Więc już się nigdy do nieba nie dostaniesz?

– O, nie! Jeśli mnie dzisiaj uratujesz, skończy się moja tułaczka i wówczas pójdę do nieba jak dusze innych dzieci.

Teraz dopiero Marcin zobaczył na skraju zakreślonego przez siebie koła trzy czarne psy niezwykle wielkości.

Dziecko zadrzało i mocniej przytuliło się do swego wybawcy. Bestie, dysząc ciężko, przyglądały mu się płonącymi jak rozżarzone węgle oczyma. Po chwili odwróciły się i znikły w leśnej głębi.

Przez dłuższy czas nic się nie działo i Marcin myślał już, że złe duchy na zawsze odeszły. Lecz oto na tle leśnej polany ukazały się jakieś ludzkie sylwetki i po chwili w pobliżu koła stanęło trzech uzbrojonych myśliwych. Mieli na sobie czarne ubiory i wzrostem o wiele przewyższali normalnych ludzi.

– Oddaj nam dziecko! – powiedział jeden z nich.

Marcin nie odezwał się ani słowem.

– Oddaj nam dziecko! – powtórzył myśliwy nie ruszając się z miejsca.

Ale drwal nie dał się zastraszyć.

– Podejdźcie więc i zabierzcie je sami! – odpowiedział.

– Nie możemy tego uczynić! Zakreśliłeś koło świętym znakiem, nie mamy więc do ciebie dostępu.

– Czego więc chcecie?

– Byś nam oddał dziecko. Ono do nas należy!

– Nie oddam!

Myśliwi naradzali się szeptem między sobą. W końcu jeden z nich wyciągnął z kieszeni



ciężką sakiewkę i bawił się nią, podrzucając w górę.

– Spójrz na tę sakiewkę – rzekł do Marcina. – Popatrz, jaka ciężka. Pełno w niej złota, prawdziwych złotych dukatów! Jeśli oddasz nam dziecko, sakiewka będzie twoja!

Tego już było za wiele! Mimo że Marcina oblatywały jeszcze resztki strachu, rozgniewał się i krzyknął na cały głos:

– Na nic wasze zabiegi! Nawet za złoto nie sprzedam duszy tego dziecka, choć jestem tak ubogi, jak żaden z mojej wioski!

Ale prześladowcy w dalszym ciągu kusili biednego drwala i nie zamierzali ustąpić. Nagle jednemu z nich sakiewka wypadła z rąk i znalazła się w obrębie koła. Marcin, chłop nie w ciemię bity, natychmiast sięgnął po nią trzonkiem siekiery. Myśliwy zaklął szpetnie, nic jednak nie mógł poradzić – sakiewka ze złotem była w rękach drwala.

Teraz czyhający na zgubę dziecka myśliwi przestali Marcinowi grozić, przestali nawet perswadować i tylko prosili, by – jeśli już nie chce oddać im chłopca – przynajmniej zwrócił im sakiewkę ze złotem. Jednakże drwal nie ulegał ni prośbom, ni groźbom.

Tak wyklócili się, aż minęła godzina duchów. Wtedy ucichł leśny zgiełk. Myśliwi odeszli w głąb lasu.

– O, mój wybawco! – zawołało dziecko płacząc z radości. – Dzięki twojej dobroci i odwadze jestem uratowany! Skończył się mój lęk i ciągnęła tułaczka po świecie, teraz mogę już pójść do nieba. Wiedz, dobry człowieku, że nigdy tego nie zapomnę i z wysokości nieba będę czuwać nad tobą, żebyś nigdy już więcej biedy ani głodu nie zaznał. Zamknij teraz oczy, gdy będę szedł do nieba, gdyż nie godzi się, byś za życia oglądał to, co na pewno ujrzysz po śmierci!

Lecz ciekawy Marcin chciał koniecznie zobaczyć, jak dusza uratowanego dziecka będzie wstępować w niebieskie progi. Uchylił więc troszeczkę powiekę jednego oka, ale poraził go tak silny blask, że upadł na ziemię i przez długi czas nie mógł odzyskać wzroku. Kiedy wreszcie przyszedł do siebie, ucieszył się szczerze, że jego przygoda skończyła się szczęśliwie. A że spełnił dobry uczynek, więc zabrał zdobytą sakiewkę i wrócił do domu.

Odtąd dzielny drwal Marcin stał się zamożnym człowiekiem. Kupił sobie kawał ziemi, zbudował nowy dom, zyskał uznanie wśród gospodarzy, a jego dzieci nigdy nie zaznały głodu.





Jak rycerz Bonin diabłu duszę zaprzedał

Ostatnie promienie słońca ugrzęzły za postrzępioną wzgórzami linią horyzontu. Czerwień gasnącego dnia oblekła zachodnią stronę nieba i nadchodzący zmrok – zwiastun pogodnej nocy – zapadł nad ziemią.

Gdzieś w oddali para zapóźnionych cyranek przecięła świstem skrzydeł ciemniejące niebo. Po chwili plasnęły lekko o taflę jeziora Lubiatowskiego i zaraz ukryły się w nadbrzeżnych szuwarach. Cała natura oddychała spokojem zbliżającej się nocy.

Lecz oto w ten zwykły pogwar, rozbrzmiewający pośród trzciny i tataraku, wdarł się jakiś obcy odgłos. Niezbyt daleko, na skraju podmokłych łąk, otaczających jezioro pasmem świeżej jeszcze zieleni, rozległo się niespokojne chrapanie konia.

Podniósł głowę wysoko białopióry łabędź, zdziwił się nawet ociężały bąk i wytknął z zarośli swój długi dziób. Cóż to za rumak zakłóca im spokój? Cóż to za jeździec samotny kieruje się o tej porze w grząską, zdradliwą i pełną zasadzek topiel?

To rycerz Bonin, dziedzic okolicznych włości, powracał do domu z objazdu pól, położonych daleko – aż na skraju wyszoborskich lasów. Nadchodząca noc zaskoczyła go w drodze, toteż bez namysłu skierował konia wprost na podmokłą i bagnistą drogę, prowadzącą przez rozlewiska. Zwykle korzystał z dalekiego lecz pewnego objazdu, dziś jednak chciał jak najszybciej znaleźć się w swej siedzibie. Potężnie zbudowany deresz strzygł niespokojnie uszami i ostrożnie stawiał kopyta wśród trawiastych wysepek, wyrastających na bagiennym gruncie. Chłopot jego nóg płoszył co chwile żerujące kaczki, które z głośnym kwakaniem zrywały się w górę i odlatywały w spokojniejsze miejsce.

Jeździec skrócił wodze, by podtrzymać potykającego się od czasu do czasu konia. Pościemniało już zupełnie i tylko księżyc – przyjaciel czarownic, rozbójników i nocnych wędrowców – pomagał znaleźć właściwą drogę.

Narastający gniew wzbierał w duszy rycerza. Oto we dworze, przy suto zastawionych stołach, czekają na niego przyjaciele i sąsiedzi. Można byłoby teraz pogwarzyć o gospodarskich sprawach, wypocząć przy pucharze dobrego miodu, gdyby nie ta błotnista, pełna zasadzek droga...



Raptowny wstrząs wytrącił z równowagi zatopionego w myślach rycerza. Deresz zachrapał, targnął głową i nagle zapadł się w grzęzawisko po sam brzuch. Wyrzucony z siodła jeździec znalazł się niespodziewanie w lepkiej, cuchnącej szlamem kąpieli. Podniósł się natychmiast i – ociekając brudną wodą – patrzył bezsilnie na walkę zwierzęcia, usiłującego wydostać się z bagna. Deresz bił kopytami o wodę, parskał z wysiłku, aż wreszcie udało mu się zaczepić o twardszy grunt. Jeszcze jedno dźwignięcie wśród rozprysków wody – i po chwili, ciężko robiąc bokami, stał obok swego pana ze zwisającymi ku ziemi wodzami. On zaś ujął je śliskimi od błota rękami i poczłapał wraz z koniem z powrotem, na skraj bagniska. Tutaj, nie panując już nad sobą, zawołał:

– Niechże mi tu sam diabeł przyjdzie i zbuduje drogę, a oddam mu duszę na własność!

– Zaledwie wypowiedział te słowa, zerwał się wiatr, powiał gorącym, przesyconym zapachem siarki tchnieniem w jego twarz, skłębził się i ucichł tak nagle, jak się pojawił. Rycerz przetarł oczy ze zdumieniem: przed nim, w pełnym blasku księżycy stała najdziwniejsza postać, jaką kiedykolwiek w życiu widział. Człowiek, nie człowiek sięgał mu zaledwie do pasa – nie większy od miecza, który wisiał przy boku. Głowę cudaka przykrywał głęboko nasadzony cylinder, spod którego gorącym blaskiem świeciło dwoje niesamowitych oczu. Spiczasta bródka podkreślała jeszcze śmieszność tej dziwnej postaci. Spod kraciastych i kusych portek wystawały nogi: jedna zwykła, ludzka, druga natomiast – zakończona końskim kopytem – uderzała co chwila w ziemię.

– Ki bies! – krzyknął rycerz zaskoczony i ubawiony zarazem.

Zgadłeś, panie! – odrzekła postać skrzeczącym jak żaba głosem.

– Czego chcesz?

– Wezwałeś mnie, więc przybyłem na twoje usługi.

Rycerz podrapał się w głowę, nie wiedząc w pierwszej chwili co powiedzieć.

– To prawda – przyznał wreszcie – wezwałem prawdziwego diabła, żeby mi drogę przez bagna zbudował, lecz przecie nie takiego pokrakę, co mi ledwo do pasa sięga!

Wtedy postać zaczęła gwałtownie rosnąć. Zdumiony rycerz ujrzał przed sobą olbrzyma, który przewyższał wzrostem okoliczne wzgórza i nawet zasłaniał tarczę szybującego po niebie księżycy.

– Czary jakieś, czy co u licha? – zawołał i znów przetarł oczy, sam sobie nie wierząc.

Lecz diabeł przybrał znowu poprzednią postać i kłaniając się nisko, zapytał:

– Czy teraz mi wierzysz, panie? Trzymam cię więc za słowo. Ty oddasz mi duszę po wieczne czasy – a ja ci do rana, nim pierwszy kur zapieje, zbuduję drogę przez bagna, w których dzisiaj o mało nie postradałeś życia.

Wspomnienie niemiłej przygody wywołało w duszy rycerza nową falę gniewu. Toteż nie namyślał się wcale, stawiając wszystko na jedną kartę.

– Zgoda – odpowiedział. – Przyjmuję warunek!

W tym momencie diabeł wyjął zza pazuchy zwitek cielőcej skóry, starannie wygładził jej brzegi i podając rycerzowi gęsie pióro, rzekł:

– Aby jednak nasza umowa zyskała moc, musisz na tym oto kawałku skóry własną krwią położyć podpis.

Szczęknął wydobyty z pochwy miecz, trysnęła krew z ramienia Bonina i układ z diabłem został zawarty. Kusy zniknął, lecz po pewnym czasie zjawił się z innej strony Wzgórze Trzech Kościołów w innej już postaci. Przed sobą popychał ogromną taczkę, napełnioną



piaszczystą ziemią, którą wysypał na brzegu grzęzawiska i natychmiast pobiegł z powrotem. Robota została rozpoczęta.

Tymczasem rycerz ochłonął już z pierwszego gniewu i teraz dopiero uświadomił sobie skutki nierozważnej decyzji. Przemożne uczucie strachu oładnęło jego myślami, chwyciło za gardło, zjeżyło włosy na głowie. Cóż mu z wygodnej drogi, jeśli musi zapłacić za nią zgubą własnej duszy? Obraz piekielnych mąk z całą wyrazistością stanął mu przed oczyma, a widząc postępująca pracę diabła i jego straszliwy pośpiech, wpadł w głęboką rozpacz. Porzucił konia i upadł na kolana pod rosnącym w pobliżu dębem, kryjąc twarz w dłoniach.

– O Boże – wołał w żarliwej modlitwie – cóż ja uczyniłem! Jakże się teraz uratuję od piekielnego ognia? Nie chcę już drogi przez bagna, nie chcę żadnych bogactw. Niechaj umrę jak ostatni nędzarz, byleby tylko diabeł nie przyszedł do mnie w godzinie mojej śmierci.

Tak modlił się rycerz Bonin a łzy gorące i ciężkie płynęły po jego twarzy i wsiąkały w ziemię. Lecz niebo i ziemia milczały, jakby nie znajdowały pociechy dla pogrążonego w rozpacz nieszczęśnika.

Było już chyba po północy Dobromiła przetarła zaspane oczy i leniwym ruchem odgarnęła z czoła wilgotne od potu włosy. Przez chwilę walczyła jeszcze z resztkami ustępującego snu. Potem uniosła się na łokciach – słoma chrzęściła głośno pod ciężarem ciała – i wyrzała na zewnątrz przez zasnutę nalotem pary okienko. Zza warstwy postrzępionych chmur wyglądał od czasu do czasu księżyc, ogarniając mdłym światłem pogrążone w ciszy zabudowania wioski Lubiato.

– Czas mi już wstawać – rzekła sama do siebie. – Nim dojdę do Koszalina, zrobi się widno i inne kobiety zajmą co lepsze miejsca na targowisku.

Po cichu, by nie obudzić śpiących obok dzieci, wysunęła nogi z łóżka i dotknęła nimi zimnej glinianej podłogi. Dreszcz przebiegł po jej plecach, szybko jednak opanowała się i po chwili była już całkiem ubrana. Zrzuciła jeszcze chustę na ramiona, zabrała koszyk i wyszła na podwórko. Natychmiast podbiegł do niej bury kudłacz, łaszcząc się i merdając z radości ogonem. Dobromiła przywiązała go mocno do ławy stojącej pod słupami podcienia.

– Zostaniesz tutaj – powiedziała klepiąc go po bokach – i będziesz pilnował chaty, żeby się ktoś obcy nie zakradł.

Pies ułożył się posłusznie na ziemi. Tymczasem Dobromiła podeszła do kurnika i ostrożnie, aby nie spłoszyć śpiącego na grzędach drobiu, otworzyła drzwiczki. Szybkim lecz pewnym ruchem rąk chwyciła siedzącego na samym brzegu koguta i włożyła go do koszyka z otwartym wiekiem. Drugi, przykryty kawałkiem czystego płótna, zawierał masło i ser.

Szła Dobromiła nocną porą wzdłuż brzegu jeziora. Przed nią w księżycowej poświacie szarzała smuga prowadzącej do Koszalina drogi – za nią ginęły w mroku zarysy opuszczonej i pogrążonej w głębokim śnie wioski. Idąc samotnie, rozmyślała nad tym, co kupi za uzyskane na targu pieniądze. Było tych potrzeb co niemiara i Dobromiła musiała dobrze pomyśleć, które z nich najpierw zaspokoić należy.

Czas upływał. Jaśniejąca na ciemnym tle nieba tarcza księżyca stopniowo traciła blask i coraz bardziej zniżala się do linii horyzontu. Napełnione produktami koszyki stawały się coraz cięższe. Dobromiła przekładała je z jednej ręki do drugiej.

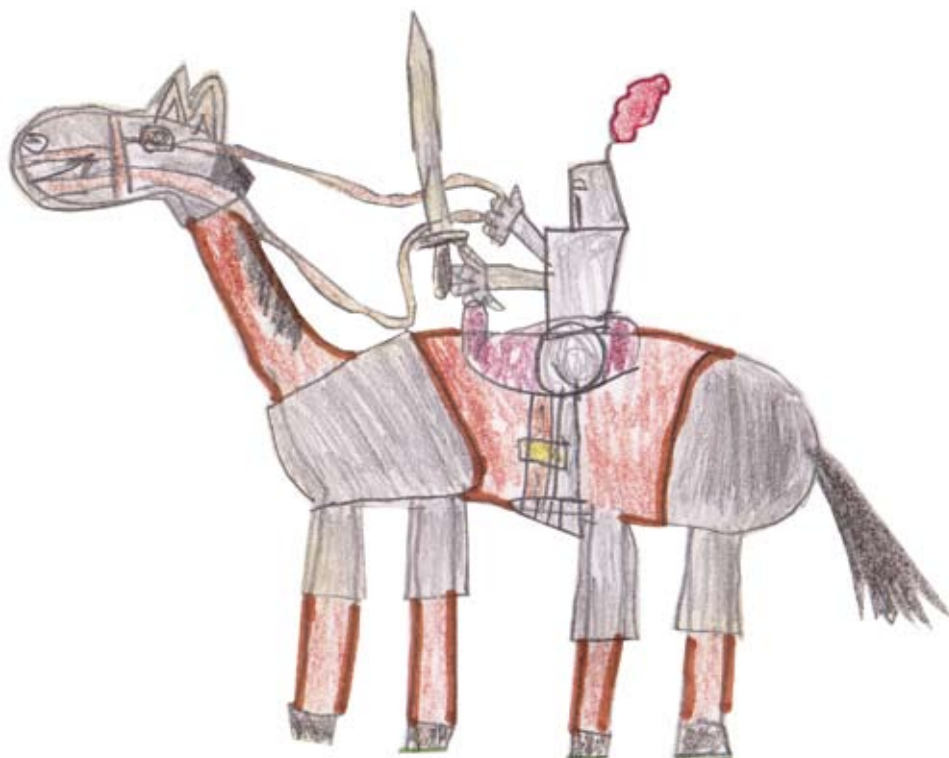
– Dojdę tylko do dębu – pomyślała – i trochę odpocznę. Jeszcze wcześniej, zdążę na czas do miasta.

Przyspieszyła kroku, chcąc jak najszybciej znaleźć się na miejscu. Już konary dębu ma-



jaczyły w ciemnościach, gdy nagle... coś takiego? Kobieta przystanąła – trochę przestraszona, więcej jednak zdziwiona tym, co ujrzała przed sobą. Tuż obok drogi klęczała na ziemi jakaś nieruchoma postać. Powodowana ciekawością chciała podejść bliżej, gdy wtem za jej plecami rozległo się chrapanie konia. Przerażona upuściła koszyki i aż przysiadła ze strachu. Jeden koszyk potoczył się po trawie, otworzyło się wiecko i uwolniony kogut, bijąc skrzydłami w powietrze, zapiał donośnym głosem.

W tym momencie rozległ się nad bagnami jakiś niesamowity krzyk. Podmuch gorącego wichru przygiął ku ziemi gałęzie starego dębu, przetoczył się nad wzgórzami Trzech Kościołów i uleciał w przestrzeń. To rozwścieczony diabeł, któremu pokrzyżowały się plany, uciekał za góry, za lasy.



Od tamtego czasu minęło wiele lat. Zagięła pamięć o rycerzu Boninie, do dzisiejszego dnia jednak pozostał ślad diabelskiej pracy. Wędrowiec, który zechce odwiedzić te strony, zobaczy na południowym brzegu Jeziora Lubiatowskiego wąski półwysep, głęboko wrzynający się w wodę. To jest właśnie droga, której diabeł nie dokończył.



Porwanie księcia

Pogodny letni wieczór zapadał bardzo szybko. Szeroki trakt wiodący ze Słupska do Koszalina i przebiegający w pobliżu Góry Chełmskiej, był już ledwie widoczny pośród gęstwiny drzew, porastających wysokie zbocza. Z oddali dobiegał turkot kół i głośne nawoływania – do bram miasta zbliżała się powoli karawana ciężko naładowanych wozów. To koszalińscy kupcy wracali z długiej podróży. W całej kolumnie panował wesoły nastrój, ponieważ było wiele powodów do zadowolenia. Handlowa wyprawa okazała się tym razem nadzwyczaj korzystna: udało się zakupić wiele cennych towarów, które w dalszej odsprzedaży powinny przynieść niemałe zyski. Przy tym bliskość miasta upewniała podróżnych, że wszelkie niebezpieczeństwa, jakie mogły zagrażać na owym długim i często bezludnym szlaku ze strony rycerzy – rabusiów, są już poza nimi. Któż się odważy napadać na karawanę w pobliżu bram miejskich, by w razie pojmania oddać głowę pod topór kata? Toteż wracali spokojnie, ciesząc się na myśl o rychłym powitaniu rodzin i przyjaciół.

W tym czasie władca pomorskiej krainy, książę Bogusław X gościł wraz z małżonką Anną Jagiellonką oraz całą dworską świtą w jednym z licznych zamków, położonym w pobliskim Sianowie. Wróciwszy po wielu latach z pielgrzymki do Ziemi Świętej, zastał w księstwie ogromny chaos. Jego bracia i krewniacy nie potrafili utrzymać w garści rozzuchwalonego rycerstwa, które – świadome bezkarności – w iście zbójceki sposób zagrażało handlowym szlakom. Widząc, co się w kraju dzieje – również pomorskie miasta lekcewały księżęcą władzę i same wymierzały sprawiedliwość według własnych, przez siebie ustanowionych praw. Dlatego więc Bogusław X, mąż wielkiej siły i stanowczości, często przenosił się z dworem od zamku do zamku, aby zaprowadzić w księstwie ład i porządek: zuchwałych poskromić, spokojnym zaś mieszkańcom zapewnić bezpieczny żywot.

Nie w smak była jednak przybocznej drużynie księcia żelazna dyscyplina. Znudziły się rycerzom turnieje i polowania, spowszedniały biesiady oraz inne dworskie uciechy, a o wojennej wyprawie jakoś nie było słychać. Toteż – widząc przejeżdżającą przez Sianów karawanę – postanowili czym prędzej skorzystać z nadarzającej się okazji i zdobyć łupy na wracających do Koszalina kupcach.





Porwanie księcia – Wojciech Borowy, kl. III, Szkoła Podstawowa nr 4 w Koszalinie

– Nie rycerska to rzecz, gnuśnieć w spokoju! – powiadali jedni.
– Czas utrzcć nosa tym opasłym mieszczuchom! – wtórowali inni. – Już się zanadto obłowili, a nasze mieszki pustkami świecą!
– Zaraz będą cięższe! Ruszajmy, a żywo, póki nie ujechali zbyt daleko!
– Ktoś tam próbował tłumaczyć, ktoś przestrzegał przed gniewem księcia – zakrzyczano ich jednak i wkrótce zbrojna drużyna wyruszyła skrycie w kierunku Góry Chełmskiej, omijając trakt szerokim łukiem.

W tym czasie kupiecka karawana podążała wytrwale naprzód. Jeszcze nie było słychać żadnych odgłosów ani podejrzanych szmerów. Lecz oto spokojne dotychczas konie zwierzyły niebezpieczeństwo. Wszystkie jednocześnie podniosły głowy, zachrapały i – strzygąc uszami – szarpnęły zaprzęgami. Poderwali się woźnice, wytrąceni z błogostanu kupcy kazali natychmiast zatrzymać kolumnę i rozglądali się wokoło, usiłując przebić wzrokiem zapadające ciemności.

Nagle spośród drzew wypadła na trakt gromada uzbrojonych jeźdźców. Unieśli w górę dobyte miecze i z wielkim krzykiem uderzyli na karawanę, chcąc w ten sposób obezwładnić obrońców i odebrać im wszelką chęć walki.

Jednakże doświadczeni koszalinianie nie dali się zaskoczyć. Kto żyw, chwycił za broń. Woźnice cięli batami po oczach koni i jeźdźców – kupcy wystawili przed siebie długie dzidy zaopatrzone w ostre groty – pachołkowie zaś ukryli się pod wozami i tłukli kijami po końskich nogach, powodując wśród napastników niemałe zamieszanie.

W ogólnym tumultcie udało się jednemu z pachołków wydostać niepostrzeżenie z otoczonej kolumny. Biegł teraz do miasta co sił w nogach, aby jak najszybciej zawiadomić mieszkańców i sprowadzić odsiecz.

Wieść o napadzie lotem błyskawicy obiegła cały Koszalin. Dzwony w kościołach uderzyły na alarm. Wkrótce rynek zappełnił się tłumem niespokojnych ludzi, którzy – nie czekając na rozkazy władz miejskich – z toporami, bosakami i pochodniami w rękach ruszyli na pomoc obłążonym kupcom.

Tymczasem obrońcy gonili resztkami sił. Wprawdzie bitwa trwała nadal z ogromną zaciętością, ale już tu i ówdzie rozlegały się jęki rannych i poturbowanych. Toteż pomoc nadeszła w samą porę.

Zuchwali rabusie nie przewidzieli takiego obrotu sprawy. Kiedy ujrzeli zbliżającą się odsiecz – czym prędzej wzięli nogi za pas. Zapewne spodziewali się, że pod osłoną nocy zdołają bezpiecznie opuścić pole walki – zrezygnowali więc z łupów, by cało unieść głowy. Ale rozwścieczeni koszalinianie bynajmniej nie zadowolili się odniesionym zwycięstwem. Widok pierzchających w popłochu napastników jeszcze bardziej ich podniecił. Natychmiast zorganizowali pościg, który w końcu dotarł do książęcej siedziby w Sianowie.

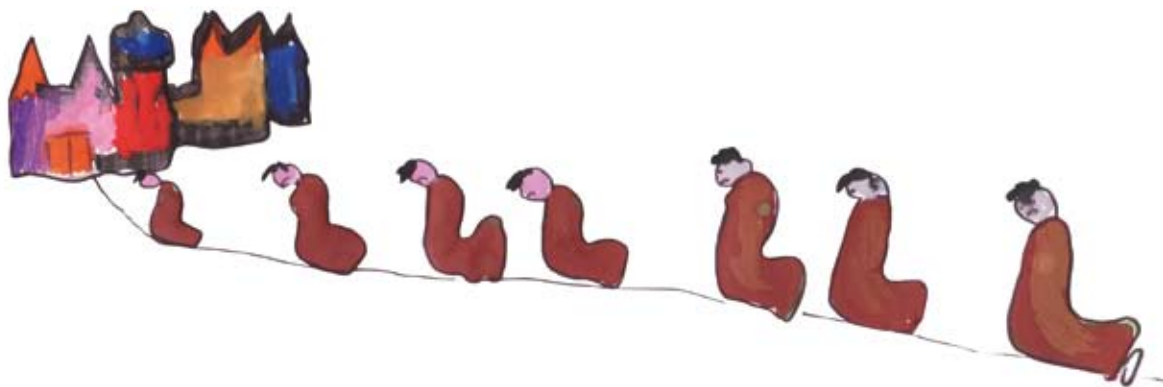
Bitwa wybuchała ze zdwojoną siłą – tym razem wśród zamkowych murów. Dziedziniec i przestronne krużganki wypełnił szcęk broni. Topory uderzały o miecze, schwytanych zaś żywcem rycerzy natychmiast wiązano sznurami i wrzucano na wozy, które pod strażą pachołków kierowano do miasta.

Blask pochodni, krzyki i bieranina obudziły księcia Bogusława. Czym prędzej przywdział na siebie domowy ubiór i wybiegł z komnaty. W tej samej chwili zetknął się oko w oko z tłumem uzbrojonych koszalinian, którzy w ciemnościach nie poznali swego władcy. Jeden z krewkich mieszczan zamierzył się toporem i byłby nieuchronnie pozbawił księcia



życia, gdyby nie pomoc młodego pomorskiego rycerza Adama Podewilsa. Książęcy ulubieniec niespodzianie znalazł się u boku Bogusława X i w ostatniej chwili udało mu się obezwładnić przeciwnika. Mimo to jednak książę nie uniknął losu – związany sznurami znalazł się wśród pojmanych.

Nocna bitwa zakończyła się pogromem napastników. Upojeni zwycięstwem koszalińianie wrócili do domów, jeńców natomiast wtrącono do lochów znajdujących się pod ratuszem i postawiono strażę, aby nie uciekli podczas nocy.



Wzburzenie w mieście trwało nadal. Toteż rankiem następnego dnia zebrała się Rada Miejska, aby osądzić złoczyńców i wymierzyć im karę, na jaką zasłużyli. Jakież było jednak zdumienie rajców, kiedy wśród doprowadzonych więźniów rozpoznali księcia Bogusława we własnej osobie! Od razu zrozumieli, że powodowani zapalczywością koszalińscy mieszczanie posunęli się zbyt daleko i tylko pokora może ich uchronić przed najgorszymi skutkami.

– Zechciej nam wybaczyć, miłościwy panie! – błagali rajcy, padając na kolana. – Niegodna rycerskiego stanu napaść, której z pewnością nie pochwalasz, wywołała gniew ludzi i chęć odwetu za doznaną krzywdę. Nikt jednak nie zamierzał targnąć się na twoją osobę! Zawiniły ciemności i chaos, jaki zwykle powstaje w czasie walki.

Jednakże Bogusław długo nie dał się ubłagać.

– Słuszna to rzecz bronić się przed napaścią – rzekł w odpowiedzi. – Któż jednak dał wam prawo wdzierać się do zamkowych komnat?

– Jakże powstrzymać rzekę, która wystąpi z brzegów? – tłumaczyli rajcy.

– Wasza sprawa! Dłatego poniesiecie karę abyście raz na zawsze pamiętali, że zuchwałstwo nie popłaca. Rozkazuję więc zburzyć do fundamentów bramę która była świadkiem owego zuchwałego czynu – niechaj moje oczy nie oglądają jej więcej. Rozkazuję też byście wszyscy jak tu jesteście przywdziali na siebie pokutne szaty i oczekiwali przy ruinach, kiedy



ponownie będą wjeżdżał do miasta.

Skłonili głowy rajcy, ciesząc się w duchu, że tanim kosztem wywiną się z opresji. Jednakże Bogusław ani myślał poprzestać na wyznaczonej karze.

– Nadto – ciągnął dalej – nakazuję wam wpłacić do mego skarbcza trzy tysiące reńskich guldenów, co też powinno na długi czas ostudzić wasze głowy.

To powiedziawszy opuścił ratusz, dosiadł konia i podążył do swego zamku w Sianowie.

Kilka dni później mieszkańcy Koszalina przyjmowali Bogusława i jego świtę. Przy ruinach bramy czekali na klęczkach ubrani w worki rajcy z burmistrzem na czele. Za nimi po obu stronach wiodącej do samego ratusza ulicy zgromadzili się mieszczanie. Na ich twarzach malował się wyraz niepewności, czy urażony w swej godności księżę nie zechce nałożyć na nich dodatkowych ciężarów.

Wreszcie po wielu godzinach oczekiwania ukazał się barwny orszak konnych. Już z daleka widać było na przedzie potężną sylwetkę księcia Bogusława, obok zaś drobną postać księżnej Anny, ubranej w drogocenne szaty. Rozkołysały się dzwony na kościelnych wieżach, przez tłumy zgromadzonych przebiegł szmer podziwu.

Wjeżdżając do miasta, Bogusław zatrzymał konia. Najpierw spojrzął na ruiny bramy, potem jego ostry wzrok przeniósł się na pochylone grzbiety rajców i pobiegł dalej, ponad głowami zgromadzonych mieszczan. W oczach księcia pojawiły się iskierki tryumfu, choć rysy twarzy pozostały nadal nieruchome.

– Wstańcie! – rzekł dając znak ręką.

Najpierw podniósł się burmistrz, po nim zaś wszyscy rajcy. Stali teraz niepewni, otrzępując z siebie uliczny kurz.

– Nie dla waszego poniżenia tak rozkazałem – mówił dalej Bogusław – ino by wszyscy pamiętali, co się waszemu księciu należy. Zdejmijcie teraz pokutne odzienie i prowadźcie do komnat ratusza. Niech wytoczą beczki z winem, niechaj się lud weseli, bo oto w tej chwili ugoda staje i gniew mój zostaje wam odjęty.

Radosny okrzyk tłumów napełnił ulice Koszalina.





Sąsiedzka waśń

Od strony Mścic, traktem do Koszalina, pędził w tumanach kurzu samotny jeździec. Ktokolwiek spojrział – od razu mógł się domyśleć, że wiezie ważną wiadomość, albo – co gorsze – jest zwiastunem jakiegoś nieszczęścia. Koń pod nim ciężko robił bokami, z pyska zaś zrywały się płaty białej piany. Minął otwartą bramę i dudniąc kopytami o kamienny bruk, przeleciał jak wicher ulicami miasta, kierując się na rynek – wprost pod ratusz. Mieszkańcy Koszalina usuwali się z drogi i spoglądali po sobie wystraszeni, zaskoczeni niecodziennym zdarzeniem.

- Co się stało? – pytali strażników rozstawionych na wykuszach murów.
- Bo to wiadomo...? Gonił jak diabeł, tylko ręką machnął – odpowiadali tamci.
- Ale chyba nie pożar, bo nie widać nigdzie dymu.
- Biegnijmy za nim! Trzeba się czegoś dowiedzieć.

Zgromadzony na rynku tłum powiększał się z każdą chwilą. Tymczasem w ratuszu odbywało się zebranie Rady Miejskiej. Właśnie burmistrz podniósł się z krzesła aby rozpocząć przemówienie, kiedy nagle drzwi sali otworzyły się gwałtownie i do środka wtargnął okryty kurzem posłaniec. Wśród zebranych nastąpiło ogólne poruszenie. Oczy wszystkich rajców natychmiast zwróciły się w jego stronę.

– Kim jesteś? – gniewnie zawołał burmistrz. Jakim prawem znalazłeś się tutaj i przerywasz obrady?

- Nieszczęście, panie... nieszczęście! – wyjąkał posłaniec, z trudem chwytając powietrze.
- Skąd przybywasz? – wypytywał burmistrz.
- Z Unieścia... Rybakiem jestem!
- Mów więc, o co chodzi!

– Dziś rano – zaczął posłaniec nieco spokojniejszym głosem – zamierzaliśmy jak zwykle wyjść w morze na połów. Już zaczęliśmy ściągać łodzie z piasku, kiedy nagle pojawiła się gromada obcych ludzi. Zabrali nasze sieci, wyciągnęli z komory worki z solą i wszystko ładują na swoje wozy.



– A wy co na to? Przychodzicie ze skargą, zamiast bronić swego?
– Nie damy rady! Będzie ich chyba więcej niż setka.
– Cóż to za ludzie?
– Nie wiem, panie. Mówią, że z Kołobrzegu. I jeszcze wymyślają, że nie nasze prawo łowić w morzu.

Wówczas rajcy jak jeden mąż zerwali się z miejsc. Na ich twarzach malował się niepomowany gniew, pięści zacisnęły się same.

– Dość naszej cierpliwości, przebrała się wreszcie miarka! – wołali jeden przez drugiego. – Jak długo będziemy znosić krzywdy i upokorzenia? Takie same ich prawo do morza, jak nasze!

– Słusznie! – potwierdził burmistrz. – Nie damy się skrzywdzić. Rozkazuję więc: niech każdy mieszczanin, który ma silne ręce, weźmie broń – i razem przepędzimy napastników. Ty zaś – zwrócił się do posłańca – zaprowadź nas na miejsce!

Nie upłynęło wiele czasu – i gromada uzbrojonych koszalinian z burmistrzem na czele, udała się we wskazanym przez posłańca kierunku. Okazało się jednak, że kołobrzeżanie zdążyli już załadować wozy zdobyczą – teraz zaś ciągnęli żwawo w kierunku Bielic, aby zmylić pogoń. Jednakże ścigający ich koszalinianie przyspieszyli kroku i dogonili grabieżców w pobliżu Jeziora Parnowskiego.

Poszły w ruch miecze, topory, bosaki – wszystko, co kto miał pod ręką. Poprzez żółtawy tuman kurzu wzniósł się pod niebo bitewny tumult. Rozwścieczeni zuchwałą napaścią koszalinianie uderzyli ostro i wkrótce zwarty dotychczas oddział kołobrzeżan zaczął ustępować krok za krokiem. Coraz częściej też rozlegały się na polu jęki rannych i poturbowanych uczestników walki.

W obliczu zbliżającej się klęski napastnicy z Kołobrzegu rozwinęli chorągiew, aby tym sposobem podnieść ducha wśród walczących szeregów. Widok ten jeszcze bardziej rozsierdził zapalczywych koszalinian. Podnieśli wielki krzyk i natarli na nieprzyjaciela z takim impetem, że w krótkim czasie rozbili go doszczętnie. Teraz widać było tylko drobne grupki, uciekające w popłochu z pola walki.

Wielogodzinna bitwa przyniosła koszalinianom całkowite zwycięstwo. Nie tylko odzyskali zrabowane mienie, ale w dodatku zdobyli kołobrzeżską chorągiew, którą tryumfalnie ponieśli do miasta. Tam czekały już na nich tłumy rozradowanych mieszkańców.

Odtąd co roku, w pamiątką rocznicę zwycięstwa, na wieży koszalińskiego ratusza wywieszano zdobytą chorągiew i wszyscy mieszczanie razem z Radą Miejską bawili się hucznie do samego rana.

Dopiero po stu latach, kiedy burmistrzem Koszalina został kołobrzeżski mieszczanin Antoni Schlieffen – zaniechano tego zwyczaju i oba sąsiedzkie miasta zgodnie prowadziły handel oraz morską żeglugę.



Spór o graniczną miedzę

Nikt, nawet najstarsi ludzie nie pamiętali, kiedy to się naprawdę zaczęło – z pewnością jednak w bardzo odległych czasach. Być może wtedy, gdy biskup kamieński wyznaczał granice miasta Koszalina, zaś książę słupsko-sławieński granice Sianowa. Czegoś chyba nie dopatrzono, gdyż od tamtej pory pomiędzy mieszkańcami obu miast nieustannie wybuchały waśnie i spory. Właściwie nie było wiadomo, gdzie kończą się grunty jednych a zaczynają drugich. Raz komuś zajęto bydło na pastwisku, to znów innego oskarżono o bezprawne wycinanie drzewa w lesie, który szerokim pasmem rozdzielał oba sąsiednie miasta.

Uprzykrzyło się wreszcie sędziom ciągle rozstrzyganie owych trwających nieraz przez wiele miesięcy sporów, a i sami mieszczanie również mieli tego dość. Postanowili więc zwrócić się do obu Rad Miejskich, żeby raz na zawsze ustalono, co do kogo należy.

Zebrali się rajcy, długo debatowali – aż w końcu ogłosili wspólną decyzję.

– Obaj nasi burmistrzowie – głosiło obwieszczenie – wyjadą ze swych miast następnego dnia o wschodzie słońca i będą zdążać naprzeciwko siebie. Gdzie się spotkają – tam stanie granica.

Wiadomość o rozstrzygnięciu kłopotliwej sprawy rozeszła się bardzo szybko. Wśród sianowskich mieszczan zapanowało ogólne poruszenie. Skoro tak – trzeba pomyśleć, jak ją najkorzystniej rozwiązać. Cała Rada Miejska i co znaczniejsi obywatele zebrali się więc natychmiast w ratuszowej sali. Wytoczono beczkę piwa, napełniono kufle mocnym, pieniącym się smakowicie napojem i zaczęto wspólnie rozważać, jak wyprowadzić w pole koszańskiego burmistrza, aby jak najdalej odsunąć od miasta przyszłą jego granicę. Opróżniano jeden kufel za drugim, wysuwano różne pomysły, żaden jednak nie wydawał się dość dobry.

Wreszcie podniósł się zza stołu znany ze swego sprytu i wielkiej przemyślności rajca Mikołaj. Uderzył pięścią w stół – a kiedy umilkł gwar, pociągnął tęgi łyk piwa i zawołał:

– Nasz burmistrz musi wyjechać na grzbiecie wołu. Tak będzie najlepiej!

Rajcy spojrzeli po sobie, nie rozumiejąc. Potem obrócili wzrok na burmistrza, który również wstał z miejsca i zafrasowany drapał się w głowę.





– Wytlumacz nam, Mikołaju, co masz na myśli? – odezwał się wreszcie niepewnym głosem. – Przecież koń biegnie szybciej!

– Ale też szybko się zmęczy i stanie w drodze – odpowiedział Mikołaj. – Wół jest silny, wytrzymały – dalej zajdzie niż koń!

W ratuszowej sali zawrzało jak w ulu.

– Racja, racja! – rozległy się liczne głosy. – Należy uczynić, jak radzi Mikołaj.

– Niechże tak będzie! – zgodził się burmistrz.

Stuknęły o siebie napełnione piwem kufle. Uszczęśliwieni nadzwyczajnym pomysłem sianowianie postanowili uczcić go biesiadą – i tak weselili się bez umiaru aż do późnej nocy.

Słońce stało już wysoko na niebie, kiedy odurzeni piwem sianowscy mieszczanie otworzyli zaspane oczy i przypomnieli sobie, co mieli z samego rana uczynić. Długo szukali burmistrza, który ukrył się w zacisznym kącie i chrapał w najlepsze. Próbowali go zbudzić – on jednak opędzał się od natarczywych głosów, mrużąc pod nosem niewyraźne przekleństwa. Z najwyższym trudem udało im się w końcu przywołać go do porządku.

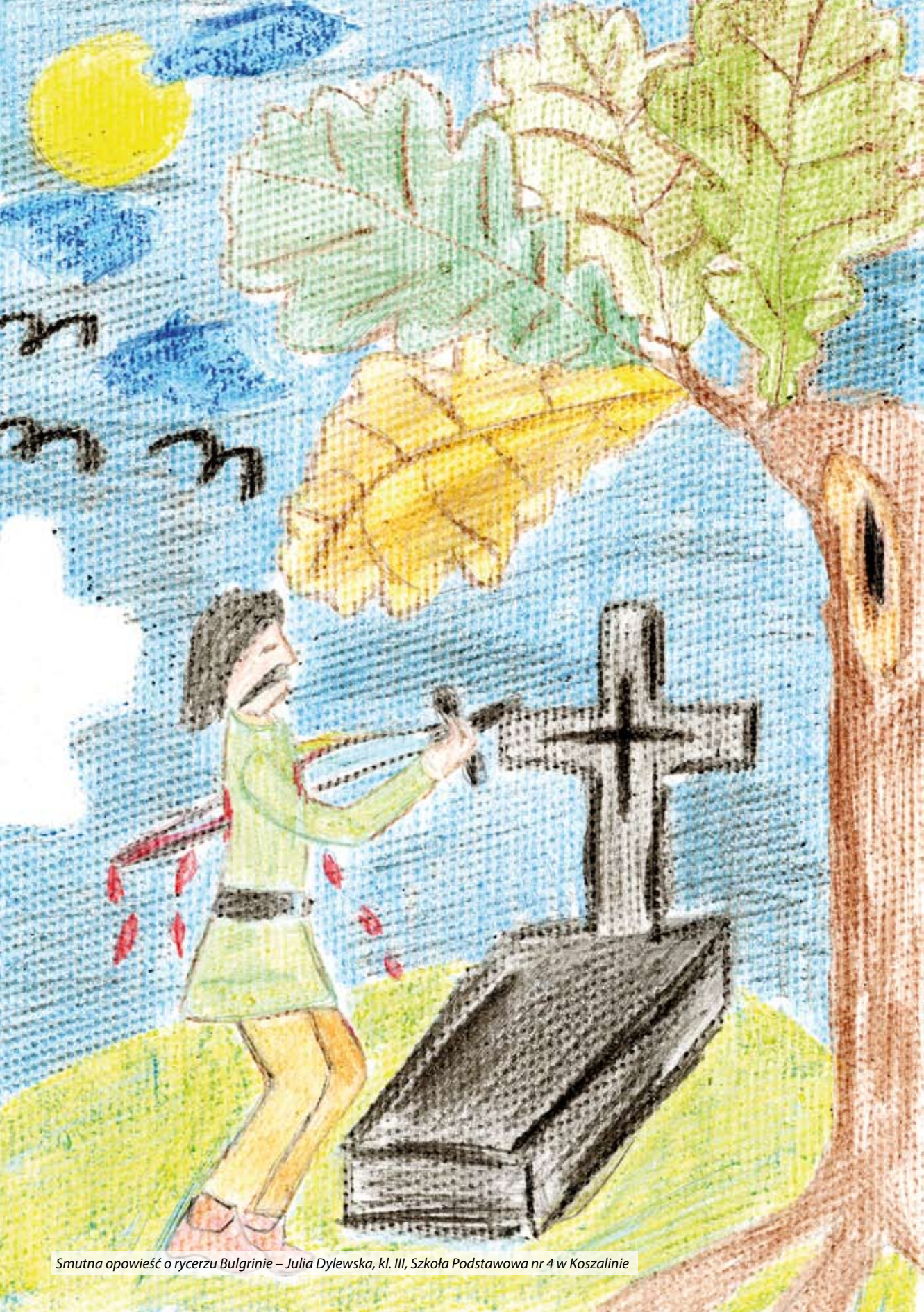
Ktoś z sąsiedztwa pobiegł do zagrody i przyprowadził stamtąd tęgiego wołu. Wspólnym wysiłkiem pomogli burmistrzowi usadowić się na jego grzbiecie – po czym otworzyli miejską bramę i zaraz cofnęli się za mury, gdyż ogarnął ich wstyd. Wół tymczasem ruszył flegmatycznym krokiem wprost przed siebie. Dopiero wówczas, gdy wół był już daleko – ostrożnie podążyli jego śladem.

Przetarł oczy ze zdumienia koszaliński burmistrz, który właśnie dotarł konno do rzeki Unieści, gdy nagle ujrzał niecodzienny widok. Oto z przeciwnej strony zbliżał się jakiś dziwny jeździec. Siedział na grzbiecie wołu odwrócony plecami, w rękach zaś trzymał ogon zwierzęcia i bezskutecznie przynaglał je do biegu. Koszalinianin zsiadł z konia i zanosząc się od śmiechu – czekał na spotkanie.



Od tego czasu rzeka Unieść stanowiła granicę między gruntami obu miast. Ustały dotychczasowe spory – tylko sianowianie przez długie lata pamiętali o wstydzie, jaki ich spotkał.





Smutna opowieść o rycerzu Bulgrińie – Julia Dylewska, kl. III, Szkoła Podstawowa nr 4 w Koszalinie

Smutna opowieść o rycerzu Bulgrinie

Jakiś nieuchwytny szept unosi się w powietrzu. Lodowatym tchnieniem wypełnia pograżoną w mroku komnatę i zamiera u wezłowania.

– Piotrze... gdzie jesteś, Piotrze?

Rycerz Bulgrin przewraca się niespokojnie na drugi bok. Beładnymi ruchami rąk odpędza od siebie natarczywy szelest. Zwid-że to nocny, czy też senny majak? Nie, nie! – to tylko wiatr zaszumiał wśród parkowych drzew. A może fale jeziora kołyszą trzciniami?

Po wyiskrzonym gwiazdami niebie snują się zwiewne obłoki. Ostry sierp księżycy wspina się powoli w górę. Już płynie nad wierzchołkami drzew, przez otwarte okno zagląda do wnętrza komnaty, smugą poświaty chyli się nad łóżem. Czemu tak zimno? To pewnie mgła nadciąga od wody. Och, gdyby można było usnąć – zapomnieć, co się tamtej nocy stało!

Nagły poryw wiatru uderza w okienne ramy. Tajemniczy szept odzywa się znowu:

– Śpij, Piotrze, odpoczywaj – brat nie powróci tu więcej!

Piotr Bulgrin gwałtownym ruchem podnosi się z pościeli. Zimny pot występuje mu na czoło, spływa po twarzy i skroniach. Szeroko otwartymi oczyma rozgląda się wokoło, jednakże w komnacie nie widać nikogo.

– Ktoś ty? – pyta zduszonym głosem. – Jakim prawem zakłócasz mi spokój?

– Jestem przy tobie zawsze i wszędzie.

– Nie widzę ciebie!

– Nikt nie ogląda własnego cienia. Jam głos twojego sumienia.

– Czemu mnie prześladujesz?

– Zabiłeś rodzzonego brata. Leży w parku pod dębem. Na zielonym wzgórzu – samotny i milczący. Ziemia go przygarnęła, wiatr mu na liściach żalobną pieśń wygrywa.

– Nie chciałem jego śmierci.

– A jednak popełniłeś zbrodnię, która woła o pomstę. Czemuś to uczynił?

– Gniew mnie zaślepił i ręka sama dobytek miecza. Choćbym poruszył niebo i ziemię, nie przywrócę mu życia.



- Więć módl się teraz za spokój jego i własnej duszy.
- Piotr opada na posłanie, ręka bezwładnie osuwa się po krawędzi łoża.
- Nie potrafię!
- Na twoich dłoniach zastygła krew braterska. Jak staniesz przed bożym sądem?
- Rozpacz i strach ogarniają duszę rycerza Bulgrina, płaczą się myśli w głowie. Zrywa się z łoża i wybiega z komnaty.
- Światła mi dajcie – woła – niechaj rozproszy ciemności. Słyszycie?
- Nikt się nie zjawia. Cały dwór pogrążony jest we śnie. Echo niesie wołanie, tłucze się o ściany i jak odbita od brzegu fala powraca szeptem:
- Bratobójca... Bratobójca!



Minęła złotolistna jesień, nadeszła pora mrozów. Śnieg zasypał drogi, okrył białym całunem dachy wioski. Gospodarze młócili zboże, rybacy naprawiali sieci. Kobiety zbierały się wieczorami i przy świetle kaganków przędły nagromadzony latem zapas wełny.

W tym czasie Piotr Bulgrin spędzał samotnie krótkie zimowe dni, rzadko tylko wychodząc celem dopilnowania w obejściu koniecznych prac. Zaniechał też sąsiedzkich odwiedzin, wymawiając się chorobą. Istotnie – dość było spojrzeć na jego przygarbioną sylwetkę, ziemistą twarz i zapadłe w głąb oczy, aby się o tym przekonać. Bardzo często wpadał w gniew z byle powodu – to znów nawiedzały go okresy melancholii. Potrafił wówczas całymi godzinami siedzieć w fotelu i nieruchomym wzrokiem wpatrywać się w okno, obojętny na wszystko, co się wokół niego działo. Cała służba dworska gubiła się w domysłach.

Najgorsze były jednak bezsenne, pełne udręki noce. Wielokrotnie rozpamiętywał każdy szczegół owej tragicznej kłótni, którą rozstrzygnął miecz – i w miarę upływu czasu ciężar winy coraz większym brzemieniem kładł się na jego duszy.

- Módl się o łaskę i pokutuj! – szeptał wewnętrzny głos.
- Daremny trud! Nie ma już dla mnie nadziei, nie ma zmiłowania – odpowiadał sam sobie.



Tak przeszły zimowe miesiące. I oto znów – jak co roku – wróciły ptaki, zazieleśniły się trawy, gałęzie drzew wykwitły pąkami młodych liści. Wysoko nad polami rozśpiewały się skowronki, wzywając rolników do wiosennych prac. Cała natura zbudziła się do życia

Pewnego dnia wyszedł rycerz Bulgrin na samotną przechadzką. Stał nad brzegiem jeziora, wsłuchując się w szum odrastających trzciny i pogwar wodnego ptactwa. Potem wzrok przeniósł na odległą mierzeję oddzielającą wody Jeziora Jamneńskiego od morskiego wybrzeża – i wreszcie bezwiednie skierował kroki w stronę parkowego wzgórza.

Nagle zatrzymał się zdumiony. Tuż obok dębu – w miejscu gdzie znajdował się ukryty przed ludzkim wzrokiem grób zabitego brata – rosły przepiękne kwiaty. Wznosiły ku słońcu na pół rozwinięte kielichy, odcinające się pąsową barwą od zielonego tła murawy.

Dostrzegł Piotr Bulgrin ten widomy znak. Ukląkł na ziemi, spojrzął w niebo i – podnosząc dłonie – takie oto złożył ślubowanie:

– Opuszczę mój dom i rodzinne strony. Udam się na pielgrzymie szlaki i nie wrócę wcześniej, zanim nie uzyskam przebaczenia. Żegnaj, mój bracie!

Gdzieś spod zmiany powiało szeptem.

– Żegnaj! Niech cię Bóg wspomaga!

Dosiadł rycerz Bulgrin rumaka siwego. Służbie przykazał strzec ojcowizny, sam zaś udał się w daleką drogę. Raz jeszcze obejrzał się za siebie i powiódł wzrokiem nad szeroką przestrzenią łąk – aż po widoczne w oddali zbocza Góry Chełmskiej, u stóp której przebiegała granica jego włości. Wreszcie spał konia ostrogami i ruszył na zachód.

Całymi tygodniami wędrował przez ogromny kraj, gdzie cesarz niemiecki, którego rzymskim nazywano, zwierzchność swą sprawował. Potem chłodził spragnione usta w winnicach Burgundii, przemierzał równiny Gaskonii i Akwitanii. W końcu ujrzał przed sobą niebotyczne pasmo Pirenejów, rozciągające się od północy aż gdzieś na południe.

Ściągnął rycerz wodze rumaka i zadumał się nad swoim losem.

– Oto przybyłem na krańce świata – rzekł do siebie. – Zwiedziłem bogate miasta i wspaniałe świątynie. Wiodłem długie rozmowy z mędrkami i świętymi – a jednak nie znalazłem w ich słowach pociechy ani zrozumienia. I choć przebyłem szmat drogi, wciąż jestem na jej początku. Cóż teraz pocznę?

Wtem ujrzał na drodze postać samotnego pielgrzyma. Był ubrany w zniszczony habit, jego bosa stopy okrywała warstwa pyłu. Szedł od strony gór, podpierając się kosturem.

Kierowany jakimś niewytłumaczonym nakazem, podniósł rycerz dłoń w górę gestem pozdrowienia i zawołał:

– Zatrzymaj się, wędrowcze!

Tamten spojrzął na niego zmęczonym wzrokiem i skłonił głowę. Wówczas Bulgrin zsiadł z konia i dzieląc się skromnym posiłkiem, opowiedział mu o swym zmartwieniu.

– Cóż ci mogę doradzić? – rzekł mnich wysłuchawszy opowieści. – Hen za górami, w hiszpańskiej krainie jest sławny klasztor świętego Jakuba de Compostela. Udaj się tam, rycerzu z północy, a z pewnością uzyskasz rozgrzeszenie.

Wziął Bulgrin do serca radę pobożnego wędrowca. Przez wiele dni z największym trudem przedzierał się skalnymi drogami, aż wreszcie dotarł do bram klasztoru. Stał



przed obliczem samego opata i w pokorze ducha wyznał swoją winę.

– Skąd przybywasz, rycerzu? – zapytał opat.

– Z dalekiej ziemi pomorskiej. Tam jest moja ojczyzna – odpowiedział Bulgrin.

Opat skrzyżował dłonie i skłoniwszy głowę, rzekł:

– Zawróć, rycerzu, w ojczyste strony! Udaj się do Koszalina, gdzie na wysokiej górze Chełmską zwanej, stoi cudowna kaplica pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny. Klęknij u jej progu i przyjmij pokutę, jaka zostanie ciznaczona.

Wówczas nastąpiło coś nieoczekiwanego. Twarz Piotra Bulgrina oblała się szkarłatem. Zaciśnął pięści, spojrzał wokoło dzikim wzrokiem i krzyknął:

– Więc po co przebyłem setki mil, aby się dowiedzieć, że się daremnie trudziłem? Tam, pod Górą Chełmską pasterze moje woły pasą. Niech piekło pochłonie mnie samego i wszystko, co posiadam!



Wrócił Piotr Bulgrin do Osiek i przebił się mieczem na grobie brata. Od tamtych czasów jego dusza błąka się nad brzegami Jeziora Jamneńskiego, a wiatr jesienny unosi w poszumie fal jej żalosne wołanie.



Kamień szczęścia

Przed wielu laty mieszkał w okolicach Polanowa pewien gospodarz. Był to człowiek uczciwy, bogobojny i pracowity jak rzadko – a mimo to nie wiodło mu się w gospodarstwie. To burza gradowa zniszczyła dojrzewające zboże, to znów padła krowa, kiedy indziej najstarszemu synowi sieczkarnia obcięła dwa palce u ręki i teraz nie miał kto pomóc w pracy. Słowem – jedno nieszczęście goniło za drugim. Cokolwiek by nie przedsięwziął, wszystko obracało się wniwecz. Gospodarka upadała, natomiast rosły długi.

– Cóż za nieszczęsny los mnie prześladowuje! – mawiał nieraz z goryczą sam do siebie. – Ciężko pracuję, niczego nie zaniedbuję, nikt też nie może powiedzieć, bym mu krzywdę wyrządził, a jednak Pan Bóg zsyła na mnie różne plagi. Nie wiem doprawdy, czym zawiniłem?

Wreszcie – jak gdyby nie dość było tego wszystkiego – pewnego dnia padł mu koń. Kiedy rano przyszedł do stajni, by jak co dzień napoić go i nakarmić, zwierzę leżało zimne i martwe. Z rozpaczy ścisnął głowę obiema rękami i siedział przez dłuższy czas bez ruchu. W końcu jednak zebrał się w garść, gdyż zrozumiał, że rozpacz ani narzekania nikomu jeszcze nie pomogły. trzeba było jakoś zaradzić, i to szybko, gdyż bez konia nie można było nic w polu zrobić.

– Trochę pieniędzy mam! – pomyślał. – Chowałem je na czarną godzinę i oto przyszła pora, że trzeba je wydać. Resztę dopożyczę, ale już teraz muszę się rozejrzeć za kupnem innego konia. Inaczej doprowadzę gospodarstwo do ruiny.

Wyjął z kufierka chudy mieszek, nacisnął czapkę na głowę i udał się do Polanowa. Wstąpił w niejedno miejsce, pieniądze dostał, lecz sprawy nie załatwił. Był to akurat okres pilnych prac w polu, więc o konia było trudno.

Tak zmarnował cały dzień. Kiedy wracał do domu, zrobiło się już zupełnie ciemno. Aby skrócić drogę wybrał wąską ścieżkę prowadzącą przez Świętą Górę. Nie obawiał się zbłądzenia, ponieważ wiele razy tędy przechodził. Teraz mimo ciemności szedł również śmiało naprzód, wspinając się po dość stromym zboczu.

Kiedy znalazł się na szczycie wzgórza, w miejscu, gdzie przed wielu laty stała drewniana



kapliczka, nagle ujrzał jakieś światło. Przed nim na wysokości oczu lekko kołysał się ognik – jak gdyby ktoś podniósł latarnię, by oświetlić sobie drogę. Jednak – rzecz dziwna – ów ognik wcale nie oświetlał otoczenia, lecz istniał po prostu sam dla siebie.

Gospodarz zatrzymał się i pilnie nasłuchiwał. Wokoło panowała niezmacona cisza, nawet liście zasnęły na gałęziach drzew. Wówczas przypomniał sobie, że ktoś opowiadał o podobnym wydarzeniu na Świętej Górze. Ów człowiek był przekonany, że to duchy w postaci błędnych ogników unoszą się wśród drzew i sprowadzają nieostrożnych na manowce. Zrobiło mu się nieprzyjemnie. Czym prędzej minął niewielką polanę i zaczął schodzić w dół. Błyszczący ognik stale unosił się przed nim.

Raptem światelko zgasło. Gospodarz zatrzymał się i w tej samej chwili usłyszał wyraźny rozkaz, dochodzący jakby spod ziemi:

– Weź to ze sobą! – Pod nogi wędrowca upadł jakiś przedmiot.

Gospodarz przeraził się i stał jak sparaliżowany, bojąc się ruszyć z miejsca. Potem jednak ochłonął z zaskoczenia.

– Przecież nic złego nie zrobiłem, więc co mi się może stać? – uspokoił sam siebie.

Schylił się i zaczął rękami szukać przedmiotu, który mu podrzucono. Po krótkich poszukiwaniach znalazł niewielki kamień. Przez chwilę trzymał go w dłoni, nie wiedząc, co z nim począć, w końcu jednak schował go do kieszeni z zamiarem dokładnego obejrzenia w domu.

W izbie okazało się, że był to rzeczywiście zwykły mały kamień, jakich pełno znajduje się na polach. Rozczarowany – już chciał go wyrzucić przez okno. Gdy jednak zastanowił się nad okolicznościami, w jakich go znalazł, zmienił poprzedni zamiar.

– To kamień ze Świętej Góry! – pomyślał. – Na pewno posiada jakąś tajemniczą siłę, której na razie jeszcze nie znam. Najlepiej będzie, jeśli go zakopię pod progiem stajni. A może mi przyniesie szczęście?

Nic nie mówiąc żonie ani dzieciom – poszedł do stajni i wykonał, co zamierzał. Kiedy następnego dnia rano otworzył wrota – ujrzał przy żłobie mocno zbudowanego konia, który na jego widok obrócił głowę i zarżał wesoło.

Od tego czasu sytuacja gospodarza zmieniła się nie do poznania. Zboża i jarzyny obrodziły jak nigdy, inwentarz pomnażał się, a koń pracował za dwóch. Wszyscy sąsiedzi winszowali mu dobrych wyników i chwalili gospodarstwo. Przyjmował ich słowa z uśmiechem, ponieważ tylko on wiedział, w czym leży tajemnica jego powodzenia.

Tak dożył późnej starości i do końca życia wiodło mu się dobrze.



Kamień szczęścia



O księżniczkach,
zbójcach,
karzełkach i...

55



O złych wróżkach i cudownym źródleku

Przemykały się chyłkiem, pod osłoną nocy, na umówione miejsce. Szły pojedynczo, mijając dom za domem, i dopiero na skraju miasteczka złączyły się w jedną grupkę. Tutaj były pewne, że nikt ich nie będzie podpatrywał. Wąska dróżka, zaledwie widoczna w ciemnościach, wiodła je do samotnej chaty w polu. Każdy w Polanowie wiedział, że tu mieszka stara Odrzycha, która zajmuje się wróżbami i czarami.

Rozległo się skrzyknięcie furtki i wreszcie wszystkie kobiety stanęły na wprost zamkniętych drzwi, ukrytych w podcieniu. Chata wyglądała jak wymarła, żaden promień światła nie przedostawał się przez szczelnie zasłonięte okna.

Jedna z przybyłych kobiet uniosła kostur w górę i trzykrotnie uderzyła nim w drewniane drzwi. Po chwili usłyszały szurgot kroków i ciche pokaszliwanie. Szczęknęła zasuwa, kobiety jedna za drugą zniknęły w ciemnej sieni.

Usiadły na ławie, skupiając się tuż pod kominem. Chusty zsunęły na ramiona – w czerwonym blasku płonących drewnien wylaniały się z cienia pomarszczone wiekiem twarze z opadającymi na czoła pasmami siwych włosów.

Odrzycha schyliła się pod piecem. Zebrała z ziemi kilka kawałków drewna i wrzuciła je do ognia. Potem odwróciła się do zebranych kobiet i powiedziała:

- Chciałam, żebyśmy uradziły, co dalej robić.
- Już tak dalek być nie może! – zaczęły mówić wszystkie naraz.
- Trzeba z tym skończyć, inaczej przepadniemy!

W izbie powstał gwar, który wkrótce przerodził się w kłótnię.

– Dość tego! – krzyknęła wreszcie Odrzycha. – W ten sposób do niczego nie dojdziemy. Skoro nie możemy poradzić same, trzeba udać się z prośbą o pomoc do tego, kto nami rządzi i od którego wiedzę tajemną czerpiemy!

Gwar umilkł natychmiast.

– Weźcie się wszystkie za ręce, niechaj zamknie się łańcuch! – rozkazała. Sama stanęła pośrodku koła, uniosła w górę obie dłonie i wolno, słowo za słowem, zaczęła mówić zaklęcie:



– Przyjdź, władco podziemnego państwa, przyjdź, Książę Ciemności i wysłuchaj naszych próśb! Oto imieniem danej mi przez piekło władzy wzywam cię na pomoc i wołam: przyjdź, Belzebubie i stań wśród nas!

W tej chwili czerwony płomień oświetlił wnętrze izby i w kącie obok drzwi stanęła ogromna postać sięgająca głową aż do belek powały. Czarna opończa spływała po niej obfitymi fałdami, spod głęboko nasuniętego na głowę kaptura świeciło dwoje niesamowitych oczu.

– Oto jestem! – głos przybyłego zahuczał jak grzmot pioruna. – Któż to mnie wzywa i czego potrzebuje?

Odrzycha wysunęła się nieco do przodu i złożywszy Belzebubowi głęboki ukłon, tak zaczęła mówić:

– Żle się dzieje, o panie nasz i władco! Odkąd ludzie poznali cudowną moc źródelka, które wytrysło pod Świętą Górą, nie ma już w Polanowie miejsc dla twych wiernych służebnic.

– Cóż to za źródło, które władzę moją w cień usuwa? – zapytał zdziwiony Belzebub.

– Dziwne to źródło, o panie, i moc takową posiada, której rady dać nie możemy. Kto tylko wodę z tego źródła pije, tego się żadna choroba nie ima. Nie masz więc chorych ludzi w Polanowie i całej okolicy. Od dawna nikt już do nas nie przychodzi i nie szuka porady, nikt nie zamawia ziół czy też innych leków. Śmieją się z naszych zaklęć i omijają nas z daleka.

Belzebub stał nieporuszony i słuchał pilnie.

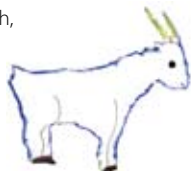
– Ale to jeszcze nie wszystko – ciągnęła dalej Odrzycha. – Ponieważ ludzie wolni od chorób i innych dolegliwości żyją, więc zmieniły się ich obyczaje. Nie przychodzą także już do nas dziewczęta, by im lubczyk zgotować i miłość chłopca zjednać. Wszyscy żyją w zgodzie i pobożności. gdzież więc twoja władza, o panie nasz i władco? Jeśli tak dalej będzie – utracisz wszystkie dusze w tej okolicy, my za pomrzemy z głodu. Więc pomóż nam, wielki Belzebubie, zniszczyć to źródło dobra.

– Sprawa jest ważna – rzekł Belzebub, wysłuchawszy skargi. – Jutro zabiorę się do dzieła, wy zaś czekajcie cierpliwie.

Po tych słowach owinął się opończą i rozpląnął w powietrzu.

Nazajutrz od samego rana przystąpił Belzebub do wykonania swych szatańskich zamiarów. Przed południem obiegił Żdźzary, przyjrzał się wesołym twarzom ludzi i zszedł w dolinę, udając się do Polanowa. Niezauważony przez nikogo przeleciał wichrem główną ulicą miasteczka i włóczył się po polach, szukając odpowiedniej okazji do wykonania swych zamysłów. Okolice Polanowa – jak okiem sięgnąć – zieleńły się świeżą barwą wiosennych zasiewów. Ze szczytu Świętej Góry, gdzie stała niewielka kapliczka, dobiegał dźwięk sygnaturki, wzywający wiernych na modlitwę. Diabeł pocił się i krzywił niemilosiernie – jasny dźwięk wwiercał mu się w uszy, wstrząsał dreszczem od głowy aż do kopyt. Przemógł jednak ogarniający go wstręt i zbliżył się do Świętej Góry. Słyszał wyraźnie szemranie strumyka, widział ludzi, którzy schylali się nad źródelkiem i pili cudowną wodę. Tego widoku Belzebub nie mógł już znieść – w nagłym porywie wściekłości owinął się chmurą dymu i popędził nad polami.

Już chciał przelecieć nad Wzgórzami Baranowskimi, by tamtędy udać się do swego podziemnego królestwa, gdy nagle na zboczu Świętej Góry ujrzał małego chłopczyka, który



pasął dwie owieczki i jedną kozę. Nie namyślając się długo wskoczył w skórę kozy tak gwałtownie, że biedne zwierzę upadło na ziemię i przez dłuższą chwilę leżało nieruchomo.

A potem zaczęło się niesamowite widowisko: koza zerwała się z ziemi w dzikich podskokach i tocząc się przez łeb, spadała ze zbocza góry. Za sobą wlokła urwany postronek. Przerażony chłopiec biegł za nią bezradny. Nie wiedział, jak poskromić zwierzę.

Na szczęście przechodzili właśnie drogą dwaj mężczyźni. Widząc zapłakanego chłopca, natychmiast pospieszyli mu z pomocą. Jeden z nich zastąpił kozie drogę i chwycił ją za rogi, drugi natomiast przytrzymał za powróż u szyi. Wtedy koza potrząsnęła łbem i w oszalałych susach pobiegła ulicą miasteczka, wlokąc za sobą niefortunnych pogromców. Ludzie wybiegli z domów i pokładali się ze śmiechu, widząc, jak małe zwierzę ciągnie za sobą dwóch roslých mężczyzn. Wreszcie jednemu z nich udało się wyrwać z opresji, drugiego natomiast koza zawlokła do własnej obory. Tam stanęła przy żłobie i zaczęła beczeć tak głośno, że zbiegło się pół miasteczka.

Nikt jednak nie umiał sobie poradzić ze zwariowaną kozą, która to kładła się na grzbiecie, to stawała w żłobie wszystkimi czterema nogami, a przy tym tak niesamowicie przewracała oczyma, że ludziom ciarki po grzbiecie chodziły. Wreszcie wszyscy orzekli, że to nic innego, tylko sprawka nieczystych sił, i postanowili sprowadzić na miejsce znachorkę.

– Idźcie po starą Odrzychę – mówili – ona na pewno znajdzie jaką radę.

Kiedy Odrzycha przybyła na miejsce zrozumiała od razu, że to sam Belzebub ukrył się w skórze zwierzęcia.

– Wyjdźcie wszyscy z obory – powiedziała. – Muszę na jakiś czas zostać przy kozie sama.

Wyniesli się wszyscy bez sprzeciwu i cierpliwie czekali pod wrotami. Tymczasem Odrzycha przy pomocy tajemnych sposobów porozumiała się z Belzebubem, a kiedy wyszła z obory, wiedziała już, co ma zrobić.

– Widzę tylko jedną radę – rzekła do stojących wokół ludzi. – Trzeba zaprowadzić kozę do źródelka pod Świętą Górę. Woda, która uzdrowia ludzi, pomoże również zwierzęciu.

Nie czekając na nikogo, sama wzięła kozę na powróż i bez oporu zaprowadziła ją do źródelka. Tłum ludzi przyszedł za nią ciekawy, co się stanie. Tymczasem zwierzę rozkraczyło się nad strumykiem i zaczęło pić wodę tak zachłannie, że przerażeni ludzie puciekali jeden za drugim.

Koza piła bez przerwy. Tułów jej pęczniał, a w strumyku ubywało wody. Płynął teraz cieniutką niteczką, aż wreszcie zostało tylko kilka kropel. I te jednak koza zlizwała swym szorstkim językiem.

Wtedy rozległ się potężny huk. Ci, którzy pozostali do końca, z przerażeniem upadli na ziemię. Nad pustym korytem strumyka, gdzie jeszcze przed chwilą stała koza, uniosła się chmura cuchnącego siarką dymu i rozległ się szyderczy śmiech. Gdy potem wiatr rozwiął chmurę, ludzie znaleźli rozciągniętą na ziemi skórę kozy i jej zwęglone zwłoki. Obok był zupełnie wyraźny odcisk kopyta: z tego właśnie miejsca Zły uleciał w powietrze.

Polanów i okolice znowu nawiedziły choroby, a złe wiedźmy radośnie uprawiały swój diabelski proceder.





O kamienistym polu Mateusza - Dominik Klim, kl. I, Szkoła Podstawowa nr 4 w Koszalinie

O kamienistym polu Mateusza

Ciężko się żyło Mateuszowi i jego dużej rodzinie. Często pod wieczór siadał na przyzbie, pykał fajkę i patrząc na swoje obejście rozmyślał zasmucony.

– Jakże tu wyżywić moje dzieciśka. Pole mam niewielkie, łąki też kawałeczek. Ani to zasiać więcej, ani to zostawić jakąś jałówkę, by choć dwie krowy mieć w oborze. Przydałby się też może jakiś choć spłachetek. A tu jeszcze wójtowi trzeba oddać pół korca owsa i pół korca żyta. Ech... – ciężko wzdychał.

Troskała się też i żona Mateusza-Jagna. Co rano kroїła duże pajdy żytniego chleba, które posmarowane leciutko masłem dawała każdemu z sześciorga dzieci do ręki. Miało to wystarczyć do popołudnia, kiedy wszyscy zasiadali wokół drewnianego stołu, na którym w dużej misie dymiła omaszczona skwarkami kasza.

Którego dnia, a była to niedziela i wszyscy szli do Iwięcina na mszę, spotkał Mateusz dawno niewidzianego starego Jakuba. Trochę mu się poużalał na los.

– Powiedz-no, kumie, co ja mam robić? – zakończył zmartwiony.

Jakub, z uwagi na swój wiek, uchodził w okolicy za człowieka mądrego, takiego, co to w każdej sprawie poradził.

– Słyszałem, że wójt chce oddać w dzierżawę kawałek pola na „diabelskich wzgórzach” – zaczął. – Nie jest to ziemia łatwa do obrobienia, gdyż pełno na niej kamieni. Ale pogadać z wójtem nie zaszkodzi.

Mateusz wiedział, o jakim kawałku ziemi mówił Jakub. To pasmo małych pagórków między Iwięcinem a Wierciszewem. Ale jakieś one tajemnicze. Ludziska nawet nie chcą o nich mówić, jakby się czegoś bali.

– Niby to niedaleko od mojej chałupy-pomyślał jednak. – Może rzeczywiście pójdę do wójta i zapytam.

Jak pomyślał, tak zrobił. Ubrał się wiec odświętnie, żeby nie wyglądać na ostatniego dziada i stanął się przed wójtem. Ten wysłuchał Mateusza i w końcu powiedział:

– Dam ci, Mateuszu, ten kawałek gruntu pod warunkiem, że usuniesz z niego wszyst-



kie kamienie. – Wiem, że przyjeżdżają po nie chłopci aż z Jamna i Łabusza, bo używają ich do brukowania swych dróg, ale ważniejsi dla mnie są moi chłopci. Bo to oni zapełniają moją stodołę, a ta ziemia powinna rodzić dorodne zboże.

Mateusz przystał na taką propozycję wójta i już w weselszym nastroju wracał do domu. Nawet sobie po drodze pogwizdywał pod nosem.

Jagnie też się spodobała ta nowa sytuacja Wreszcie może i dzieci nie będą głodne, może będzie mogła sobie kupić na jarmarku w Koszalinie nową chustę.

– Kupimy drugą krowę, mleko i sery sprzedam – rozmarzyła się.

Przyszła wiosna i czas przygotowań do orki. Wyciągnął Mateusz sochę z szopy i wybrał się na pole. Jednakże co sochę zanurzył w ziemi, ta zahaczała o kamienie. I tak było cały czas – nazajutrz i następnego dnia też.

– Nigdy sobie z tymi kamieniami nie poradzę! – w końcu przyznał. – Co to mi za wójtowa łaska.

Kamieni było bez liku, nawet on i jego synowie nie zdołali wszystkich wyzbierać.

I znów popadł w stan smutku i zniechęcenia. Więc któreś nocy, kiedy nie mógł spać, poszedł na pole, by wyrzyczyć swoją niedolę.

Noc była piękna, księżycowa. Było dość jasno, więc widział swoje pole jak na dłoni, gdy nagle coś zamajaczyło w oddali.

– Co to, do diabła! – wytrzymał wzrok. – Ktoś też nie może spać?

Postać zbliżała się dość szybko. Biegła. Na plecach miała jakby worek, jakby garb...

To, co zobaczył Mateusz, wprawiło go w ogromne zdumienie. Oto przez pole, susami, biegł diabeł, a z worka wysypywały się kamienie – większe i mniejsze, jeden po drugim.

– Ach, to tak! – wykrzyknął Mateusz. – No, ja ci pokażę! – zawołał. Diabeł jak szybko się pojawił, tak szybko zniknął. A Mateusz, już uświadomiony, co mogło być przyczyną jego stanu i sytuacji, w jakiej ciągle tkwiła jego rodzina, spokojnie wrócił do domu i położył się spać.

Kiedy nadeszła niedziela i całą rodziną udał się do kościoła, po nabożeństwie poprosił księdza, by poświęcił jego pole i przepędził z niego diabła raz na zawsze.

Gdy na pole opadły krople święconej wody, skoczyły się kłopoty Mateusza. Ludzie mówili, że kamienie pojawiły się później koło Wierciszewa. Czy to znowu sprawka diabła? Do dziś nie wiadomo.



O tym, jak chłopcy z Sianowa kąpali się w rzece

Było gorące popołudnie, kiedy sześciu chłopców z Sianowa wybrało się nad rzeczkę Unieść.

– Cały dzień marzyłem, by się wykapać! – krzyknął jeden z nich ściągając z siebie koszulę i wskakując szybko do wody. Za nim wskoczyli następni.

Leniwie płynąca rzeczką przyjemnie chłodziła ich ciała. Baraszkowaniu i wzajemnemu opryskiwaniu się nie było końca. Raz się zanurzali, kryjąc w wodzie nawet głowy, to znów wypływali na wierzch, podskakując przy tym i pokrzykując wesoło.

Tymczasem słońce powoli przesuwało się za Górę Chełmską, która swoją wysokością zaczęła przysłaniać rzucane na ziemię ostatnie tego dnia promienie słońca.

– Ej, chyba trzeba już wracać – stwierdził najmłodszy.

– No – odpowiedział inny – muszę jeszcze spędzić z łąki nasze krowy. Mama będzie się gniewać, a przecież ten obowiązek do mnie należy.

Z wielką niechęcią zaczęli wychodzić na kawałek piaszczystego brzegu, gdzie porozrzucane, leżały w nieładzie ich zgrzebne koszule. Zanim się ubrali, jeden z nich chciał sprawdzić, czy są wszyscy. Zaczął więc liczyć, ale za każdym razem naliczył ich pięciu.





Jak chłopcy z Sianowa kąpali się w rzece – Wojciech Lewandowski, kl. II, Zespół Szkół w Tymieniu

– Raz, dwa, trzy, cztery, pięć – dotykał palcem swoich kolegów.

Pokręcił zmartwiony głową.

– No przecież było nas sześciu! Co się stało?

I rozplakali się chłopcy, bo nagle pomyśleli, że jeden z nich mógł podczas tej zabawy utonąć. Zabawa była przednia, ale przez nieostrożność i bezmyślność podczas zanurzania się któryś z nich mógł się wodą zachłysnąć i już nie wypłynąć.

I byliby tak przerażeni pewnie rozpaczali dłużej, gdyby nie pewien wędrowiec, który szedł drogą od Koszalina.

– Co się stało, czemu tak lamentujecie? – spytał, podchodząc do nich.

I oni wówczas, łkając, że trudno było ich zrozumieć, opowiedzieli o tym, jak spędzali ten piękny popołudniowy czas, jak się kąpali, ale chyba byli zbyt rozweseleni i nierozważni, bo jednego z nich nie mogą się doliczyć.

– Chyba utonął – powiedział w spazmach znów ten najmłodszy. Było nas sześciu, a teraz, kiedy liczymy, jest tylko pięciu.

Wędrowiec pokiwał głową ze zrozumieniem, ale miast smutku i współczucia na twarzy, pojawił się lekki uśmiech.

– Ano – odezwał się wreszcie – wetknijcie nosy wasze w piasek i policzcie, ile jest w tym piasku dziurek.

Zrobili, jak, im poradził. Każdy z nich pochylił się do ziemi i w suchym piasku pojawiło się sześć małych wgłębien.

– Policzcie teraz jeszcze raz – powiedział i odszedł spokojnie, bo przecież zdał sobie sprawę jaki błąd chłopcy ciągle popełniali, i że nie stało się nic złego.

– Raz, dwa, trzy, cztery, pięć i sześć – odliczył znowu ten najstarszy. – No tak, już teraz wszystko jest jasne. I wytłumaczył swoim kolegom, dlaczego się ciągle mylił w liczeniu.

Chłopcy się wreszcie uspokoili i w dobrych już nastrojach wrócili do domów.

Gdy dorośli, często wspominali to zdarzenie. W tajemnicy powiem, że jeden z nich został później burmistrzem Sianowa.

A Ty, jak myślisz? Dlaczego chłopcy nie mogli się ciągle doliczyć wszystkich sześciu?





O dwóch braciach rycerzach i ich niesławnej śmierci – Hubert Gromowski, kl. II, Szkoła Podstawowa nr 4 w Koszalinie

O dwóch braciach rycerzach i ich niesławnej śmierci

Wschodzące słońce rumieniło mury darłowskiego zamku. Park tonął w zieleni, drobne kropelki rosy migotały na liściach drzew. Majowy poranek rozbrzmiewał świergotem ptaków. Ukryty w gęstwinie słowik, przyjaciel wszystkich zakochanych, wyśpiewywał trele na cześć życia i miłości.

Żwirowanymi alejkami parku, zbiegającymi aż do brzegów Wieprzy, przechadzali się dwaj bracia: jeden miał na imię Wilhelm, drugi zaś Ryszard. Od dzieciństwa bardzo się kochali, a i później wędrowali razem po wojennych szlakach, ochraniając się wzajemnie i pomagając w potrzebie jeden drugiemu. Cóż więc spowodowało, że oto teraz rozeszły się ich drogi? Czemu na twarzy popędliwego Wilhelma maluje się gniew, czemu pełen nienawiści wzrok kieruje w stronę młodszego brata?

Przyczyną braterskiej waśni stała się obecność księżniczki Gertrudy, która przed paru tygodniami przyjechała z Kamienia Pomorskiego, aby odwiedzić swego wuja, księcia Bogusława. Jej niezwykły wdzięk i uroda podbiły serca wszystkich dworzan. Nic tedy dziwnego, że obaj bracia zakochali się w niej bez pamięci.

Piękna księżniczka znalazła się w nie lada rozterce, gdyż sama nie wiedziała, który z rycerzy podoba jej się bardziej: władczy i męski Wilhelm, czy też subtelny niebieskooki Ryszard. Toteż – nie mogąc się zdecydować – jednakową sympatią obdarzała obu braci i w ten sposób nieświadomie pogłębiała narastającą między nimi wrogość.

W jednym z zamkowych okien uchyliła się firanka, a po chwili na sąsiednim balkonie ukazała się dziewczęca postać. Właśnie przechodził tamtędy Ryszard. Ujrawszy ją, skłonił się nisko i zawołał z uśmiechem:

– Witaj, Gertrudo! Przy twojej urodzie blednie majowy poranek!

Księżniczka zarumieniła się i opuściła głowę. Przez chwilę bawiła się różą, którą trzymała w dłoni. Potem spojrzała na rycerza i uśmiech jak promień słońca rozjaśnił jej dziewczęce lica.

– Witaj, trubadurze! – odpowiedziała zartobliwie. – Oto nagroda za twe miłe słowa!



Pąsowy kwiat upadł pod nogi młodzieńca. Ten podniósł go, ucałował i schował na piersi. Raz jeszcze spojrzął w górę, lecz na balkonie ani w oknie nie dostrzegł nikogo, tylko firanka poruszała się lekko, jakby kołysał ją wiatr.

W tym czasie Wilhelm stał ukryty za drzewem. Zazdrość i gniew całkowicie ovladnęły jego myślami. Słyszał ich głosy, widział uśmiechy, a lot pąsowej róży nasycił jego oczy krwawym odbłaskiem. Nie panując już nad sobą, wybiegł z ukrycia, zastąpił drogę Ryszardowi i zawołał:

– Skończyła się moja cierpliwość, teraz wiem już wszystko!

Ryszard stał jak osłupiały, nie mogąc wymówić słowa. Jeszcze nigdy nie widział brata tak wzburzonego.

– Czego chcesz? – spytał wreszcie.

– Krwi...! – krzyknął Wilhelm. – Nie masz dla nas obu miejsca przy jej boku. Niech więc miecz rozstrzygnie, komu to miejsce przypadnie!

Poblądła twarz łagodnego Ryszarda, a jego oczy napełniły się łzami. Spojrzął na brata i rzekł:

– Czemuż, nieszczęsny, pragniesz rozlewu krwi? Serca Gertrudy mieczem nie zdobędziesz. Pójdźmy do niej, niechaj wybiera między nami. A może odrzuci i ciebie, i mnie?

Ale Wilhelm był nieubłagany.

– Na nic twoje tłumaczenia! – krzyknął dobywając miecza. – Stawaj do walki!

Lecz Ryszard nie mógł znieść myśli, że oto przychodzi mu walczyć z rodzonym bratem.

– Błagam cię Wilhelmie, zastanów się! To, co chcesz uczynić, jest zbrodnią!

Jednakże wzburzonego Wilhelma nic już nie mogło powstrzymać.

– Stawaj do walki, ty tchórze! – rzucił obelgę.

Twarc Ryszarda oblała się szkarłatem. Teraz wiedział już, że nie zdoła uniknąć walki.

– Dobrze więc, skoro tak chcesz! – zawołał. – Proszę cię tylko o jedno: nie czynimy tego tutaj, w pobliżu niej!

– Więc gdzie?

– Jedźmy pod bramy Stargardu, gdzie pola dosyć i od zamku daleko. Resztę niech los rozstrzyga.

Natychmiast wyruszyli z darłowskiego zamku, każdy inną drogą. Zrozpaczony Ryszard chował w sercu cię nadziei, że może w drodze brat się rozmyśli, że gdy ochłonie z gniewu, zmieni swe nieszczęsne zamiary i będzie skłonny do pojednania.

Niestety, jego nadzieje okazały się płonne. Kiedy ujrzał w oddali mury Stargardu, czekał tam już na niego Wilhelm, który na widok zbliżającego się brata dobył miecza, spiął konia ostrogami i z furią rzucił się do starcia.

– Zatrzymaj się, Wilhelmie! – zawołał Ryszard. – Jeszcze tutaj możemy dojść do zgody!

– Broń się! – odkrzyknął Wilhelm.

Rozpoczęła się walka na śmierć i życie. Kurz wzbił się pod niebo, jak gdyby chciał zakryć przed ludzkimi oczyma ów straszny obraz. Niekiedy wynurzały się z niego wyolbrzymione sylwetki jeźdźców, by zewrzeć się znowu na otwartej przestrzeni. Miecz szczękał o miecz



tak głośno, że wywołał mieszkańców grodu, którzy wyszli na mury i obserwowali w milczeniu przebieg pojedynku.

Ryszard bronił się dzielnie, lecz w końcu uległ. Przeszyty mieczem, upadł na ziemię nieżywy.

Wtedy dopiero Wilhelm ochłonął. Zsiadł z konia i stanął nad stygnącymi zwłokami brata, trzymając w dłoni skrwawiony miecz. Teraz zrozumiał, jak straszną popełnił zbrodnię. Ukłąkł na ziemi, spojrzął w jego zasnutę bielmem śmierci oczy i gorzko zapłakał.

– O mój bracie, nieszczęsny Ryszardzie! – wołał w rozpacz. – Czemu przedtem nie usłuchałem twej rady! Na moich dłoniach braterska krew, której nic nie zmaże. Po tym, co uczyniłem, nie masz już dla mnie życia!

To mówiąc, przebił się własnym mieczem i legł martwy obok. Czerwony blask zachodzącego słońca oświetlał pole walki i zwłoki obu rycerzy.

Gdy dokonano się krwawe dzieło, mieszczanie wyszli zza murów i pochowali w polu nieszczęsnych braci, wkładając do wspólnego grobu splamione braterską krwią miecze.

Wiść o tym wydarzeniu szybko dotarła do mieszkańców darłowskiego zamku, wywołując zgrozę. Księżniczka Gertruda zamknęła się w swojej komnacie i przez wiele tygodni nie pokazywała się nikomu. Nie mogła wprost uwierzyć, że oto nigdy już nie usłyszy gorących wyznań Wilhelma ani też nie ujrzy uśmiechu Ryszarda, któremu w ów nieszczęśliwy dzień podarowała kwiat róży. W głębi duszy czuła się współwinną niesławnej śmierci obu rycerzy.

Pewnej nocy nawiedził ją dziwny sen. Jakaś niewytłumaczona a przemożna siła kazała jej opuścić komnatę i wyjść na balkon. Gdy to uczyniła, wówczas ujrzała na zalanym księżycową poświatą dziedzińcu postacie Wilhelma i Ryszarda. Bracia wyciągali do niej ręce, jakby prosili o ratunek.

– Cóż mam dla was uczynić? – zapytała Gertruda pełnym lęku głosem.

– Każ przenieść nasze ciała do kaplicy zamkowej – usłyszała odpowiedź podobną do tchnienia wiatru. – Wtedy uzyskamy spokój.

Następnego dnia książe wysłał do Stargardu zbrojny oddział oraz wozy z dwiema trumnami i polecił przywieźć do Darłowa ciała obu rycerzy. Po otwarciu grobu okazało się jednak, że ciała braci gdzieś zniknęły, natomiast zostały jedynie oba naruszone już przez rdzę miecze. Przywieziono je do zamku i zamurowano w stopniach kaplicy.

Od tego czasu dusze braci odzyskały spokój, gdyż nie ukazywały się więcej, księżniczkę zaś przestały nawiedzać złe sny.





Lestek na królewskim dworze – Nikola Wojtkowiak, kl. III, Szkoła Podstawowa nr 6 w Koszalinie

Lestek na królewskim dworze

Kiedy nad Sławnem zapadła noc, Lestek rozciągnął na ziemi swój pasterski kozuch i ułożył się na nim wygodnie. Szeroko otwartymi oczyma patrzył w górę na roje gwiazd – szukał wśród nich tej jednej, szczęśliwej. Owce leżały spokojnie i nie sprawiały kłopotu czuwającemu pasterzowi. Mały kudłaty piesek spał obok, zwinięty w kłębek.

W gruncie rzeczy nie miał Lestek powodów do narzekania. Lato było pogodne, gospodarz ufał mu i rzadko na pastwisko zaglądał. Karmił nie najgorzej i dach nad głową na stałe zapewnił – czegoż więc jeszcze żądać? Pewnie, przydałoby się mieć odświętne ubranie, buty porządne na zabawę, ale skąd na to wziąć? Może jesienią, kiedy skończą się letnie wypasy. Wtedy owce wrócą pod dach a gospodarz obliczy, ile to Lestek przez ten czas zarobił.

Nagle pies podniósł głowę i zaczął węszyć. Lestek usiadł na kozuchu i rozejrzał się wokoło.

– No, ruszamy w obchód! – rzekł do czworonożnego pomocnika. Pies zerwał się natchmiast i merdając z radości ogonem, krążył w pobliżu swego pana.

Byli już chyba w połowie drogi, gdy wtem niedaleko rozległo się krótkie, urywane szczekanie. Lestek przyspieszył kroku, niepokój psa wskazywał bowiem wyraźnie, że ktoś obcy zbliża się do trzody.

– Kto to może być? – pomyślał chłopak, gdy w pewnej chwili ujrzał przed sobą wysokiego, mocno zbudowanego mężczyznę. Odblask księżyca spływał po jego długiej płomiennej brodzie, całą zaś postać okrywał płaszcz czerwonej barwy.

Stali naprzeciw siebie. Obcy powolnym ruchem uniósł w górę prawą rękę i cicho gwizdnął. W tej samej chwili stanęło przy nim pięć wielkich czarnych psów o oczach błyszczących jak rozżarzone węgle. Z nozdrzy sypały im się snopy iskier. Przerazonemu pastuszkowi wydawało się, że oto nadeszła ostatnia godzina jego życia. Lecz człowiek w czerwonej szacie nie zdradzał wobec Lestka żadnych wrogich zamiarów. Przez dłuższą chwilę przyglądał się młodemu pasterzowi, jakby trochę ubawiony jego strachem, aż wreszcie rzekł:

– Nie lękaj się, chłopcze! Żadna krzywda nie spotka cię z mej strony.



Gos przybysza brzmiał łagodnie i chłopak uspokoił się zupełnie.

– Chciałbym z tobą porozmawiać – ciągnął dalej Rudobrody. – Czy nie ma tu w pobliżu nikogo więcej?

– Nie, sam jeden pilnuję trzody.

– Więc...?

– Służę wam, panie – zgodził się Lestek – ale zechciejcie wprzód przytrzymać wasze psy.

Tajemniczy człowiek uśmiechnął się lekko i skinął dłonią. Natychmiast pięć czarnych psów ułożyło się posłusznie u jego nóg.

– Potrzebna mi jest twoja pomoc. Jeśli się zgodzisz, otrzymasz sowitą nagrodę. Jeśli odmówisz, poszukam kogoś innego.

Lestek zdziwił się bardzo. Czego mógłby od niego żądać ów nieznajomy? Równocześnie jednak odczuł nagle jakiś niewytłumaczalny przypływ zaufania do czerwono odzianego człowieka. Toteż odpowiedział:

– Chętnie ci, panie, dopomogę, jeśli tylko potrafię.

– Doskonale! – rzekł na to Rudobrody. – Wobec tego przygotuj się do podróży. Tej nocy odwiedzimy siedzibę królewską w Anglii, gdzie pomożesz mi otworzyć pewne drzwi.

Lestek słuchał z niedowierzaniem tych dziwnych słów i zastanawiał się, czy obcy przypadkiem nie kpi z niego.

– Do Anglii...? – zawołał. – Ależ to gdzieś na końcu świata! I to jeszcze tej samej nocy? To przecież niemożliwe!

Ale Rudobrody mówił całkiem poważnie.

– Dla mnie niemożliwe? Bądź pewien, że o świcie będziemy tutaj z powrotem.

– No tak, ale owce... – martwił się jeszcze Lestek. – Co będzie, jeśli gospodarz dowie się o tym? A niech tylko która owca zginie, na pewno wyrzuci mnie ze służby.

Człowiek w czerwonym płaszczu pokiwał głową.

– Oj chłopcze, chłopcze! – zawołał. – Czyż nie masz swego psa, a ja pięciu takich strażników? Przypilnują!

Resztki oporu zostały przełamane. Lestek zgodził się na wszystko. Rudobrody rozstawił swe psy po wszystkich rogach ogrodzenia, natomiast piesek owczarza miał pilnować samego wejścia. W ten sposób trzoda była zabezpieczona przed rozproszeniem.

Teraz Rudobrody podszedł do chłopca i podając mu dużą białą chustę, rzekł:

– Zawiąż sobie szczelnie oczy i uszy. Lepiej będzie dla ciebie, jeśli jak najmniej zobaczysz i usłyszysz.

Chłopiec uczynił, jak mu rozkazano. Potem Rudobrody zarzucił go sobie na plecy jak worek ze zbożem.

– Trzymaj się mocno! – krzyknął. W tej samej chwili Lestek odczuł wyraźnie, że obaj lecą w powietrzu.

Pędzili długo. Lestek stracił zupełnie rachubę czasu. Mimo zawiązanych uszu słyszał wyraźnie świst powietrza. Szybki lot zapierał oddech w piersiach, policzki stężały od zimna.

Nie wiadomo, jak długo to wszystko trwało. Wreszcie zatrzymali się, chłopiec znowu poczuł ziemię pod nogami. Odwiązał chustkę i z wielką ciekawością zaczął rozglądać się wokół. Znajdowali się przed wysoką, kutą w żelazie bramą, za którą w blasku księżyca widoczna była szeroka, wysadzana po obu stronach drzewami aleja, prowadząca do wspaniałego pałacu. Lestek przyglądał się jak urzeczony, albowiem po raz pierwszy w życiu oglądał podobnie



piękny budynek. Kiedy się już dość napatrzył, Rudobrody trącił go w ramię.

– Otwórz mi tę bramę! – rzekł cicho podając chłopcu klucz.

Zgrzytnął zamek, brama z lekkim skrzywnięciem otworzyła się, droga w głąb parku był wolna. Szli dość prędko żwirowaną aleją do samych drzwi pałacu. Rudobrody pchnął je ręką, ustąpiły bez oporu. Przez odsłonięte okna zaglądał księżyc i oświetlał wnętrze obszernej komnaty.

– Chodź ze mną i nie odzywaj się ani słowem! – szepnął. Lestek szedł za nim krok w krok, starając się stąpać jak najciszej. W głębi pod ścianą stała bogato rzeźbiona szafa, zamknięta metalową zasuwą w kształcie krzyża. Tutaj zatrzymali się.

– Odsuń ten krzyż i otwórz drzwi szafy! – szepnął Rudobrody. Lestek spojrzał na niego ze zdziwieniem i zawahał się.

– Uczyń, o co cię proszę! – powtórzył Rudobrody z naciskiem. – Ja sam tego uczynić nie mogę.

Wydawało się to owczarzowi dziwne, lecz nie zastanawiał się wiele. Ostatecznie przyrzekł obcemu pomoc, więc musiał dotrzymać słowa. Toteż wykonał polecenie.

– A teraz wyjdź z komnaty i czekaj, aż cię wezwę! – rozkazał.

Po jakimś czasie Lestek usłyszał znowu głos Rudobrodęgo, który przyzywał go do siebie. Wszedł więc z powrotem do komnaty, zamknął drzwi szafy metalowym krzyżem a następnie obaj opuścili pałac. Na moment zatrzymali się jeszcze przy bramie – Lestek przekręcił klucz w zamku i oddał go Rudobrodemu. Potem zawiązał sobie chustą oczy i uszy, jak poprzednio. Rozpoczął się lot powrotny.

Zanim świt obieleł wzgórze, Lestek był już znowu przy swoich owieczkach. Rudobrody czarownik uśmiechnął się przyjaźnie i poklepał chłopca po ramieniu.

– Jesteś dzielnym młodzieńcem! – rzekł do niego. – Oddałeś mi wielką przysługę, za którą należy ci się obiecana nagroda. Otrzymasz tyle złota, ile tylko zmieści twoja czapka.

Ukrył ręce pod płaszczem i po chwili wyciągnął stamtąd pełne garście złotych monet. Wsywał je do podstawionej czapki raz, drugi i trzeci, aż utworzył się nad nią błyszczący stożek.

– To wszystko dla ciebie za to, że mi pomogłeś – mówił Rudobrody do osłupiałego z podziwu Lestka. – Pamiętaj jednak, żebyś nikomu nie opowiadał o wydarzeniach dzisiejszej nocy, bo wtedy stracisz wszystko, co teraz zyskałeś.

Po tych słowach zniknął przed oczu pastuszka wraz ze swoimi pięcioma psami.

Hej, odmieniło się teraz życie ubogiego pasterza! Ubrał się dostatnio, wyglądał w dzień świąteczny jak syn bogatego gospodarza. Zaczął też bywać na wiejskich zabawach. Dziewczęta, na które dawniej z daleka mógł tylko popatrzeć, teraz same ubiegały się o jego względy.

Zdobyte w tak niezwykle sposób pieniądze nie zawróciły jednak w głowie rozsądnemu chłopakowi. Lestek ukrył je głęboko na dnie swego kuferka i pozostawał nadal na służbie u gospodarza.

Ale nagle poprawa w życiu Lestka zwróciła uwagę zarówno jego rówieśników, jak i bogatych gospodarzy. Szczególnie jednak kobiety interesowały się przyczyną niespodziewanej zamożności pastucha.

– Patrzcie no, patrzcie, Lestek w nowym kapeluszu! – zaczęły go któreś niedzieli, gdy



przechodził wiejską drogą. – Powiedz, skąd ty na to wszystko bierzesz? Może jakieś skarby znalazłeś?

Lestek śmiał się tylko z uszczypliwych pytań i nie zamierzał nikomu zdradzić tajemnicy, pamiętał bowiem o zakazie Rudobrodego.

– Gdzie tam! – odpowiadał najczęściej. – Po prostu oszczędzałem przez dłuższy czas, a teraz mogę sobie to i owo sprawić.

Zapewnienia chłopaka nikogo nie przekonały, a ciekawość kobieca jeszcze bardziej wzrosła. Za wszelką cenę chciały się dowiedzieć o źródłach jego dobrobytu i pilnowały każdej nadarzającej się okazji.

Pewnego niedzielnego popołudnia wybierał się Lestek na zabawę do sąsiedniej wioski. Spieszył się bardzo, bo już było późno, i przez roztargnienie zostawił klucz w zamku swego kuferka. Nie oglądając się wybiegł z komory.

– No, to teraz wreszcie dowiem się prawdy! – szepnęła do siebie gospodyni, która przez cały czas podpatrywała chłopca.

Stała w oknie tak długo, póki nie zniknął jej z oczu na zakręcie drogi. Wtedy natychmiast pobiegła do Lestkowej izdebki i zabrała się do przeszukiwania kuferka. Gorączkowo przewracała porządnie ułożone koszule, odrzuciła na bok nową zimową kurtkę, aż wreszcie na samym dnie... tak! O to właśnie chodziło złej i ciekawej kobiecie! W rękach trzymała okazałych rozmiarów mieszek, w którym brzęczały złote pieniądze. Wzięła go w dłoniach, a oczy jej błyszczały z chciwości.

– Tyle złota... tyle złota! – cedziła przez zaciśnięte zęby. – Skąd on to ma? Gdzie zdobył tyle pieniędzy?

Zawołała męża. Oboje długo zastanawiali się i rozważali, jak postąpić. Nie mogło im się w głowie pomieścić, ażeby zwykły pastuch był zamożniejszy od swego chlebobdawcy.

– Wiem już, co zrobić! – rzekł w końcu gospodarz. – Na pewno, niegodziwiec, zdobył ten skarb nieuczciwą drogą. Wobec tego zabierzemy mu połowę tych pieniędzy, tak będzie najlepiej! Jeśli nawet spostrzeże brak, nie będzie mógł nas oskarżyć w obawie o własną skórę.

Jeden złoty pieniądz wypadł złodziejom z rąk i potoczył się na dno kuferka.

Kiedy Lestek zauważył szkodę, bardzo się zasmucił. Domyślił się od razu, czyja to sprawa, lecz nie mógł z nikim podzielić się swym zmartwieniem. Jakże tu oskarżać własnych chlebobdawców? Przecież nie chwycił ich na gorącym uczynku – a gdyby nie zdołał udowodnić im winy, mógłby wówczas stracić pracę i ponieść jeszcze do tego surową karę.

Nie wspominał więc Lestek nikomu o swej krzywdzie i – jak gdyby nigdy nic się nie stało – wyszedł na cały tydzień z owcami na pastwisko.

Była właśnie piękna, księżycowa noc. Siedział na kozuchu i rozmyślał, jakby tu odzyskać ukradzione pieniądze.

Nagle, nie wiadomo skąd, pojawił się obok niego Rudobrody ze swymi pięcioma psami. Lestek zerwał się na nogi i przywitał go serdecznie.

– Wiem, co cię spotkało – rzekł Rudobrody uprzedzając zwierzenia chłopaka. – Czy nie domyślasz się, kto ci tę krzywdę wyrządził?

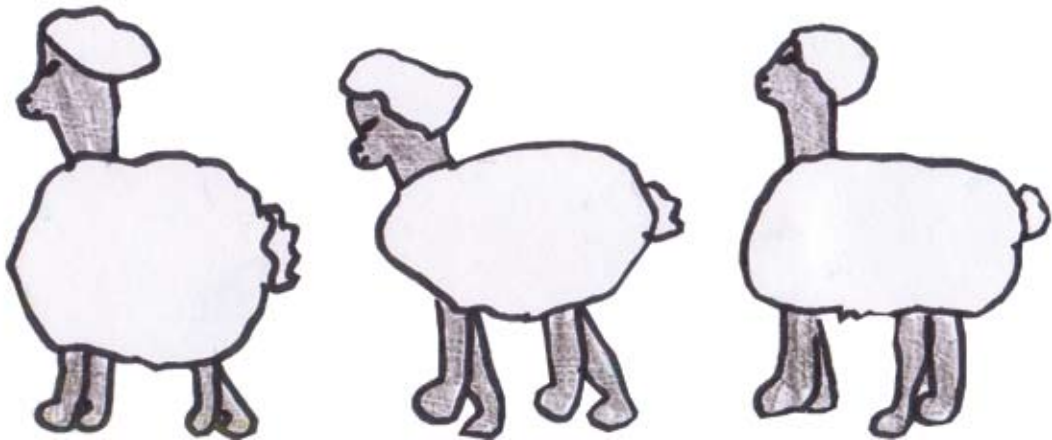


– Jestem przekonany, że to...
– Twój gospodarz?
– Prędzej chyba gospodyni. Niejeden raz nagabywała mnie, skąd mam pieniądze na nowe odzienie.

– Mylisz się, chociaż niezupełnie. Znalazła gospodyni, ukradł gospodarz. Ale nie martw się, poniósł już zasłużoną karę. Wczoraj właśnie strąciłem go z drabiny, kiedy był w stodole. Teraz leży w domu ze złamaną nogą. Abyś znów nie poniósł szkody, dam ci trzykrotnie więcej pieniędzy, niż za pierwszym razem. Porzuć jednak niewdzięczną służbę i zajmij się własnym gospodarstwem!

To powiedziawszy, wręczył młodemu pasterzowi ciężki mieczek i znikł podobnie jak poprzednim razem.

Usłuchał Lestek rady tajemniczego przyjaciela. Podziękował gospodarzowi za służbę, zabrał swoje rzeczy i wyniósł się do Kłępczewa, w świdwińskie strony. Tam kupił piękne gospodarstwo, liczną trzodę owiec i żył spokojnie, otoczony szacunkiem.





Falszywa karta – Stanisław Mikołajczak, kl. III, Szkoła Podstawowa nr 7 w Koszalinie

Fałszywa karta

Kłęb otworzył oczy. Przetarł dłońmi powieki, jakby chciał w ten sposób spędzić resztki sennych majaków i usiadł na posłaniu. Potem ziewnął potężnie i wyciągnął ramiona, aż kości zatrzeszczały w stawach.

Rozejrzył się dookoła. Wewnątrz izby panował półmrok, w którym zarysy sprzętów były prawie niewidoczne. Przez zasnutą parą okienko zaglądał zmierzch.

– Pora wstawać, czas na stróżowanie – mruknął. Leniwym ruchem sięgnął po skórznie i włożył je na nogi przywiązując rzemieniem do kostek, aby się dobrze trzymały. Następnie wciągnął kozuch i ciągle jeszcze na wpół senny, zszedł w dół po skrzypiących schodach. Przeszedł między dzwonami, dotykał ich ręką, i wyjrzał na zewnątrz przez wąską szczelinę w murze kościelnej wieży. Przed nim rozciągał się widok na zabudowania Darłowa, całe miasteczko miał przed sobą jak na dłoni, ale wzrok biegł dalej, aż po odległy brzeg morza, nad którym wisiały gęste, szare chmury.

– Będzie wiało jak się patrzy! – rzekł sam do siebie i nagle wstrząsnął nim dreszcz. – Nic, ino kompanów zaprosić trzeba, piwa mocnego zagrzać, żeby było wesoło, i w karty zagrać dla rozrywki. Tak będzie najlepiej!

Wrócił do izby, otworzył okienko i wystawił długi kij, do którego przywiązana była czerwona chusta. W ten sposób dał kompanom umówiony znak.

Nie upłynęło pół godziny, gdy już na dole rozległ się szurgot. Po chwili zaskrzypiały schody i w otwartych drzwiach izby ukazało się dwóch z miejska ubranych ludzi. Byli to czeładnicy – szewski i krawiecki, z którymi dzwonnik przyjaźnił się od dawna.

– Bywajcie! – rzekł Kłęb wskazując ręką miejsca przy stole.

– Ale ziąb! – odezwał się jeden z przybyłych. – Wieje aż strach.

– Nawet psa by nie wypędził w taką pogodę! – potwierdził drugi.

– Tym lepiej! – wtrącił Kłęb. – Nikt nam nie będzie przeszkadzał, a z zimnem sobie poradzimy.

Schylił się i otworzył drzwiczki kuchennego pieca. Włożył pod płytę kilka kawałków



drewna, podpalili i wkrótce przyjemne ciepło ogarnęło całą izbę. Kiedy płyta już się rozgrzała, postawił na niej garnek, do którego utoczył z antańka sporą porcję piwa. Ponieważ ściemniło się już zupełnie – zapalił kaganek i powiesił go na drucie tak, żeby oświetlał stół.

– Zagramy? – spytał Kłęb.

Krawczyk spojrział za niego i wzruszył ramionami, jak gdyby uważał pytanie za zupełnie zbędne. Sięgnął ręką za pazuchę i wyciągnął talię zniszczonych kart. Nie spieszyli się jednak. Czekali, aż się zagrzeje piwo i gospodarz napełni kubki.

Wolno ciągnęli smaczny, gorący napój. Zaraz też poweselały twarze, poprawił się humor, po kościach zaś rozeszło się błogie ciepło. Każdy położył przed sobą garść miedziaków i rozpoczęli grę. Karty plaskały o blat stołu, miedziaki wędrowały z jednej kupki do drugiej, oni zaś siedzieli skupieni i z rzadka tylko odzywali się do siebie. Co godzina wraz z uderzeniem zegara Kłęb przerywał grę, aby wypełnić swój obowiązek. Zostawiał wówczas karty na stole, schodził na dół i – zatrzymując się przy każdej szczelinie – pilnie lustrował wzrokiem całą okolicę. Wszędzie jednak panowały nieprzeniknione ciemności, tylko wicher miotał się jak opętany wokół kościelnej wieży i strącał dachówki na bruk ulic.

– Brakowałoby tylko – pomyślał – żeby teraz wybuchnął gdzieś pożar. Całe miasto poszłoby z dymem.

Na szczęście nigdzie nie było widać łuny, toteż uspokojony strażnik wracał do przerwanej gry.

Tego wieczoru szczęście wyraźnie nie dopisywało krawczykowi. Złościł się, tłukł kartami o stół, lecz mino to leżąca przed nim gromadka miedziaków topniała coraz bardziej. Wreszcie, kiedy w pewnej chwili otrzymał nieco lepszą kartę, krzyknął głośno:

– Niech mnie diabli porwą jeśli teraz nie wygram!

Nie pomogło przekleństwo, tym razem również przegrał. Siedział potem osowiały i już nie odezwał się słowem.

Kiedy zegar na wieży wybił północ, Kłęb jak zwykle udał się w obchód. Zaledwie jednak wrócił i usiadł do kart, gdy nagle rozległo się na dole jakieś stukanie. Kompani przerwali grę i nadstawili uszu: słychać było wyraźnie, że ktoś, utykając na jedną nogę, próbuje wejść na schodki prowadzące do izby.

– Ki diabeł tłucze się o tej porze? – burknął Kłęb.

Tamci wzruszyli ramionami.

– Chyba nikt z miasta... Czego by szukał? – odezwał się szewczyk.

Po chwili skrzypnęły drzwi i w ciemnym otworze ukazała się jakaś postać. Był to wysoki mężczyzna, ubrany w długą, brunatną szatę dziwnego kroju. Zdecydowanym krokiem przeszedł przez próg i skłonił się z godnością.

Wszyscy trzej kompani spojrzeli po sobie zdziwieni, nikt z nich nie znał bowiem niespodziewanego gościa.

– Cóż cię tu, człowieku, sprowadza nocną porą? – zapytał Kłęb przybyłego.

– Nie rozumiem... odpowiedział obcy. – Przecież wzywaliście mnie przed chwilą.

Znów spojrzeli po sobie pytającym wzrokiem. Żaden nie mógł ani rusz sobie przypomnieć, by kogokolwiek zapraszał na dzisiejszy wieczór. W końcu gospodarz machnął ręką i rzekł:

– Nie godzi się w taką noc odmawiać dachu nad głową. Kimkolwiek jesteś – zostań tutaj, jeśli chcesz, i rogość się. Może później wiatr się uspokoi, wtedy będziesz mógł iść w dalszą drogę.



Gość nie dał sobie tego dwa razy powtarzać. Zdjął z ramion opończę, usiadł w pobliżu pieca i przyglądał się grającym.

– Pewnie z daleka przybywasz... – zagadnął Kłęb w pewnej chwili.

Tamten wykonał nieokreślony ruch ręką.

– Może zagrasz z nami?

– Chętnie!

Zaczęli więc grać w czwórkę. Przybysz okazał się doskonałym graczem i – rzez dziwna – bez przerwy wygrywał. z początku przyglądali mu się z uznaniem, następnie z podziwem, ale wreszcie ciągle szczęście obcego zaczęło im się wydawać niewiarygodne. Nic jednak nie mówili, ponieważ ani razu nie przyłapali go na oszustwie.

W pewnej chwili upadła krawczykowi karta na podłogę. Schylił się więc pod stół, aby ją podnieść – i wówczas przypadkowo spostrzegł, że obcy ma jedną nogę w kształcie końskiego kopyta.

W mgnieniu oka zrozumiał wszystko: własny okrzyk podczas gry, kuśtykanie na schodach i obecność nieproszonego gościa. Jak oparzony zerwał się z miejsca i gubiąc karty po drodze odskoczył pod ścianę. Na szczęście przypomniał sobie dawne zaklęcie, które jako dziecko usłyszał z ust babki. Wyciągnął przed siebie obie dłonie, jak gdyby się przed czymś zasłaniał, i zawołał:

Na ziarnko gorczycy

Na kąkol w pszenicy

Na szczurzym sadle

Zjeżdżaj, diable!

W tej samej chwili rozległ się w izbie głośny huk. Nad miejscem, gdzie dotychczas siedział obcy, unosił się teraz obłok śmierdzącego dymu – on sam zaś znikł sprzed oczu zaskoczonych i przerażonych kompanów.

Od tego czasu Kłęb ku swemu wielkiemu zmartwieniu musiał samotnie spędzać wieczory i noce, ponieważ dotychczasowi koledzy nie chcieli go więcej odwiedzać.

Ludzie opowiadają, że ów diabeł zjawia się co kilka lat w wieży kościoła Mariackiego w Darłowie, przybierając postać wielkiej sowy. Z pewnością szuka strażnika, by z nim zagrać w karty. Próżne są jednak starania, gdyż od wielu, wielu lat nikt tam nie mieszka.





O Rostku, który służył u olbrzyma – Maria Dyngus, Zespół Szkół w Tymieniu

O Rostku, co służył u Olbrzyma

W bardzo dawnych czasach, do których ludzka pamięć nie sięga, ziemią pomorską rządził lud Olbrzymów. Próżno dociekać, kiedy i skąd przybyli na swych potężnych długogrzywych rumakach. Może gdzieś znad Wisły albo jeszcze dalej – z bezkresnej naddunajskiej puszczy? Nie wspominają o nich poźółkłe ze starości kroniki – wieść tylko gminna powiada, że to oni właśnie zbudowali warowne, wysokim częstokołem otoczone grody, gdzie można się było schronić w czasie wojennej pożogi. A chociaż dzielnie bronili kraju przed łupieżcami z zachodu, to jednak nie zawsze sprawiedliwie rozdzielali ciężary. Zdarzało się nawet, że temu lub owemu wyrządzili krzywdę, po której zła pamięć zostawała wśród ludu. Do dziś pozostały jeszcze kurhany, w których – jak wieść mówi – spoczywają kości owych potężnych wojowników.

Na skraju koszalińskiego podgrodzia, skąd przy pogodnym dniu widać było połyskujące w słońcu wody jamneńskiej zatoki, mieszkał pewien gospodarz wraz z trzema synami. Póki byli jeszcze otrokami, pozwalał im całymi dniami harcować po łąkach, albo łowić ryby w wodach przepływającej tuż niedaleko Radaszki. Jednakże lata biegły, chłopcy dorastali i trzeba było pomyśleć o jakimś pożytecznym dla nich zajęciu. Toteż któregoś wieczoru, kiedy wszyscy byli w domu, odezwał się do nich w te słowa :

– Musicie mi pomóc w pracy. Spójrzcie – sami widzicie, że się starzeję. Sił coraz bardziej ubywa, a tu gospodarstwa doglądać trzeba. Z czego będziemy żyć, jeśli je zaniedbamy?

Zerwali się chłopcy z ławy, podbiegli do starego.

– Wstyd, żeśmy o tym sami nie pomyśleli – mówili jeden przez drugiego. – Ale to się od dzisiaj zmieni. Powiedz, ojcze, co mamy robić?

– Roboty nie brakuje. Ot, nadeszła wiosna. Jest ciepło, trawa się zazieleniła, trzeba już wypuścić owce na łąki. Kto pójdzie pierwszy?

– Ja! – odpowiedział najstarszy.

– Zgoda! Pilnuj tylko, żeby nie poginęły. A kiedy słońce zacznie schodzić w dół, wracaj do zagrody, bo noce jeszcze chłodne.



Nazajutrz skoro świt chłopiec otworzył bramę i wypędził trzodę na pastwisko. Zabrał z sobą torbę, a w niej kawał chleba ze słoniną, żeby starczyło na cały dzień. Na łąkach – jak okiem sięgnąć – nie było widać nikogo. Owce zanurzały pyszczki w soczystej trawie i trzymały się razem, tak, że z pilnowaniem nie było kłopotu. Jednakże wieczorem, kiedy w bramie policzyli wszystkie sztuki – okazało się, że brakuje jednej.

– Sam nie wiem, jak to się mogło stać – tłumaczył zawstydzony pasterz. – Przecież w pobliżu nie widziałem żywej duszy. I teraz taka strata...

– Nie ma się o co martwić – rzekł młodszy. – Jutro kolej na mnie. Pójdę z trzodą w to samo miejsce i z pewnością odnajdę zabłąkaną sztukę.

Tymczasem następnego dnia powtórzyło się to samo. Zagubiona wczoraj owca nie tylko nie odnalazła się na pastwisku, ale jeszcze w dodatku zginęła następna. I znowu nie wiadomo, w jaki sposób.

Siedzieli więc przy stole markotni, zadumani – tylko najmłodszy Rostek położył się na ławie pod piecem i nad czymś rozmyślał. W pewnej chwili zerwał się na nogi, stuknął pięścią w stół i krzyknął głośno:

– Dosyć tej zabawy! Teraz ja pójdę z owcami. Nie ma mowy, aby mi którakolwiek zginęła!

Spojrzeli na niego, wzruszając ramionami. Cóż mu znowu do głowy strzeliło?

– Lepiej połóż się spać i nie zwracaj głowy – mruknął ojciec.

– Patrzcie go! Rostek... niedorostek...! – pokpiwali bracia.

Chłopiec jednak nie dał za wygraną. Tak długo prosił i przekonywał ojca, że ten pozwolił mu wreszcie zastąpić niefortunnych braci.

– Gotów jestem pójść w zakład, że pogubi wszystkie owce – upierał się najstarszy.

– Zobaczymy...!

Następnego dnia, trzeciego już z kolei, wypędził Rostek trzodę na pastwisko. Znowu była piękna pogoda i upał wzrastał z godziny na godzinę. Około południa chłopiec poczuł, że senność zaczyna kleić mu powieki. Najchętniej siadłby w tej chwili w jakimś zacienionym miejscu i zdrzemnął się trochę – tym bardziej, że dookoła panował niczym niezmałcony spokój. Postanowił jednak opanować uczucie znużenia i zachować czujność aż do końca swej służby. Skrył się tylko pod konarami pobliskiego drzewa, aby ostre promienie słońca nie dokuczały mu zbyt mocno.

Nagle senność odeszła, jakby ręką odjął. Spostrzegł, że od strony Góry Chełmskiej wyłania się spośród drzew postać olbrzymiego mężczyzny, zmierzającego wyraźnie w kierunku pasącej się trzody.

Teraz wszystko stało się jasne. Chłopiec przyłgnął do pnia drzewa, aby stać się jak najmniej widocznym. Kiedy zaś Olbrzym znalazł się całkiem blisko, nagle wyskoczył z ukrycia.

– Wiem już – krzyczał wygrażając pięścią – dlaczego mym braciom zginęły owce! Ale ja czuвам, że mną nie uda ci się ta sztuczka! Nie zabierzesz mi ani jednej, tamte zaś musisz zwrócić.

Olbrzym ujął się pod boki i spoglądał rozbawionym wzrokiem na drobną postać chłopca, który stanął mu na drodze i ani myśli ustąpić.



– Kijem tego, co nie pilnuje swego! – odpowiedział. – Dałem twym braciom niezłą naukę, aby lepiej strzegli własnej trzody i odpoczywali wtedy, kiedy jest na to czas.

– Co ci do tego? – spytał Rostek zaczepnym tonem.

– Widzisz... – ciągnął dalej Olbrzym nie zwracając uwagi na zaczepkę – potrzebuję do pracy uczciwego pomocnika. Myślałem o którymś z tych starszych braci, ale się zawiodłem. Nie będzie dobrym pomocnikiem ten, kto śpi wtedy, gdy ma czuwać. Ty jesteś inny. Chodź do mnie na myto. Dobrze zapłacę

– Wpierw oddaj tamte owce!

– Nie obawiaj się, dostaniesz je z powrotem. Mam dosyć swoich. No, więc...?

Chłopiec zastanawiał się przez chwilę.

– Na jak długo? – zapytał

– Tymczasem na rok.

– Zgoda! Przyjdę jutro.

Wówczas Olbrzym oddalił się. Rostek niecierpliwie czekał końca dnia. Chciał jak najprędzej opowiedzieć o przygodzie, która go spotkała. Toteż gdy tylko słońce poczerwieniało, natychmiast zebrał rozproszone owce i popędził do zagrody.

Zdziwił się ojciec wraz z braćmi, kiedy po przeliczeniu trzody okazało się, że nie brak ani jednej sztuki. Z zainteresowaniem wysłuchali też Rostkowej opowieści, w której jednak nie było mowy o przewinieniach braci.

– Co teraz uczynisz? – pytali.

– Wy obaj możecie spokojnie dalej paść owce – odpowiedział Rostek – ja zaś pójdę na służbę do Olbrzyma, jak przyrzekłem. Sądzę że zyskamy na tym wszyscy.

– Może i racja! – zgodził się ojciec, do którego należało ostanie słowo.

O brzasku dnia Rostek spakował potrzebne rzeczy i udał się w drogę. Olbrzym przyjął go nad wyraz przyjaźnie. W ciągu dnia pokazał mu swe gospodarstwo. – kiedy zaś nadeszła pora wieczery, zaprosił go do izby, mówiąc:

– Trzeba się posilić, ponieważ jutro od samego rana będziemy młócić zboże.

– Teraz? – zdziwił się Rostek. U mego ojca zboże młóci się zimą.

– Słusznie – odpowiedział Olbrzym – ale w ciągu zimy przebywałem daleko stąd, na miejscu zaś nie miałem pomocnika, który by się zajął gospodarstwem. Teraz zaprowadzimy porządek, jak należy.

Rostek nie pytał więcej. Obaj weszli do izby, w której gospodyni przygotowała wieczerzę. Na stole postawiła ogromny garnek z pachnącą, suto omaszczoną kaszą – po czym wyszła do kuchni, zostawiając ich samych.

Gospodarz z apetytem zabrał się do jedzenia. Drewnianą łyżką nakładał sobie co chwilę wielkie porcje kaszy, nie troszcząc się zupełnie o swego pomocnika. Rostek próbował czynić to samo, lecz łyżka była tak ciężka, że nie mógł unieść jej w górę.

Zły i głodny udał się na spoczynek. Długo rozmyślał, w jaki sposób odplacić gospodarzowi pięknym za nadobne. W końcu wpadł na pewien pomysł i dopiero wtedy zasnął.

Krótko po wschodzie słońca rozległ się w całym obejściu głośny łomot. Zaniepokojo-



Olbrzym wyszedł na podwórze. Przez jakiś czas rozglądał się wokoło, aż wreszcie ujrzał siedzącego na dachu stodoły Rostka, który trzymał w garści duży młotek i rozbijał nim koziołki służące do związania strzechy.

– Jakie лихо zaniósło cię na górę? – zawołał rozgniewany.

– Dzisiaj mamy młócić zboże! – odrzyknął Rostek. – Zajrzałem do stodoły, ale znalazłem tylko jakieś liche cepy. Właśnie chcę sporządzić większe i mocniejsze.

– Chyba postradałeś rozum! Przecież w ten sposób zniszczysz mi całe poszycie. Zejźd stamtąd natychmiast, będziesz podawał snopki.

– Bardzo dobrze, lubię taką robotę! – odpowiedział chłopiec i rad z udanego figla zsunął się po krawędzi dachu.

Praca biegła wartko. Olbrzym młócił bez przerwy, aż pot strumieniami spływał mu z czoła – Rostek zaś zwijał się jak w ukropie i ledwie mógł nadążyć ze zrzucaniem snopków na klepisko. Toteż odetchnął z ulgą, kiedy w otwartych wrotach ukazała się nareszcie sylwetka gospodyni. Kobieta przyniosła w koszyku bochen razowego chleba, w drugiej zaś ręce dzban pełen mleka. I znowu ogromne kęsy chleba ginęły w ustach Olbrzymia, tak że dla pomocnika zostawało bardzo mało.

– Nie trzeba przynosić tyle do jedzenia – rzekł Rostek w chwili, kiedy Olbrzym był zajęty opróżnianiem dzbanka.

– Dlaczego? – zdziwiła się gospodyni.

– Mój ojciec zawsze mówi: kto dużo je, ten prędko traci siły. Zupełnie jak nasz gospodarz – trochę popracował i już całą koszulę ma mokrą.

Gospodyni spojrzała na niego z ukosa, lecz nic nie odpowiedziała.

Po upływie paru dni, kiedy wymłócone zboże znajdowało się już w spichrzu, Olbrzym zaprosił Rostka do osobnej zagrody, gdzie stała drewniana stępa z tkwiącym w niej ogromnym, podobnym do maczugi tłuczkiem.

– Mam dziś apetyt na świeży chleb – powiedział Olbrzym wsypując do środka parę garncy ziarna. – Weź się do roboty, ja zaś pójdę do gospodyni i powiem, żeby przygotowała zakwas

Rostek przecząco pokręcił głową, wiedział bowiem, że nie zdoła nawet udźwignąć tłuczka.

– Mój ojciec nigdy nie pozwolił, aby ktoś inny dotykał stępy, kiedy trzeba mąki na pierwszy chleb z nowego zboża. Inaczej w przyszłym roku nie będzie urodzaju, a i zboże w gumnie na pewno się zaparzy.

– Naprawdę...?

– On zawsze wie, co mówi.

Wtedy Olbrzym ujął maczugę swymi żylastymi rękami i tłukł zawzięcie, aż w całym spichrzu dudniło. Kiedy kobiałka była już pełna mąki – wyprostował się i rzekł:

– Teraz możemy iść do lasu po drzewo. Potem napalimy w piecu, a tymczasem gospodyni przygotowuje ciasto.

Na stokach pobliskiej Góry Chełmskiej rosły strzeliste świerki i rozłożyste buki. Ol-



brzym długo przebierał, aż wreszcie upatrzył sobie odpowiednie drzewo i jednym szarpnięciem ramion wyrwał je z korzeniami. Następnie zarzucił sobie odziomek na barki, Rostkowi zaś kazał nieść drugi koniec i uważać, żeby gałęzie nie zaczepiały się po drodze o różne przeszkody. Zmysłny chłopak wykorzystał okazję, że Olbrzymowi trudno będzie oglądać się do tyłu. Siadł więc na samym czubku i pogwizdywał wesoło, gdy tymczasem Olbrzym ciągnął z wysiłkiem wielki pień, zostawiając za sobą wytartą przez gałęzie bruzdę.

Tak przybyli na podwórze. Olbrzym zrzucił ciężar z ramienia i sapiąc z wysiłku, odezwał się do swojego pomocnika.

– Skąd u ciebie tyle siły, że jeszcze możesz gwizdać? Nawet ja, choć przecież nie brak mi jej, zmęczyłem się porządnie.

– To właśnie z obżarstwa! – odpowiedział Rostek, wskazując palcem na brzuch gospodarza.

Tym razem Olbrzym rozgniewał się na dobre.

– Mam dosyć ciebie i twojej pracy! – krzyknął. – Zabieraj się do domu, nie jesteś mi potrzebny!

– Zgoda! – odpowiedział Rostek spokojnie. – Chętnie sobie pójde, skoro sobie tego życzysz. Wpierw jednak musisz mi oddać owce i zapłacić za okres, na który się zgodziłeś.

Olbrzym machnął ręką zrezygnowany i udał się do mieszkania. Przyniósł stamtąd woreczek z pieniędzmi i rzucił go ze złością pod nogi chłopca.

– Swoje owce możesz zabrać z obory! – zawołał jeszcze i odwrócił się plecami.

Rostek zarzucił woreczek na ramię, wyprowadził owce i nie oglądając się za siebie, ruszył pogwizdując w stronę rodzinnego domu.

Odtąd Olbrzym nie pokazywał się więcej w okolicy Koszalina.





O pięknej Grzymisławie z drahimskiego zamku – Aleksandra Hnatowicz, 6 lat, Szkoła Podstawowa nr 1 w Świdwinie

O pięknej Grzymisławie z drahimskiego zamku

Tam, gdzie wody jeziora Drawskiego oddziela od Żerdna wąski przesmyk lądu, gdzie biały łabędź kołysze się na falach i klucz ciągnących żurawi przecina kopułę nieba, widnieją do dziś ruiny starego zamczyska. Kamiennie głązy wspierają fundamenty rozległego czworoboku a dźwigające się wysoko mury spoglądają w daleką przestrzeń ponad płaszczyznę wód i lądu – wyniosłe, zastygłe w dostojności wieków.

Kiedyś jednak okna zamkowych komnat jarzyły się światłem. Buchał z nich gwar i śmiech, fala splątanych głosów zakłócała ciszę a echo niosło ją hen daleko, ponad lustrzaną taflą i koronami drzew. Czasem dobiegający gwar przycichał na chwilę, by później wybuchnąć ze zdwojona siłą.

Goście drahimskiego starosty Dobrogosta Ostroroga bawili się ochoczo. Dzbany złocistego miodu krążyły gęsto wśród biesiadników – stoły ugięły się pod ciężarem wyszukanych potraw i wszelakiej dzicyzny, przyrządzonej smakowicie przez dworskiego kuchmistrza. Niekiedy rubaszny żart wywoływał burzę śmiechu. Podochoceni trunkiem rycerze klepali się wzajemnie po udach i plecach, niewiasty zaś niby to wstydliwie odwracały głowy, pilnie łowiąc uchem nie zawsze przystojne słowa.

– Zdrowie miłościwego starosty! – ryknęło gdzieś z końca stołu kilka gromkich głosów.

– Zdrowie pięknej starościny! – odkrzyknięto w innym końcu.

Grzymisława podniosła oczy i skierowała wzrok w tę stronę, gdzie kilkanaście dzbanów podniosło się w górę. Na jej delikatnie zarysowanych wargach ukazał się lekki uśmiech, oczy jednak pozostały nadal zimne – uważne zarówno na przebłyski niewieściej zazdrości, jak i gorące spojrzenia poniekórych młodszych rycerzy. Sprytni dworacy nie szczędzili jej wyrazów hołdu i uwielbienia – przyjmowała to wszystko jako należną daninę, składaną jej urodzie i bogactwom, którymi władała.

Zatrute opary pochlebstw i panujący w magnackiej siedzibie zbytek uczyniły z Grzymisławy kobietę złą i próżną. Niejeden biedak odchodził spod zamkowych bram głodny, ścigany przez psy lub wypędzany kijami. Serce dumnej starościny było nieczułe na ludzką biedę.



I teraz – siedząc wśród strojnych niewiast, przyjmując hołdy znamienitych rycerzy – myślała jedynie, jak jeszcze bardziej olśnić przybyłych z sąsiednich dziedzin gości.

Tymczasem uczta zbliżała się powoli do końca. Biesiadnikom tego już w głowach szumiało. Ten i ów rozpiekał się łokciami na poplamionym stole, inni spoglądali wokoło zmętniałym wzrokiem. Młódź jednak bawiła się w najlepsze i ani myślała o udaniu się na spoczynek.

– Zdrowie pięknej starościny!

Tym razem Grzymisława podniosła się z miejsca. Myśl pewna przebiegła jej przez głowę. Wdzięcznym ruchem podniosła w górę złoty pucharek, a gdy umilkł na chwilę panujący gwar, rzekła:

– Zdrowiem przezacnych gości odpowiadam na wzniesiony toast...!

Stuknęły o siebie dzbany.

–...Lecz oto pora się zbliża – ciągnęła dalej – by stoły uprzątnąć i do nowej przysposobić biesiady. Pójdźmy tedy pospołu, komu wola, nad brzeg wody, aby przed spoczynkiem świeżego zaczerpnąć oddechu!

Po tych słowach wychyliła do dna trzymany w dłoni pucharek. Rumor odsuwanych ław mieszał się z okrzykami biesiadującej młodzi i niebawem roztańczony korowód wysypał się hurmem przez zamkowe wierzeje.

Płaszczyzna szeroko rozlanej toni srebrzyła się w księżycowej poświacie iskierkami załamań. Gdzieś w oddali milczała puszcza – drobna, prawie niewidoczna fala niosła tę ciszę aż do stóp Drahimia. Na tle pogodnego nieba rysowały się głęboką czernią kontury zamkowych baszt – siedliska puchacza i miękkoskrzydłej sowy.

Nagle Grzymisława zatrzymała się w miejscu, gdzie brzeg jeziora niewielkim uskokiem opadał ku wodzie. Nastroj pogodnej nocy i uciszający się stopniowo gwar rozmów – to wszystko wydało się jej najbardziej odpowiednią chwilą do wykonania zamiaru, powziętego jeszcze w czasie uczty. Stała na przybrzeżnym kamieniu i kiedy zaciekawieni goście skupili się wokół niej, zdjęła z palca drogocenny pierścień. Przez chwilę ważyła go na dłoni i wreszcie, pokazując go wszystkim obecnym, rzekła:

– Oto, przyjaciele moi, rzucam ten pierścień w fale jeziora. Jak szerokie są jego wody – tak niezmierzone są moje bogactwa. A jako klejnotu, którego blask oglądacie, nie zobaczę więcej, tak też nie będzie ich kresu!

W tej chwili rzucony pierścień plusnął lekko o powierzchnię jeziora i znikł w głębinie. Wokoło rozległ się szmer podziwu, który wkrótce rozplynął się w głośnych okrzykach i wiatkach.

Świt oblekał wierzchołki drzew. Szarość ustępującej nocy zostawiała po sobie mgliste pasma, snujące się nad powierzchnią jeziora Drawskiego. Rozpraszały się szybko, otwierając wolną od oparu przestrzeń, skąpaną w blasku wschodzącego słońca.

Łodzie Dadźbora i Ragdosta, widoczne z daleka jak małe plamki, stopniowo oddalały się od siebie. Równomiernie płaski wiośelników przejrystą taflę wody, kołowroty na łodziach głośno skrzypiały, puszczając niewód w głębinę. Pośrodku, na małej łódeczce, uwijał



się Dadźborowy Gostek i dawał baczenie na sieć, by równo opadała. Trzymając się rękami jej górnego skraj – przesuwał łódkę z jednego krańca zaciągu na drugi.

Niewód rozciągał się coraz bardziej. Łodzie rybaków zatoczyły łagodnie półkole i znowu zaczęły zbliżać się do siebie. Widoczna na powierzchni linia pławików tworzyła kształt gruszki, zwięzającej się w pobliżu brzegów.

Po pewnym czasie obie łodzie dotknęły się burtami – niewód został zaciągnięty. Dadźbor i Radgost wyprostowali na chwilę obolałe plecy i zaraz zaczęli wyciągać sieci, oczyszczając starannie w wodorostów oka i węzłki. Tymczasem Gostek odpłynął już od linii pławików i teraz znajdował się pośrodku zamkniętej niewodem przestrzeni. W rękach trzymał długą żerdź, którą rytmicznie uderzał o powierzchnię wody, płosząc rybę w kierunku przesuwanej się wiotkiej ściany.

Czas upływał. Otrząśnięta z wody sieć urastała grubiejącą warstwą na dnie łodzi. Coraz częściej zaczynały ukazywać się w okach smukłe certy, płocie i drobniejsza ryba drapieżna – coraz bardziej przybliżała się też łódka płoszącego Gostka. Kończył się poranny zaciąg, ciężar sieci zapowiadał niezły połów. Rybacy pracowali w milczeniu, ciekawi rezultatów swego wysiłku.

Nagle w pobliżu Gostkowej łódki woda jakby się zagotowała. W ciągu krótkiej jak mgnienie oka chwili ukazał się tuż pod powierzchnią szarozielony grzbiet i natychmiast zniknął w głębinie. Wątła łódeczka zachybotała się gwałtownie i omal nie wywróciła do góry dnem.

– Trzymajcie! – wrzasnął przerażony chłopak, spadając na dno. Żerdź wysliznęła mu się z rąk i teraz czepiał się kurczowo burt w obawie przed wypadnięciem.

Ale rybacy zauważyli również znajdującego się w matni potwora. W tym momencie potężne uderzenie targnęło siecią, pociągając obie łodzie na środek jeziora o dobrych kilka długości. Napięli mięśnie ramion, zaparli się nogami o wręgi i dzięki temu zdołali jakoś powstrzymać pierwszy atak wodnego olbrzyma.

Rozpoczęła się długa i uparta walka rybaków z niezwykle zdobyczą. Ogromna ryba szamotała się w wodzie, uderzała w sieci z jednej i drugiej strony, ciągnęła za sobą niewód i łodzie, jednakże jej furia słabła coraz bardziej. Wreszcie na powierzchni ukazało się wrzecionowate cielsko tak wielkiego szczupaka, jakiego starzy rybacy nigdy w życiu nie widzieli. Ostatnim wysiłkiem udało się im w końcu dobić do brzegu i wyciągnąć potwora na suchy ląd. Położyli go na trawie i siedli obok – wyczerpani walką ale równocześnie uradowani odniesionym zwycięstwem.

Pierwszy podniósł się z miejsca niecierpliwy Gostek. Stał nad rybą, obejrzał ją uważnie, potem pochylił się nisko i ręką pomacał wielkie jak palec zęby, tkwiące w niegroźnej teraz paszczy.

– Ale sztuka! – powiedział zwracając się do Dadźbora.

– Ano sztuka – odrzekł stary – jeno co z nią teraz począć?

– Jak to, ojciec? – zdziwił się chłopak. – Toć go chyba zabierzemy do domu. Uciecha będzie, że ino – cała wieś się zbiegnie!

– Co wy na to, Radgost? – zapytał Dadźbor, nie odpowiadając synowi.

– Bo ja wiem? – Radgost z zafrasowaniem podrapał się w głowę. – A może by tak... do zamku?

Dadźbor uśmiechnął się potakująco.



– Ot i widzisz – rzekł do syna – głowa jest po to, żeby pomyślała zanim język powie. W zamku gości co niemiara a starosta po pańsku gości przyjmować lubi – nie kaszą przecie ani kapustą. Do nóg mu tedy pokłonić się trzeba i połów taki ofiarować. Starosta królewski – pan hojny, niejednego talara za okazałą rybę wypłacić każe.

– No, to pójdźmy do zamku! – rozstrzygnął Radgost.

Nie lada miał kłopot starościński kucharz, głowiąc się nad przyrządzeniem niezwyklej ryby. Sama starościna kazała przyrządzić ją w taki sposób, żeby zadziwić bawiących na zamku gości. Jakież było jego zdumienie, kiedy przy patroszeniu szczupaka znalazł w jego wnętrznościach szczerozłoty pierścień, który cała zamkowa służba zawsze widziała na palcu swej chlebobawczyni. Długo obracał go w rękach, nie wierząc własnym oczom.

– Muszę go natychmiast oddać! – zdecydował.

Na widok zjawiającego się w biesiadnej sali kucharza przebiegł wśród zgromadzonych szmer zdziwienia. Wszystkie głowy zwróciły się ku niemu – on jednak bez wahania podszedł wprost do stołu, przy którym siedziała starościna w otoczeniu uczestników nocnej wyprawy nad jezioro.

– Jak śmiesz wchodzić tu bez wezwania? – zapytała Grzymisława drżącym z gniewu głosem.

– Wybacz, miłościwa pani – odrzekł kucharz – lecz we wnętrznościach szczupaka znalazłem ten oto pierścień, który przecież jest twoją własnością!

To mówiąc, położył klejnot na stole.

W komnacie zapadła przygnębiająca cisza. Wszystkie głowy zwróciły się teraz ku Grzymisławie, która nagle pobladła i przerażonym wzrokiem wpatrywała się w leżący przed nią pierścień. Pryszał bez śladu beztroski nastrój, goście po kolei zaczęli zbierać się do odjazdu. Opustoszały pełne dotychczas gwaru komnaty, wypełnił je chłód zbliżającego się przeznaczenia.

Wkrótce potem nastąpiły inne kłęski. Wskutek zaniedbań Dobrogosta Ostroroga podupadł zamek w Drahimiu, on sam popadł w niełaskę na królewskim dworze. Przeminięła uroda Grzymisławy, po dawnych bogactwach nie pozostał ślad.

Wieść gminna powiada, że dumna starościna musiała do końca życia zebrać o kawałek chleba – snując gorzkie wspomnienia dawnych lat, kiedy to nie znalazła w sobie współczucia dla ludzkiej biedy.



Swawolne karzełki znad jeziora Lubie

Nad jeziorem Lubie, blisko ukrytego w gęstwinie trzciny wyjścia Drawy, rozciągała się łąka. Po drugiej stronie leżała wieś Lubieszewo, a dalej wzdłuż brzegów wznosiły się porośnięte lasem wzgórza. Tam właśnie od pradawnych czasów mieszkał ród karzełków. Widywano je nieraz podczas letnich nocy, gdy wychodziły jakby spod ziemi i harcowały na zielonej trawie, zanim nie opadła rosa zwiastująca bliski świt. Wówczas powracały do swych kryjówek.

Kiedy słońce grzęźnie w wypłowiałym błękicie i lekka mgiełka przesłania zarysy brzegów – wiadomo, że noc będzie ciepła, pochmurna. Wtedy jest najlepsza pora na połów węgorza. Dlatego przez cały dzień rybacy z Lubieszewa mieli pełne ręce roboty. Trzeba było przygotować sznury, sprawdzić haki, a przede wszystkim łowić ukleję, którą potem w kawałkach używa się na przynętę. Z tym było najmniej kłopotu, ponieważ tłukła się stadami na płycznach w pobliżu olch, rosnących nisko tuż przy brzegach.

Pod wieczór rybacy zabrali do łodzi wszystek potrzebny sprzęt, ubrali kapoty i odpłynęli na drugą stronę jeziora. Przymglone słońce chowało się już za postrzępioną wzgórzami linią horyzontu, tu i tam przelatywały stada dzikich kaczek, ciągnących w poszukiwaniu żeru. Na tle ciemniejącej toni z trudnością można było dostrzec sylwetki łodzi przesuwających się bardzo wolno w niewielkiej odległości od ściany trzciny. Tam właśnie, na załomie podwodnej skarpy układano sznury z przynętą.

Gdzieś po godzinie rozległo się w ciemnościach splątane z echem nawoływanie. Niosło się po wodzie od jednej łodzi do drugiej i dalej do następnej. Znak to był umówiony, że robota została zakończona. Teraz należało zaczekać do świtu, by potem zebrać sznury z wijącą się na hakach zdobyczą.

Potem słychać już było tylko miarowy plusk wiosel i po jakimś czasie wszystkie łodzie zacumowały na skraj łąki.

Letnia noc trwa krótko, nie warto więc było płynąć do domu. Toteż rybacy umocowali tylko kotwice, by czasem nagły wiatr nie rozpedził łodzi i ułożyli się w trawie. Wkrótce ogarnął ich mocny zdrowy sen.





Swawolne karzelki znad jeziora Lubie – Igor Piątkowski, kl. IV, Szkoła Podstawowa nr 21 w Koszalinie

Wtedy na łące zaczęło się dziać coś dziwnego. W blasku księżycy, który od czasu do czasu przeświecał spoza chmur, ukazał się na łące rój drobnych postaci. To właśnie karzełki opuściły swe podziemne kryjówki i teraz harcowały wśród traw. Gonily się wzajemnie, biegały tu i tam, przeskakiwały zuchwale przez pogrążonych we śnie rybaków – nie zważając, że mogą w ten sposób zakłócić im wypoczynek.

– Odejdźmy dalej – przestrzegał najstarszy z karzełków. – Ta zabawa się źle skończy!

Ostrzeżenie pozostało bez skutku. W końcu jeden z karzełków przypadkowo skoczył rybakowi na nogę. Lecz tamten odwrócił się tylko na bok, mruczając przez sen:

– Uważajcie!

Rozochocony karzełek zlekceważył napomnienie i skakał przez śpiącego tak długo, aż znowu obudził go jakimś nieostrożnym ruchem.

– Dostyc tego! – krzyknął rozgniewany rybak. – Zaraz się z tobą rozprawię!

Zerwał się z ziemi, usiłując pochwycić małego prześladowcę. Lecz zwinny karzełek wyrywał mu się z rąk i natychmiast ukrył się w trawie. W dłoniach rybaka pozostał tylko jego but uszyty z miękkiej skóry. Schował go więc pod kapotę i, uspokojony już zupełnie, zasnął ponownie.

Wtedy dopiero karzełki zaprzestały harców wokół śpiących rybaków. Jeszcze trochę biegały przy łodziach, huštały się na wystających w górę ramionach kotwic, lecz potem przeniosły się dalej w bezpieczne miejsce.

Nadchodził świt, a wraz z nim koniec zabawy. Karzełki udały się z powrotem do swych leśnych siedzib. Tylko jeden z nich musiał pozostać na łące, gdyż według praw rządzących w ich królestwie nie wolno mu było zostawić na powierzchni ziemi żadnego, nawet najdrobniejszego śladu obecności. Inaczej byłby zgubiony. Mały człowieczek usiadł więc obok rybaka i płakał z żalu.

Było jeszcze ciemno, kiedy ów rybak obudził się i stanął na nogach, prostując zdrętwiałe członki. Właśnie w tym momencie pojaśniało nieco i wtedy ujrzał tuż obok siebie drobną ludzką postać. Od razu domyślił się o co chodzi i rysy jego twarzy przybrały surowy wyraz.

– Oddaj mi but! – prosił karzełek.

– Ani myślę – odpowiedział rybak, patrząc z góry na niego. – Dlaczego przeszkadzałeś mi we śnie?

– Oddaj mi moją własność! – prosił dalej mały człowieczek. – Czyżbyś był bez serca? Jeśli tego nie uczynisz, będę zgubiony na zawsze!

Lecz rybak pozostał nieczuły na jego prośby.

– Sam sobie jesteś winien – rzekł twardo. – Musisz teraz ponieść zasłużoną karę!

Widząc, że tą drogą nic nie wskóra, karzełek postanowił uciec się do innego sposobu, by odzyskać utracony but. – tym bardziej, że świt zbliżał się szybko.

– Surowy z ciebie człowiek – rzekł cicho, opuszczając głowę. – Pozwól jednak zapytać, jaką korzyść przyniesie ci ta drobna zdobycz?

– Oddam dzieciom, niech się zabawią!

Wówczas karzełek roześmiał się na cały głos i wskazując palcem na but, zawołał:

– Nic z tego! Zobacz, co trzymasz w rękach!

Rybak spojrział na but i w tej samej chwili coś śliskiego podeszło mu do gardła. Z cholewki wyglądała szpetna ropucha i patrzyła na niego wylupiastymi oczyma. Zaklął więc ze wstrętem i odrzucił bucik daleko od siebie.



Na ten właśnie moment czekał sprytny karzełek. Szybkim ruchem chwycił swą własność i zanim rybak zdołał uczynić krok, już go nie było.
Zaraz potem nad wierzchołkami drzew ukazał się rąbek wschodzącego słońca.



Niewidzialna pomoc

W dawnych, bardzo dawnych czasach, kiedy możni rycerze budowali zamki i zakładali nowe miasta, Złocieniec słynął w całej pomorskiej krainie jako miasto sukienników. Ze wszystkich stron ciągnęły tu kupieckie wozy – od Słupska i Szczecina, a nawet – kiedy miłki wojenny zgiełk i spokój panował na drogach – aż zza polskiej granicy.

Dobrze się wówczas żyło tutejszym rzemieślnikom. Obrotni kupcy zabierali wszystek towar i płacili wysokie ceny. Nie targowali się zbyt, bowiem sukno, które tu nabywali, cieszyło się szczególnym uznaniem na pańskich dworach a także zdobiło komnaty książęcego zamku. Dlatego każdy z rzemieślników pilnie strzegł tajemnic swego warsztatu i przekazywał zdobyte umiejętności z ojca na syna.

W tymże Złocińcu, przy wąskiej uliczce wiodącej od kościoła ku brzegom Drawy, mieszkał w osobnym domku pewien sukiennik. Był to człowiek w podeszłym wieku, żył sam na świecie jak palec, dawno bowiem odumarła go żona, córki zaś wyszły za mąż i powędrowały w daleki świat. Nie utrzymywał też bliższych znajomości z sąsiadami, bo i po co? Ot, co najwyżej odpowiadał na pozdrowienie, kiedy na krótko wychodził z domu, aby poczynić niezbędne zakupy. Toteż wszyscy uważali go za dziwaka i odsunęli się od niego.

A przecież mimo wszystko tryb życia, jaki prowadził ten samotny człowiek, intrygował pobliskich mieszkańców. Sprawa polegała na tym, że sukno, które wyrabiał w swym warsztacie, przewyższało jakością gatunku i trwałością barw wyroby innych rzemieślników. Zawsze też przejeżdżający kupcy kierowali się przede wszystkim do niego, co oczywiście musiało budzić zazdrość konkurentów.

– Po co mu to wszystko, dla kogo zbiera majątek? – szeptali między sobą, kiedy przechodzili w pobliżu domku. – I tak niedługo zejdzie do grobu. Wziąłby sobie kogoś, choćby któregoś z naszych synów, nauczył porządnej roboty, a potem może przekazał cały warsztat.

– Nieużyty człowiek! – potakiwali inni. – Sam wszystkiego nie zje i drugiemu ugryźć nie da!

Najbardziej jednak ciekawiło ich, co się dzieje nocą za zamkniętymi szczelnie od we-





Niewidzialna pomoc – Piotr Chrobociński, 5 lat, Szkoła Podstawowa w Naclawiu

wnątrz okiennicami. Za każdym razem, kiedy przechodzili tamtędy o zmroku, w warsztacie paliło się światło i słychać było do rana stuk pracujących krosien.

– Patrzcie, staremu nie dość dnia – wymieniano spostrzeżenia. – Nawet w nocy pracuje! Skąd u niego tyle sił, kiedy wypoczywa?

– To jakaś diabelska sprawa, lepiej się trzymać z daleka! – dopowiadali kręcąc głowami.

Ciekawi ludziska próżno usiłowali rozwiązać dręczącą zagadkę. Skąd mogli wiedzieć, jak było naprawdę?

Tymczasem u sukiennika prawdziwie działały się nadzwyczajne rzeczy. Kiedy umarła mu żona i dom opustoszał, w jednej z piwnicznych komórek zamieszkała rodzina karzełków, które tak chętnie trzymają się ludzkich siedzib i są niekiedy bardzo użyteczne.

Mali ludkowie korzystali wiele z uczynności samotnego człowieka, który traktował ich jak przyjaciół i obchodził się z nimi nadzwyczaj troskliwie. Przede wszystkim opatrzył dokładnie wychodzące na zewnątrz okienko piwnicy, aby źli ludzie nie wykryli przypadkiem ich obecności. Poza tym starał się zapewnić im zawsze świeżą wodę do picia i wystarczającą ilość pożywienia. Codziennie też gotował kaszę suto omaszczoną słoniną, a potem dreptał w dół po schodkach i stawiał parujący garnek zaraz za progiem.



Z kolei karzełki odwdzięczały się pracą. Same wykonały otwór łączący piwnicę z warsztatem i zamaskowały go tak sprytnie, że sam właściciel nie wiedział dokładnie, gdzie się znajduje. Kiedy staruszek odpoczywał po całodziennym trudzie, uruchamiały krosna i tkwały sukno, którego jakość budziła tyleż podziwu u kupców, ile zazdrości wśród towarzyszy spod cechowego znaku.

Ci zaś wciąż nie dawali mu spokoju i nie ustawali w zabiegach, chcąc odkryć tajemnicę jego powodzenia. Czasami próbowali wyciągnąć go na słówka, to znów z ukrycia obserwowali dom i obejście, jednakże nic podejrzanego nie wpadało im w oczy.



W końcu zdecydowali się na rzecz niegodziwą. Namówili kilku chłopców z miejskiej gawiedzi i obiecali im wysoką zapłatę, jeśli nocą wtargną do warsztatu sukiennika i sprawdzą, co się tam dzieje.

– Pamiętajcie tylko, by nie wyrządzać żadnej szkody! – przestrzegali, gdyż mimo wszystko obawiali się przykrych następstw, gdyby ich postępek został ujawniony. – A przede wszystkim trzymajcie język za zębami!

Zachęceni nagrodą niegodziwcy przyrzekli zachować milczenie i rażno zabrali się do dzieła. Gdy tylko zapadł zmrok i światła pogasły w oknach mieszkań, udali się w pobliże domu sukiennika, zaopatrzeni w narzędzia do otwierania zamków. Przewidywania okazały się słuszne, drzwi prowadzące do warsztatu były od wewnątrz zamknięte, żelazny zamek trzymał mocno.

– Trzeba odkręcić śruby, inaczej nie damy rady! – szeptali między sobą.

Wyciągnęli narzędzia i zaczęli majstrować przy zamku. Robota szła im nietęgo, na pół zardzewiałe śruby nie chciały ustąpić, dłuta osuwały się po żelaznej oprawie i wydawały głośny zgrzyt. Toteż od czasu do czasu przerywali pracę i rozglądali się wokoło w obawie, by jakiś nieproszony świadek nie odkrył ich obecności.

Tymczasem karzełki usłyszały podejrzane szmery. Natychmiast zatrzymały krosna, wygasily światła i szybko uciekły do swej kryjówki.

Kiedy złoczyńcy uporali się wreszcie z zamkiem, na ich drodze stanęła nowa przeszkoda: dostępu do warsztatu broniła żelazna sztaba, łącząca w poprzek obie futryny. Zdołali tylko uchylić drzwi po to, aby stwierdzić, że w warsztacie panują ciemności i nie słychać żadnego odgłosu pracujących krosien.

Zaklęli szpetnie i postanowili czym prędzej opuścić niebezpieczne miejsce. Przedtem jednak któryś z chłopców wybiegł na podwórko, zebrał garść kamyczków i rzucił z rozmachem w głąb izby.

– Przynajmniej w ten sposób zaszkodzimy staremu! – krzyknął ze złością

Po chwili słychać było na ulicy tupot oddalających się spiesznie kroków.

Następnego ranka sukiennik jak zwykle przyszedł do warsztatu, aby rozpocząć codzien-



ną pracę. Ledwie jednak przekroczył próg, natychmiast dostrzegł ślady nocnej wyprawy. Dokładnie obejrzał uszkodzony zamek, zbadał wytrzymałość żelaznej sztaby, a potem z troską rozejrzał się po izbie, by stwierdzić, czy coś nie zginęło.

– Któż to mógł uczynić? – rozmyślał kręcąc głową. – Tyle lat żyję, nikomu w drogę nie wchodzę i oto po raz pierwszy zdarzyło się coś podobnego!

Podreptał po izbie i nagle zatrzymał się zdumiony. Tu i tam dostrzegł na podłodzie rozrzucone po wszystkich kątach drobne złote monety. Ponieważ był człowiekiem doświadczonym, od razu domyślił się, że w ten sposób karzełki chciały wynagrodzić wyrządzoną mu przez złych ludzi szkodę.

– Dziękuję wam, mali przyjaciele! – powiedział głośno, z uśmiechem – jednakże waszej darowizny, choć płynie z dobrego serca, przyjąć nie mogę. Nie zapracowałem tych pieniędzy, przeto korzystać z nich nie mam prawa. Wiem jednak, co uczynić, aby znalazły właściwy użytek.

Zebrał monety w sakiewkę, ubrał odświętny surdut i dał się do proboszcza. Opowiedział o wszystkim, co się tej nocy wydarzyło i, wręczając mu pełną sakiewkę, rzekł:

– Przyjmij, ojcze, te pieniądze na pomoc dla najbiedniejszych mieszkańców naszego miasta. Proszę cię tylko, abyś zachował wszystko w tajemnicy, gdyż złych ludzi nigdzie nie braknie.

Tak też się stało.



Odtąd stary sukiennik żył spokojnie do końca swoich dni, karzełki zaś nadal pomagały mu w pracy. A kiedy śmierć zabrała go z sobą, wyniosły się gdzie indziej i nikt w Złocińcu więcej o nich nie słyszał.





Czarodziejski ptak – Gabriela Kosiewicz, 5 lat, Wiejskie Ognisko Przedszkolne w Manowie

Czarodziejski ptak

Nadchodził wieczór. Zmęczone całodziennym trudem słońce chyliło się z wolna nad poczerwieniałą topielą, od strony jeziora dmuchnął jesienny wiatr, unosząc z sobą szelest opadających liści olch, które szerokim pasmem zasłaniały brzegi. Wśród krzewów tarniny buszowały stada rozkrzyczanych szpaków, zbierających się do rychłego odlotu. Opopadał na łące pasły się krowy.

Między skrajem łąki i pól uprawnych przebiegał ścieg drogi wiodącej z Czaplina do starościńskiego zamku w Drahimiu. Tuż za drogą, niedaleko łąki, pasterze rozpalili ognisko. Obsiedli je wokoło, zapatrzeni w chybotliwy płomień. Od czasu do czasu któryś z chłopców przynosił narecze wysuszonych łącin i dorzucał do ognia. Wtedy płomień przygasał i smuga siwego dymu wzbijała się ku niebu. Pod warstwą żaru kruszały smaczne ziemniaki.

Bogna podniosła się z ziemi. Mimowolnym ruchem dłoni wsunęła pod chustkę opadający kosmyk włosów i z niepokojem spojrzała w górę. Wielki myszołów, który dotychczas wytrwale kołował nad polami, teraz stał się ledwie widoczny. W pewnej chwili zakołysał skrzydłami i łagodnym ślizgiem spłynął za pagórek.

– Późno już – rzekła zwracając się do współtowarzyszy. – Czas mi do domu!

Pasterze wzruszyli z niechęcią ramionami. Od ognia było przyjemne ciepło, szkoda było ruszać się z miejsca.

– Zostań, Bogna – odezwał się któryś. – Czemu się spieszysz?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Łatwo wam mówić! Zapędzicie krowy i po robocie, a mnie czeka jeszcze dojenie.

– Nawet ziemniaków nie spróbujesz?

– Dajcie parę. Zjem po drodze.

Patykami rozgrzebał popiół. Bogna chwyciła przez fartuch dwie gorące bulwy i nie zatrzymując się dłużej, pobiegła na łąkę. Uwolnione z palików krowy ruszyły powoli drogą, zostawiając za sobą wytarty łańcuchami ślad. Nie popędzała ich zbyt, gdyż do miasteczka było niedaleko.



Brama prowadząca do obejścia była na oścież otwarta. Dalej na podwórku, tuż przy studni stało koryto napełnione świeżą wodą. Podczas gdy zwierzęta gasiły pragnienie, dziewczyna udała się do obory aby rozrzucić ściółkę i przygotować skopki na mleko.

– Bogna... hej, Bogna! – odezwał się na progu domu kobiecy głos. – Gdzie się podziewasz?

– Tutaj jestem, mamol! – Weź latarnię, nie tłucz się po ciemku!

– Zaraz to zrobię, tylko skończę ze ściółką

Po chwili przysłała do domu, wzięła ze sobą zapaloną latarnię i wróciła do obory. Zawiesiła ją pod belką łączącą ściany, wewnątrz oświetlił mdły żółtawy blask. Następnie podeszła do wrót, chcąc wpędzić krowy na stanowiska.

Nagle zatrzymała się i zaczęła pilnie nasłuchiwać. Gdzieś z mrocznej głębi obory dobiegł do jej uszu ledwie uchwytny szelest. Jasna smuga przecięła wewnątrz i po chwili słaby oddech wiatru zakolysał płomieniem latarni, niosąc delikatny różany zapach.

– Co to może być? – pomyślała Bogna.

Zaskoczona niezwykłością zjawiska podeszła bliżej i w tym momencie zdumienie odebrało jej mowę. W miejscu, skąd wybiegała smuga, ujrzała postać małej dziewczynki, ubranej w błękitną sukienkę i podobną czapkę, spod której wyglądały pukle złotych włosów.

– Kim jesteś? Skąd się tu wzięłaś? – spytała Bogna, kiedy już ochłonęła z pierwszego wrażenia.

Dziewczynka spojrzała na nią pełnymi światła oczami. Następnie podniosła w górę drobną dłoń i rzekła melodyjnym głosem:

– Nie obawiaj się! Znam cię od dawna, choć widzisz mnie po raz pierwszy. Pamiętam, gdy byłaś jeszcze dzieckiem, biegałaś po łące i zbierałaś polne kwiatki. Czasem pluskałaś się w wodzie na brzegu jeziora, kiedy było spokojne.

– Jakże to możliwe? – w okrzyku Bogny brzmiał ton niedowierzania. – Skąd możesz wiedzieć co się działo wiele lat temu!

– Jestem twoją siostrą!

– Przecież ona umarła, kiedy jeszcze mnie na świecie nie było!

Mała istotka roześmiała się, głos jej przypominał teraz świergot zawieszzonego pod niebem skowronka.

Przybywam z poziomej krainy, gdzie panuje wieczna młodość i szczęście! Gdzie nie ma zimy ani śloty, gdzie pachną kwiaty, które nigdy nie więdną.

Na twarzy Bogny pojawił się cień smutku. Myślą przebiegła niełatwe lata własnej młodości, wypełnione biedą i pracą nad siłą. Schyliła głowę i rzekła cicho:

– Czemu mi o tym mówisz?

– Ponieważ bardzo cię kocham – głos małej dziewczynki brzmiał ciepło, serdecznie – i chciałam ci pomóc. Dlatego właśnie przybyłam tutaj. Odpowiedz mi, proszę, czy pragniesz być szczęśliwa?

– O, tak!

– Pamiętaj jednak, że szczęście to czarodziejski ptak, barwny i ulotny. Jeśli uda ci się go schwytać, wtedy zostanie przy tobie na zawsze.

Oczy dziewczyny płonęły ciekawością. Słowa małej istotki wabiły nieodpartym urokiem, rozchyłały niedostrzegalną zasłonę, za którą ukrywał się tajemniczy, pełen słonecznego blasku świat.



- Cóż więc mam uczynić? – zapytała po dłuższej chwili wahania.
- Pójdź razem ze mną, siostrzyczko miła!
- Bogna westchnęła głęboko, z żalem.
- Wiesz przecież że nie mogę! Jakże zostawię rodziców i świat, w którym żyję?
- Możesz doń wrócić, kiedy tylko zechcesz!
- Naprawdę...?
- Tak! A teraz podaj mi rękę, zamknij oczy i nie otwieraj, dopóki ci nie powiem. Nie pytaj też o nic, gdyż inaczej byłabyś zgubiona!

Zagłębiły się w ciemność. Mała dziewczynka szła naprzód drobnym lecz pewnym krokiem, prowadząc za sobą swą towarzyszkę. Wokoło panowała niezmacona cisza, Bogna słyszała jedynie własny oddech i przyspieszone bicie serca. Nie myślała już o przeszłości, o rodzicach, których opuściła tak nagle bez słowa pożegnania – cała przejęta oczekiwaniem tego, co miało wkrótce nastąpić.

W miarę upływu czasu robiło się coraz chłodniej. Gdzieś w oddali dobiegł szmer, jak gdyby fale jeziora uderzały o piaszczysty brzeg. Tajemniczy a jednocześnie dziwnie znajomy szum raz się przybliżał, to znów oddalał. Bognę opanowała nieprzeparta chęć, aby otworzyć oczy i zobaczyć, którędy wiedzie droga, natychmiast jednak przypomniała sobie przestrożę małej dziewczynki i zaniechała zamiaru. Pod stopami czuła osuwające się ziarenka żwiru, które przy nacisku wydawały delikatny skrzypiący odgłos.

Potem chłód ustąpił, zrobiło się bardzo ciepło. Mała przewodniczka zatrzymała się i uwalniając dłoń, zawołała srebrzystym głosem:

– Jesteśmy na miejscu, w krainie wiecznego szczęścia! Otwórz teraz oczy, dziewczyno znad burzliwej wody i ciesz się wraz ze mną swobodą bez granic!

Bogna usłuchała wezwania i stanęła olśniona widokiem, który roztaczał się przed jej oczyma. Znajdowała się we wspaniałym ogrodzie, pośród zielonych drzew wydzielających przedziwny odurzający zapach. Pod dachem gałęzi kryły się ciemnożółte owoce, jakich nigdy przedtem nie widywała. Wysypane drobnym żwirem alejki rozdzielały grządki przepysznych kwiatów, chylących ku ziemi na wpeł rozwinięte pąki. Dalej niebotyczne palmy rozkładały wachlarze swych ogromnych liści. Tu i tam widać było otoczone mchem sadzawki, z których biły w górę pióropusze fontann, mieniając się barwami tęczy w nasyconej światłem przestrzeni.

– Jakże tu pięknie! – zawołała uszczęśliwiona. – Dziękuję ci za wszystko, moja mała siostrzyczko!

Skierowała kroki do najbliższej sadzawki i przejrzała się w lustrze czystej jak kryształ wody – a gdy dostrzegła w nim odbicie własnej postaci, zaniemówiła z wrażenia. Zamiast zwykłej roboczej odzieży miała na sobie błękitną sukienkę z lekkiej powiewnej materii, na stopach zaś błyszczwały złociste sandaalki.

– Wyglądam jak królowa z bajki! – pomyślała nie dowierzając sama sobie. – Kiedy to się stało?

Rozejrzała się wokół, jakby szukała przyczyny owej czarodziejskiej zmiany – i teraz dopiero spostrzegła, że jest zupełnie sama.



– Gdzie jesteś, siostrzyczko? – wołała biegając między drzewami. – Czemu ukrywasz się przede mną?

Nagle spośród gałęzi wyfrunął barwny ptak. Zatoczył niewielkie koło a potem – trzepocząc skrzydełkami – zawisł tuż nad jej głową.

– Ptaku mój, cudowny ptaku – prosiła Bogna – wskaż mi, gdzie szukać zagubionej siostry!

Ptaszek odleciał nieco dalej i znowu zawisł w powietrzu, jak gdyby przyzywał ją do siebie. Wpatrywała się w niego jak urzeczona i, posuwając się krok za krokiem, wyciągnęła rękę.

– Siądź na mej dłoni, skrzydlaty wysłanniku – mówiła cicho, pieścizliwie – niech ci się przypatrzę bliżej. Jesteś taki piękny!

Daremne były jednak usiłowania dziewczyny. Mały ptaszek nie pozwolił się schwytać, natomiast wciągał ją coraz dalej, w głąb kwiecistego ogrodu. Rozbawiona podążała za nim lekkim krokiem aż w końcu – zmęczona pogonią – siadła w cieniu rozłożystego drzewa, aby nieco odpocząć.

Wtedy dopiero przypomniała sobie o rodzicach, których opuściła w tak niezwykły sposób.

– Z pewnością martwią się teraz o mnie – pomyślała. – Zawsze okazywali mi tyle serca, ja zaś odpłacałam się im niewdzięcznością. Jak mogłam tak postąpić!

Ukryła twarz w dłoniach i cicho zapłakała. Wtem poczuła, że ktoś delikatnie dotyka jej ramienia.

– Czemu płaczesz, siostrzyczko? – usłyszała tuż obok siebie znajomy srebrzysty głos.

Bogna podniosła oczy i zapytała przez łzy:

– Szukałam cię na próżno. Gdzie byłeś dotąd?

– Jestem wciąż przy tobie. Czyżbyś nie czuła się szczęśliwa? Mów, czego pragniesz, a wszystko uczynię!

– Chcę wrócić do rodziców.

– Czemu...?

– Nic mi ze szczęścia, które krzywdzi innych. Pomóż mi, siostrzyczko, jeśli mnie naprawdę kochasz!

– Skoro sobie tego życzysz...

Udały się obie w powrotną drogę. Znowu, jak przedtem ogarnęła ją ciemność, znowu słychać było odległy szum wody. Kiedy po jakimś czasie zatrzymały się, Bogna otworzyła oczy i stwierdziła, że znajduje się w tej samej oborze i w tym samym miejscu, gdzie po raz pierwszy spotkała swoją siostrę. Na sobie nie miała już błękitnej sukienki, lecz dawną zgrzebną spódnicę, przepasaną fartuchem. Tuż obok stało wiadro, a w nim posiekane, przygotowane dla bydła buraki. Wszystko wyglądało jakby trochę inaczej, lecz nie zwróciła na to większej uwagi.

– Muszę już odejść – rzekła mała dziewczynka. Schyliła się nad wiadrem, wzięła w dłoń kawałek buraka i podała go siostrze, mówiąc:

– Nie wszystko zastaniesz tak, jak zostawiłaś. Dlatego weź to ode mnie na drogę, która cię czeka!

Bogna wyciągnęła rękę, na jej dłoni spoczęła grudka czystego złota.

– ... Jeśli będzie ci bardzo źle – ciągnęła dalej – wyjdź nocną porą nad brzeg jeziora i rzuć tę grudkę w fale. Wówczas zjawię się ponownie i zabiorę cię z sobą na zawsze!

Po tych słowach znikła bez śladu.

Bogna stała długo w miejscu, ściskając w dłoni dar, który pozostawiła jej mała istotka. Potem wolnym krokiem udała się do domu. Kiedy przestąpiła próg, ujrzała twarze zupeł-



nie obcych ludzi siedzących przy kuchennym stole. Na widok wchodzącej, biednie ubranej dziewczyny podnieśli głowy i spojrzeli na nią z wyraźną niechęcią.

– Kim jesteś? Czego tu szukasz?– zapytał któryś z mężczyzn.

– Przyszłam do swego domu – odpowiedziała Bogna. – Gdzie są moi rodzice?

– Nie znamy ciebie ani twych rodziców! Idź do Rady Miejskiej, tam się zapytaj!

Poszła więc, gdzie jej wskazano, lecz i tam nie mogła się niczego dowiedzieć. Wreszcie ktoś życzliwy poradził jej, aby udała się do pewnej starej kobiety, mieszkającej w pobliżu jeziora. Staruszka przyjęła ją gościnnie, z uśmiechem na pomarszczonej twarzy. Cierpliwie wysłuchała opowieści Bogny, a potem zamyśliła się.

– Tak, tak, pamiętam! – ożywiła się nagle. Słyszałam o tym wydarzeniu, kiedy byłam jeszcze małą dziewczynką. Wiem, że mieli córkę – nawet nosiła twoje imię – która pewnego dnia zaginęła im nie wiadomo jak. Bardzo się tym przejęli, szukali jej wszędzie wraz z sąsiadami, lecz przepadła bez wieści.

– Gdzie są teraz? – zapytała Bogna.

– Nie wiem... – odpowiedziała staruszka. Potem gdzieś wywędrowali, chyba już dawno nie żyją. Ale... czemu ty płaczesz?

– Nic, babciu... to naprawdę nic!

Wybiegła za próg chaty i od tej pory w Czaplinku nie widziano jej więcej.





Klęska Belbuka – Daria Błahut, kl. III, Zespół Szkół nr 1 w Koszalinie

Klęska Belbuka

Dawne to były czasy. Lud puszczański żył wtedy swobodnie – nie mając nad sobą władzy nijakiej prócz rodowej starszyny i dalekiego księcia. Nieprzebyty bór dostarczał malin, jagód, ostrężyn i wszelkich innych owoców, zwierz łowny tłukł się po leśnych ostępach, a ryb w jeziorach było tyle, że ino ręką zagarniać. Szli tedy Pomorzanie w knieję, aby miód z barci pszczołom podbierać, zapasy orzechów na zimę gromadzić lub też z oszczepami na grzywiastego żubra współ się zacząć. Potem składali Belbukowi daninę z miodu i płatów bielonego płótna – by gniew jego odwrócić, życzliwość dla siebie zjednać, a często wróżby na przyszłe losy zasięgnąć. Jemu poświęcali pola i szumiące lasy, jemu powierzali własne smutki i radości.

Królował więc Belbuk na wyniosłym uroczysku w pobliżu jeziora Lubicko, gdzie dzisiaj wzbijają się pod niebo dymy wioski Łubowo. Siedzibę jego otaczał wysoki płot zdobiony rogami żubrów i wieńcami jeleni, a rzeźbiona brama otwierała widok na obszerny plac, gdzie dostęp miał tylko poświęcony jego służbie kapłan i ofiarnicy. Cień świętych dębów strzegł kamiennego boga przed żarem słońca i wzrokiem przygodnych ludzi. I nikt nie mógł się zbliżyć do niego, tylko sam kapłan, który w jego imieniu przyjmował ofiary i ogłaszał wyroki.

Nadszedł rok dobry, spokojny. Zgiełk wojenny nie zakłócał życia, cała kraina oddychała spokojem. Nawet rycerze z książęcej drużyny rzadko tutaj zaglądali. Łany dojrzewających zbóż złociły się w słońcu, ciepły wiatr przyginał ku ziemi napełnione ziarnem kłosa. Cieszyli się kmicie z przepowiedni urodzaju i tym gorliwiej dziękowali Belbukowi za okazaną łaskę, obiecując hojne ofiary z przyszłych zbiorów.

Lecz oto pewnego dnia rozeszła się wśród ludu wieść dziwna i trwożna. Przywiózł ją stary Każko, który co tydzień woził rybę na targ do szczecineckiego grodu. Szepnął kilka słów najbliższym sąsiadom – i zaraz wieczorem koło jego zagrody zebrali się mieszkańcy całej wsi.



W ich spojrzeniach, zazwyczaj ufnych i pogodnych, przebijało teraz oczekiwanie połączone z obawą.

Szmer ucichł, gdy na progu domu pojawił się gospodarz. Stary rybak powiodł wzrokiem po zebranych, a potem bezradnym ruchem rozłożył ręce i zaczął kiwać głową jakby w wielkim zakłopotaniu. Cóż tu mówić o sprawach, które nawet jemu samemu nie mieściły się w głowie?

– Widziałem ja już wiele w życiu – zaczął po długim milczeniu – lecz to, czego byłem dzisiaj świadkiem, jeszcze mi się nie zdarzyło. Więcej wam powiem: idą nowe czasy! Dobre czy złe – któż to może wiedzieć? Nie będzie jutrem to, co nam dzień wczorajszy przyniósł!

Twarze pobałdły, głowy pochyliły się ku ziemi.

– ... Około południa – ciągnął dalej Każko – gdy targ już się kończył i pora było wracać, usłyszałem nagle głos trąb. Zbiegli się ludzie ze wszystkich stron i patrzyli, co się dzieje. Oto przez szeroko otwarte bramy grodu wjechała drużyna prześwietnych rycerzy, wśród których ujrzałem dostojnego męża na białym koniu. Przed nim jechał młodzieniec trzymający w ręce dziwny, z dwóch ramion złożony znak, który w słońcu złotem się mienił.

– Może sam książe przybył do swych dziedzin? – zapytał ktoś nieśmiało.

– O nie, to nie był książe! – zaprzeczył Każko.

– Skąd wiesz?

– Bo przy księciu zawsze jego znak na drzewcu powiewa. To byli polscy rycerze, wojowie Krzywoustego, z dalekich stron przywiodła ich droga.

– Chyba na wojnę...! Znowu nędza i głód nas czekają! – zapłakały kobiety. Dzieci przytuliły się do matek, wszyscy znieruchomieli w oczekiwaniu złej wieści.

– Uspokójcie się! – zawołał Każko. – Nie przyszli ci rycerze po to, by mieczem wojować. Namiestnik księcia i cała grodowa starszyna jako przyjaciół ich witała!

– Czemu więc niepokój wśród nas siejesz? – zapytał jeden z mężczyzn. Co nam, kmiociom, do rycerskich spraw?

– To już nie rycerskie sprawy...

– Jak to?

– Bo ów mąż dostojny, którego oni Ottonem nazywają, nie jest żadnym wodzem, jest kapłanem jakiegoś potężnego Boga.

– Co mówisz? Przecież mamy swoich bogów, którzy moc posiadają i opiekują się nami! Czy sam Belbukowi ofiar nie składasz? – rozległy się zewsząd pełne niedowierzania głosy.

– Nie wiem... – odparł Każko zmęczonym głosem. – Powiadają w grodzie, że nic się przed nowym Bogiem nie ostoi. Wałą się pod ciosami święte dęby, upadają dawni bogowie. Nie wiem... nie wiem... Zobaczymy, co nam czas przyniesie!

Ludzie rozeszli się w milczeniu – zadumani, niespokojni.

Nie znalazł Belbuk schronienia pod konarami świętych dębów ni w puszczy głębokiej. Minęło parę dni i oto na drodze prowadzącej wzdłuż brzegów jeziora ukazał się tuman kurzu. Z oddali dobiegał chrzęst zbroi i parskanie koni. To Otton z Bambergu zbliżał się na czele rycerskiej drużyny białego boga. Gdy ujrzał przed sobą święte wzgórze i bramę w drzewie rzeźbioną, zatrzymał się wraz z całym orszakiem. Przez chwilę myślał nad czymś głęboko, a potem obrócił się twarzą do stojących za nim wojów, mówiąc:

– Niechaj Bóg wszechmogący pomoże nam zetrzeć z ziemi to gniazdo pogaństwa. Zwolajcie natychmiast wszystkich ludzi z okolicy, by i oni poznali światło prawdziwej wiary!



To mówiąc zsiadł z konia i drągiem zniszczył rzeźby zdobiące drewniane wierzeje. Wejście do świątyni Belbuka stało otworem. Wtedy na placu, gdzie zwykle składano ofiary, zgromadził się tłum przerażonych kmieci. Siedli półkolem na ziemi, jak im przykazano i spoglądali po sobie – myśląc, że oto nadeszła ich ostatnia godzina.

Tymczasem Otton klęczał na ziemi z twarzą ukrytą w dłoniach. Kiedy podniósł się z kolan i stanął wśród nich, ujrzeni postać jak gdyby innego człowieka. Na jego policzki wystąpił rumieniec, oczy błyszczały jakąś ogromną wewnętrzną mocą.

Mówił im długo o jedynym Bogu, który mieszka w niebie i ludziom pokój przynosi. O Chrystusie, który przyjął na siebie winy wszystkich ludzi i za nich na krzyżu umarł, by ich odkupić i drogę do wiecznego szczęścia otworzyć. A mówił tak pięknie, podobnym do tutejszego językiem, że szloch się dookoła rozległ. Niektórzy młodzi zaciskali pięści, gotowi pomścić niewinną śmierć Chrystusa.

Widział to wszystko wysłannik Krzywoustego i pomyślał, że oto nadeszła pora, by – serca poruszywszy – na rzecz śmiałą się ważyć.

– Słuchajcie mnie, dobrzy ludzie! – zawołał. – Przynoszę wam nowinę, której rozum ludzki zgłębić nie zdoła. Ukrzyżowany Chrystus zmartwychwstał w chwale i wszelkie złe moce pokonał! Abyście zaś moim słowem uwierzyli, władzę przez Niego mi daną rozkazuję tego kamiennego bożka, który jest tylko dziełem rąk ludzkich, strącić z miejsca i zatopić w jeziorze!

Skinął ręką i natychmiast kilku wojów podeszło do posągu. Wydobyli go z ziemi, ponieśli do łodzi i wypłynęli na głębiny. Struchlały lud ujrzał kamienną postać Belbuka, a potem wody z głośnym pluskiem zamknęły się nad jego grobem.

Ludzie wciąż jeszcze trwali z milczeniem – obawiali się bowiem, że znieważone bóstwo ukarze śmiałków. Jednakże nic się nie wydarzyło, żaden grom nie uderzył z nieba.

Wówczas wszyscy uwierzyli w potęgę nowego Boga i przyjęli chrzest, którego im udzielił misjonarz z Bambergu.





Zaraza w Połczynie

Szła czarna zaraza przez pomorską ziemię. Nie oszczędzała nikogo: możnych i biedaków, ludzi w południu życia i dzieci na rękach matek. Znaczyła twarze piętnem śmierci, od którego nie było ucieczki. Zostawiała za sobą martwą ciszę i nieruchome, wysuszone gorączką ciała. Opustoszały ulice Połczyna, tylko od czasu do czasu można było zauważyć niewielkie grupki ludzi, wynoszących poza obręb miasta zwłoki tych, którzy odeszli na zawsze. Inni klęczeli u drzwi kościoła, prosząc Boga o odwrócenie nieszczęścia.

– Czarna zaraza... czarna zaraza... – biegła żałobna wieść od grodu do grodu, od wioski do wioski.

– Na żal... na płacz... na śmierć... – jęczały kościelne dzwony.

A dym kadzideł, nasiąkły szeptem niewysłuchanych modlitw, włókł się po ziemi i zamierał na progu świątyni.

W owych dniach biedy i klęski pojawił się w Połczynie jakiś obcy mnich. Widocznie przybywał z daleka, gdyż miał na sobie zakurzony i bardzo zniszczony habit. Nie zwracano na niego uwagi, każdy bowiem z mieszkańców był zajęty własnymi troskami. Szedł więc samotnie wymarłymi ulicami miasta, spoglądał w szczelnie zasłonięte okna i tylko niekiedy zatrzymywał się przed drzwiami oznaczonymi białym krzyżem, niezdarnie namalowanym wapnem. Znak ten ostrzegał, że w domu gości zaraza. Na twarzy przybysza malował się wyraz bezbrzeżnego smutku, a jego kroki stawały się coraz bardziej ociężałe.

Minął rynek i znalazł się w pobliżu kościoła. Dostrzegł uchylone drzwi, więc wszedł do środka. Nie zastał tu nikogo, stuk drewnianych sandałów rozlegał się echem i ginął pod sklepieniem dachu. Wewnątrz panował nieład, pod jednym z niedokończonych wsporników, dźwigających łuk nad wielkim ołtarzem, stała skrzynia z przygotowaną zaprawą, obok zaś



leżały cegły i porzucone narzędzia murarskie. Widocznie i tutaj przerwano wszelkie prace.

Strudzony wędrowiec klęknął na stopniach ołtarza, ukrył twarz w dłoniach i gorzko zapłakał.

– Wiele wody upłynęło w rzekach – skarżył się w duszy – odkąd opuściłem kraj mego dzieciństwa. Po latach tułaczki wracam tutaj z pielgrzymich szlaków i oto zamiast radości życia widzę wokoło straszliwe żniwo śmierci. Za cóż, o dobry Boże, tak srogo doświadczasz moje rodzinne miasto? Daj znak, co mam uczynić, aby nieszczęście od niego odwrócić! Oddałbym z ochotą własne życie, aby tylko ulżyć cierpieniom mych rodaków!

Długo modlił się ów wędrowiec, aż wreszcie zasnął ze zmęczenia. Po chwili jednak obudził się dziwnie rześki. Wiedziony niewytłumaczonym nakazem opuścił świątynię, przeszedł zwawym krokiem przez rynek i skierował się w uliczkę prowadzącą do zamku.

Nagle zatrzymał się obok samotnej chatki, położonej przy końcu uliczki po lewej stronie. Znów jakiś wewnętrzny głos kazał mu otworzyć drzwi i wejść do środka.



Znalazł się w ubogiej lecz czystej izdebce. Na łóżku pod ścianą leżała stara kobieta i ciężko oddychała. Wychudła twarz, głęboko zapadnięte oczy i zlepione potem włosy świadczyły, że trawi ją gorączka. Właśnie zamierzała sięgnąć po kubek z wodą, aby ugasić pragnienie, lecz ręka jej bezwładnie opadła na pościel.

Obcy mnich rozejrzył się wokoło, lecz ku wielkiemu zdziwieniu nikogo z domowników nie dostrzegł. Drzwi od sąsiedniej izby były zamknięte.

– Czy jest tu ktoś? – zapytał głośno.

Odpowiedziało mu milczenie. Podeszedł więc do łóżka, ujął w dłoń kubek i podał go chorej. Kobieta przełknęła odrobinę wody, na chwilę otworzyła oczy i zaraz potem westchnęła głęboko.

W tym momencie tuż nad jej głową ukazał się niewielki biały obłoczek. Zawisł w powietrzu, kołysząc się ledwie dostrzegalnym ruchem. Mnich obserwował z uwagą niezwykle zjawisko i natychmiast przyszło mu na myśl, że ów obłoczek nie jest niczym innym, jak tylko zarazą w takiej właśnie postaci.

Ostrożnym krokiem cofnął się do drzwi i otworzył je na oścież. Przeciąg spowodował, że obłok poszybował znad łóżka chorej i teraz unosił się przed wejściem chatki. Mnich opuścił mieszkanie, zamknął drzwi i ruszył w kierunku rynku. Kilkakrotnie obejrzał się za siebie – obłok podążał za nim, jakby był przywiązany nitką. Przyspieszył więc kroku i udał się z powrotem do kościoła.

Kiedy znów stanął obok niedokończonego wspornika – spostrzegł, że zostawiono w nim spory otwór, widocznie dla umieszczenia puszek na składane przez wiernych ofiary. Nie zastanawiając się długo – szerokim ruchem ramienia zagarnął obłok i wpędził go do środka. Następnie chwycił kielnię, drugą ręką ujął cegłę i zamurował otwór wraz ze znajdującym się w nim obłokiem. Potem starannie wygładził powierzchnię ścianki, aby po jego pracy nie został ślad.

Drogą prowadzącą z Połczyna w kierunku Białogardu szedł samotnie mnich w zniszczonym i zakurzonym habicie. Dzień był piękny, wiosenny – uprawne pola przyciągały oczy barwą świeżej zieleni. W oddali widać było miasto i ludzi krzątających się wokół zwykłych codziennych zajęć. Na twarzach przechodniów malował się spokój, gromadki dzieci biegały po przydrożnych zboczach – roześmiane, rozbawione.

Wędrowny mnich zatrzymał się i przez długą chwilę spoglądał na rodzinne miasto. Potem odwrócił się i zniknął za wzgórzem.





Jak szewc z Nielepu diabłu buty szył - Wiktoria Lewandowska, lat 6, Szkoła Podstawowa w Naclawiu

Jak szewc z Nielepu diabłu buty szył

We wsi Nielep mieszkał pewien szewc, którego zwali Godzisławem. Dobry był to człowiek, zgodny, zawsze umiał poradzić w potrzebie. Lubili go mieszkańcy wioski, bo był spokojny, pracowity, dbający o rodzinę. Ale choć się nie lenił i starał się wykonywać swoją robotę jak najlepiej, to jednak nieraz przyszło mu oraz Krasnoradzie i małemu Miłostowi przymierać głodem. Cóż z tego, że Krasnorada uwijała się w gospodarstwie, dbała o małe stadko białych kózek, każdego ranka wychodziła też do gdaczących kurek i gęgających paru gąsek. Cóż z tego, że kiedy nastawała odpowiednia pora roku, razem z Miłostem chodziła do lasu po jagody i grzyby. Nie uprawiali pola, więc nie mieli i płodów ziemi, tyle co otrzymywali od sąsiadów w zamian za parę butów czy gar zapiekanej prażuchy.

Ale ludzie w Nielepie byli biedni i nie potrzebowali tylu par butów, gdyż na ogół latem chodzili boso, a w dni słotne i zimne, owijane w szmaty stopy wsuwali w łapcie z łyka lub w drewniane trepy.

Coraz więc trudniej żyło się Godzisławowi i jego rodzinie

Pewnego chłodnego wieczoru siedzieli w swej izdebce i grzali się przy ogniu. Krasnorada rogowym grzebieniem rozczesywała Miłostowi włosy, a Godzisław wpatrzony w skaczące płomyki rozmyślał. W pewnej chwili przerwał milczenie.

– Nie możemy tak dłużej żyć. Może więc ja wybiorę się do Świdwina i tam postaram się sprzedać moje buty.

– Ale to tyli szmat drogi! – odezwała się kobieta. – Jakiesz tam dojdiesz przez ten bór? Jeszcze cię Zły porwie!

Godzisław roześmiał się:

– Co mi tam Zły może zrobić? Nie boję się go zupełnie! To wymysł ludzi!

– A kiedy chcesz się tam wybrać? – spytała Krasnorada.

– Może już jutro? Najlepiej wczesnym rankiem, żeby miał czas jeszcze na powrót. Słyszałem, że Świdwin to duże miasto z zamkiem i kościołem, a na plac z kramami idzie się przez wysoką bramę. Pokażę więc tam mieszczanom swoje buty, może się spodobają.



Krasnorada długo nie mogła zasnąć. Trawił ją niepokój o Godzisława. A jeżeli nie Zły, to mogą go zaatakować wilcy... Tyle przecież we wsi opowiadano o niebezpiecznej drodze.

Jeszcze było ciemno, kiedy Godzisław zerwał się na równe nogi.

– Już czas, nie pora zwlekać – szepnął do Krasnorady. Kobieta także wstała, włożyła jeszcze do przygotowanego poprzedniego dnia tobołka pajdę chleba i wyprawiła męża w drogę.

Kiedy przechodził wzdłuż kamiennego muru otaczającego siedzibę wójta krzyżackiego ze Świdwina – dniało. Zaczęły rysować się coraz wyraźniej kształty wysokich lip rosnących na poboczach błotnistego traktu. Wełniane giezło włożone w spodnie i borsucza kamizela jako tako grzały, ale aby nie zmarznąć, przyspieszył kroku.

Długo szedł, zanim wreszcie stanął przed wysoką kamienną bramą.

– Prawdę powiadali – pomyślał Godzisław. – Wysoka ci ona na wiele stóp i jakaś taka obca.

Uświadomił sobie jednak cel, który go tu przywiódł i wszedł za chwilę na duży plac zastawiony kramami, budami i jatkami. Wszędzie było pełno ludzi – z koszami wypełnionymi warzywami, ciągnących na sznurku prosiaki lub owce, rozmawiających w jakimś niezrozumiałym języku. Zgiełk, kwik i beczenie otoczyły go natychmiast. A tu jeszcze z kramów krzyczą kupcy i rzemieślnicy:

– Do mnie po piękne świecidełka!

– Do mnie chodźcie, mam świeże ryby!

– A ja mam dobry miód!

– Moje garnki najlepsze!

Nagle w tym ogólnym gwarze usłyszał śpiew i dźwięki bębena. Odwrócił się a tu gwarzarze schwyтали go już za rękę i pociągnęli w wesołym korowodzie. Po chwili zatrzymali się i w kilku podskokach zbudowali jakąś dziwną figurę. Był zachwycony ich sprawnością i pomysłowością.

– Jakże oni się cieszą życiem – znów pomyślał. Pewnie nie mają żadnych kłopotów.

Zaraz jednak usłyszał koło siebie żalospesne jęki. Pod jednym z kramów siedział na ziemi kaleki żebrak i czekał na jakąś jałmużnę.

– Ale ten ma tylko same kłopoty – pokiwał głową ze zrozumieniem i współczuciem.

Chciał jeszcze zobaczyć walkę kogutów i zawody w strzelaniu z łuku, ale nagle się opamiętał.

– Zaraz, zaraz, przecież muszę sprzedać te trzewiki, które mam ze sobą.

Rzeczywiście, buty zachęcały do kupienia. Zrobione z koziej skóry, z obszytymi lamówką cholewkami i haftkami w kształcie gwiazdek przyciągających wzrok.

Parę osób przeszło obok prawie nie zwracając na nic uwagi, ale w końcu stanęła na przeciw Godzisława zażywna jejmość. Wzięła buty do ręki, powyginała je w różny sposób i w różne strony, przez chwilę pocmokała, uśmiechnęła się i w końcu spytała:

– Ile chcesz, człowieku, za te piękne buty?

Godzisław zastanowił się i po chwili wypowiedział cenę. Była ona atrakcyjna i dla kupującej kobiety i dla niego.

Kobieta położyła mu na rękę parę srebrnych pienużków i już chciała odchodzić, gdy obok stanęły inne niewiasty, dopytując się, czy nie ma szewc jeszcze innych bucików. Rozłożył ręce w geście dla nich zrozumiałym.

– Niestety – powiedział – już nie mam ani jednej pary, ale niedługo znowu tu przyjdę – zapewnił.



Uradowało go to zainteresowanie. Nareszcie będzie i robota, i zapłata. W tak wesołym nastroju podszedł do jednego z kramów i trochę przebierając kupił Krasnoradzie ozdobną krajkę do przewiązania giezła a małemu synkowi wystruganego z drewna konika. Jego wzrok przykuł jeszcze piękny garniec.

– Ucieszy się Krasnorada – rzekł do garnkolepa. – Będzie miała w czym warzyć kaszę.

Czas na jarmarku minął bardzo szybko. Ani się nie spostrzegł, zaczęło się ściemniać. A tu jeszcze głośno ktoś krzyknął, że zaraz zamykają bramy miejskie.

– Nawet nie zdążyłem popatrzeć na ten wielki i pański zamek, o którym różne krążyły opowieści – pomyślał. – Teraz szybko do domu, bo drogę zgubię.

Szedł więc i szedł, aż tu nagle...

– Ki diabeł! – krzyknął. – A cóż to za pokraka stanęła mi na drodze?

Przed nim kłaniała się jakaś dziwna postać. Ni to człowiek, ni to zwierz. Postać była czarna, w jakimś dziwnym kapeluszu na głowie, ciemnej kapocie, spod której machał jakby ogon z chwostem. A na nogach szewc zauważył jakby kopyta.

– Ktoś ty? Przepuść mnie, bo się spieszę do domu! – krzyknął Godzisław.

– Jak to kto? Przecież mnie wezwał! – odezwała się postać.

– To jednak prawdę ludzie gadają, że istniejesz. Ale ja się ciebie nie boję – zapewnił szewc. – Nic mi nie zrobisz, nie oddam ci też swojej duszy, bo podobno na nią czyhasz!

Diabeł zaśmiał się skrzekliwie.

– Na diabła – o, przepraszam – mi twoja dusza, mam ich sporo. Ty jesteś mi potrzebny do czegoś innego. Jak widzisz, jestem prawie ubrany. Brak mi jednak butów i chcę żebyś mi je wyfasował. Może wtedy ludzie inaczej na mnie spojrzą, nie będą się mnie bać i spokojnie ich przekonam, że ich dusza jest mi potrzebna.

Godzisław popatrzył na podsunięte pod nos kopyta.

– Dlaczego nie, przecież jeżeli wezmę miarę, to w trzy dni buty mu sprawię – pomyślał, a głośno powiedział:

– Dobrze, za trzy dni przyjdę na skraj lasu i buty ci przyniosę. Ale co za to będę miał?

– Suto cię wynagrodzę. Będziesz miał wtedy pieniądze na wszystko, czego zapragniesz. Tylko pamiętaj – buty mają być odpowiednie.

I diabeł tak jak szybko się pojawił, tak szybko zniknął.

Doszedł w końcu Godzisław do swej chaty. Opowiedział o wszystkim Krasnoradzie. Uradzili, że nikomu o tej przygodzie nie powiedzą.

Nazajutrz rano szewc już siedział przy swoim warsztacie. Kroił skórę, później ją zeszywał, dołączył rzemyki, którymi trzewiki związał w kostce i wreszcie po dwóch dniach pokazał je Krasnoradzie, by oceniła efekt.

– Jakie piękne! – oceniła. – Tylko czy się spodobają? – spytała z troską w głosie.

Kiedy nadeszła pora spotkania z diabłem, Godzisław stawiał się we właściwym miejscu, zadbał też o to, by go nikt z mieszkańców wioski nie zobaczył. Mimo, że był lubiany przez sąsiadów, to jednak takie spotkanie pewnie nie byłoby dobrze ocenione.

– Po co mi słyszeć, że mam jakieś wspólne sprawy z diabłem – pomyślał.

Robiło się już zupełnie ciemno, zaczął się jesienno deszcz. Ptaki się już uspiły – z wyjątkiem sowy, która się właśnie obudziła i zaczęła od czasu do czasu pohukiwać. Poza tym było zupełnie cicho. W pewnym momencie Godzisław usłyszał trzask gałęzi. I znowu, jak parę dni temu, stanął przed nim diabeł i szybko spytał:



– Masz? Bo mi zimno i mokro w nogi!

Szewc wyjął z zawiniątka trzewiki i podał je diabłu. Ten szybko wsunął w nie kopyta, ale jakoś nie mógł ich włożyć do końca. Wciskał kopyta, to znów wyjmował, rozciągał buty, ale ani rusz nie mógł ich dopasować.

– Coś ty mi uszył?! – krzyknął zdenerwowany diabeł. I zaczął przeklinać i wymyślać szewcowi.

– Ani grosza ci nie zapłacę! Zabieraj je z powrotem!

Rzucił diabeł trzewikami w stronę szewca i znikając krzyknął jeszcze:

– Od dzisiaj nie tylko dla ciebie, ale i żadnego szewca nie ma miejsca w piekle!

A pieniądze obiecwane przez diabła za robotę wkrótce zamieniły się w pełzające żmije.



O uciekających dzwonach

Spokojnie się żyło ludziskom w małej wiosce Lipie. Dni były do siebie podobne, chyba że zmieniały się pory roku. Wiosną kiedy drzewa pokrywały się świeżą zielenią i przylatywały ptaki, chłopci wychodzili w pole a gospodynie wysadzały kury, kaczki i gęsi na jajach, by po kilku tygodniach mieć nowy przychówek. Latem przychodził czas na żniwa i dożynki, zaś jesienią szykowano zapasy żywności dla ludzi i karmę dla zwierząt, by móc przetrwać zimę, którą to porę roku w zasadzie spędzano w izbach, zajmując się różnymi pracami, na jakie nie było czasu wcześniej. Mielono więc w żarnach ziarna na mąkę, czyszczono owczą wełnę, darto pierze gęsie, strugano łyżki, sporządzano powrozy czy tkano płótno na krosnach.

Taką codzienność przerywały tylko wydarzenia osobliwe jak narodziny dzieci i później ich chrzciny, wesela, a także – niestety – pogrzeby.

Coś się jednak mieniło, kiedy właścicielami wsi stali się możni z rycerskiego rodu von Manteufflów. Z nimi przybyli tu nowi mieszkańcy, których początkowo nikt nie rozumiał, bo mówili jakimś dziwnym językiem, mieli też inne obyczaje. Ale z czasem jakoś się zaczęło układać, dzieci zawierały między sobą małżeństwa, wyrównywały się też różnice w mowie i zwyczajach. Wieś się rozbudowała, coraz więcej gospodarzy stawiało nowe chałupy – i to coraz większe, a wokół chałup pojawiały się duże stodoły i obory. Pośrodku wsi, na niewielkim pagórku stanął kościółek, a niedaleko niego i karczma.

Każdą niedzielę schodzili się mieszkańcy tego już prawie miasteczka, do których dołączali też ludzie z Modrzewca, Łęgów, Paszęcina, na mszę, żeby wysłuchać kazania. Później, po nabożeństwie, rozchodzili się w różne strony – kobiety z dziećmi wracały do swych domostw, mężczyźni zaś szli do karczmy.

A było to bardzo ważne miejsce spotkań. Tutaj chłopci wymieniali się doświadczeniami gospodarskimi, narzekali na plony, jeżeli były marne, tutaj też wysłuchiwali różnych opowieści, jakie snuli wstępujący tu wędrowcy.

Pewnego razu, a było to w listopadzie, na Marcina, gdy jeden z miejscowych chłopów, wcześniej dziękując w kościele swemu patronowi za zgodne życie w rodzinie i zdrowie do-





O uciekających dzwonach - Aleksandra Kośla, kl. III, Szkoła Podstawowa nr 4 w Koszalinie

pisujące jemu, żonie i siedmiorgu ich dziatkom – teraz przysiadł na ławie z Piotrem, aby się z nim podzielić niesamowitą historią.

– Słyszałeś, kumie, co ludzie powiadają?

Piotr podparł pięścią brodę, a drugą ręką sięgając po warzone w karczmie piwo, z wielkim zainteresowaniem czekał na to, co powie Marcin. – To wiesz, że nasi możnowładcy ufundowali dla naszego kościoła dwa wspaniałe dzwony, które wzywają wszystkich na nabożeństwa.

– Ano, to ci ja wiem – kiwną głową Piotr. – Jużci, dźwięki ich słycać daleko, nawet w Jezierzycach, a i u nas w Modrzewcu. – Ale co chcesz mi, kumie, powiedzieć?

– A słyszałeś je dzisiaj? – spytał Marcin.

Rzeczywiście. Tej niedzieli z wieży kościółka nikt dzwonów nie usłyszał. Jakoś nie zwrócili na to uwagi, tak się przyzwyczaili do tego, że siódmego dnia tygodnia Pan Bóg i tak oczekuje ich w swoim domu.

Tę rozmowę usłyszał siedzący obok jakiś nieznajomy i po chwili włączył się do rozmowy:

– To wy nic nie wiecie? – zdziwił się. – Przecie wasze dzwony ludzie Manteuffla wywieźli do Popielewa.

– O, właśnie słyszę, że wiecie o wiele więcej, niż ja – przerwał Marcin zdziwiony. – Powiedźcie, dlaczego tak się stało?

I okazało się, że w oddalonym o jakieś dwa dni drogi Popielewie Manteufflowie wybudowali nie tylko nowy zamek, ale i kościół – taki duży, solidny, z kamieni. Niestety, zabrakło tam dzwonów, a ponieważ dzwony z Lipia były ich własnością, przeto postanowili je stamtąd zabrać.

Smutno się zrobiło w karczmie po tej wypowiedzi. Przecież to dzwony kościelne, a nie pańskie! A nawet więcej – to dzwony lipiańskie!

– I jeszcze wam powiem, że panowie chcą się przenieść z waszego zamku do Połczyna, gdzie mają o wiele większą siedzibę, niż u was – dokończył nieznajomy, po czym narzucił na ramiona kapotę, wziął w jedną rękę kapelusz, a w drugą kij i wyszedł.

Nie było co siedzieć w karczmie dłużej, toteż wszyscy jakoś w ciszy się rozeszli.

Nie minęło dużo czasu, kiedy nagle wszystkich mieszkańców Lipia zbudziły jakieś bardzo głośne dźwięki. A to dzwony, ich dzwony wróciły z Popielewa. Po prostu stamtąd uciekły!

I znowu, przez kilka niedziel wzywały na nabożeństwa, znowu się ludziska gromadzili w kościele i znowu było jak dawniej.

Ale któreś niedzieli nie odezwały się ponownie. I tym razem Manteufflowie dzwony wywieźli. Nie dając jednak za wygraną, dzwony z Popielewa cichą nocą znów zawisły na kościelnej dzwonnicy w Lipiu. Tego jednakże było już za wiele. Kiedy więc po raz trzeci dzwony zabierano, umieszczono je na wozie, mocując ściśle i opasując żelaznym łańcuchem.

– No, teraz na pewno dowieziemy was do właściwego kościoła! – krzyknęli parobcy. Jeden z nich usadowił się z przodu wozu, by powozić czwórką ciężkich koni, trzej pozostali usiedli na dzwonach okrakiem, aby mieć baczenie na ewentualne nawet podrygi dzwonów. Byli przekonani, że wypełnią dobrze zadanie zlecone im przez pana. Muszą tak zrobić, bo inaczej czekałaby ich kara, jak tamtych parobków. A panowie byli groźni i nie żartowali. Nie bez kozery nazywano ich diabłami.

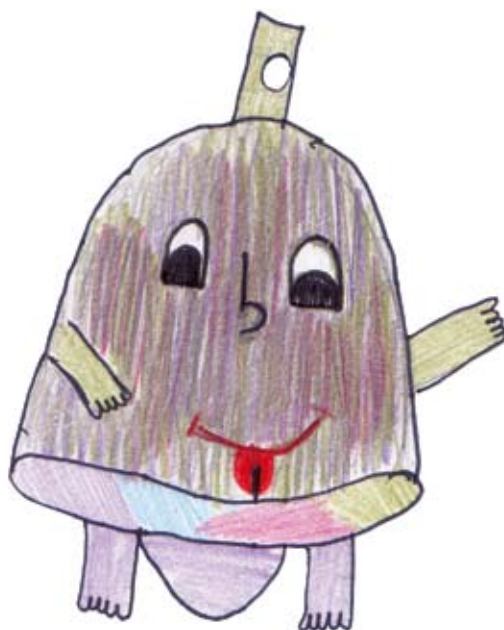
Gdy tak wóz toczył się traktem do celu, zaczął padać deszcz, który wkrótce zamienił się w ulewę. Zrobiło się ponuro i nieprzyjemnie.

– Dobrze, że to już niedaleko! – krzyknął jeden z parobków, choć głos jego z powodu wiatru ledwo dotarł do pozostałych.



Nagle, pod Ogartowem, coś dziwnego zaczęło się dziać i z końmi, i z wozem. Konie przestały ciągnąć i coraz bardziej zapadały się w rozmokłą ziemię. To samo działo się z kołami wozu – i one pogrążyły się w grząskim gruncie. Parobcy zeskoczyli więc szybko z wozu i uciekli. A tymczasem wóz i konie wciągnęło bagno bez śladu. Dopiero po jakimś czasie w tym miejscu powstało małe jezioro, które okoliczni mieszkańcy nazywali odtąd Bagnem Dzwonów. Jeszcze dzisiaj ponoć w niektóre dni dochodzą stamtąd głuche dźwięki dzwonów, które nie chciały słuchać możnowładców, ale kołysać się dla Lipian.

Taka to mogła być kara dla panów z rodu Manteuffłów, którzy ze swego zamku w Połczynie napadali zbójcko na karawany kupców podążających traktem z Kołobrzegu do Poznania, wiozących bardzo cenne na ówczesne czasy towary – sól i śledzie. Nie omieszkali też łupić kupców w inny sposób, pobierając od nich wysokie opłaty za przejazd przez ich dobra.



Doszczętnie też została zniszczona zbójcka własność Manteuffłów – zamek w Popielewie. Dokonał tego książę pomorski Barnim IX w porozumieniu z polskim królem Zygmuntem Starym. A działo się to w 1530 roku. Popielewskiego zamku nigdy nie odbudowano.

122 | O księżniczkach,
zbójcach,
karzełkach i...



O uciekających dzwonach

O siedmiu Olbrzymach i ognistym smoku

Przed wielu, wielu laty rozległą bagnistą krainą, rozciągającą się od Łeby aż po Słupsk i Lębork, władało siedmiu braci Olbrzymów. Dzika to była kraina, pełna niebezpieczeństw, gdzie jeno zwiierz leśny przemykał znanymi ścieżkami i krył się w niedostępnych miejscach. Toteż mieszkańcy okolicznych wiosek nie zapuszczali się w głąb mokradeł, aby przez własną lekkomyślność nie postradać życia. Nikt też nie znał siedziby braci Olbrzymów – wieść tylko dawna głosiła, że posiadają wspaniały zamek, pełen nieprzebranych skarbów, których strzeże liczne i dzielne wojsko. Daremnie przeróżni królowie i książęta usiłowali zawładnąć tymi skarbami – każda wyprawa grzęzła w nieprzebranych bagnach i nie zdarzyło się nigdy, by ktoś powrócił stamtąd żywy. Potem zaniechano wypraw i odtąd siedmiu Olbrzymów niepodzielnie królowało nad puszczańską krainą. Zresztą nikomu nie czynili krzywdy ani nie napadali na sąsiednie wioski. Nie żądali nawet daniny, jak to zwykli czynić wszyscy władcy.

Czemu więc ich mieszkańcy żyli w ciągłym niepokoju, zaś wioska Podole Wielkie co roku okrywała się żałobą i płacz wielki rozlegał się wokoło?

Przyczyną nieszczęścia był okrutny smok, który od niepamiętnych czasów zagnieździł się w podziemnej jaskini. Wyjście z niej znajdowało się u stóp pobliskiego wzgórza. Kiedy na bagnach i leśnych polanach zakwitwały wrzosy, wtedy wychodził ze swej kryjówki i porywał jedną dziewczynę, po czym wracał inną drogą i nie pokazywał się więcej aż do następnego roku. Jeśli jednak nie udało się porwanie, wówczas ryczał z gniewu tak głośno, że słycać go było aż u bram Lęborka i mścił się na ludziach, niszcząc płomiennym oddechem ich domy wraz z inwentarzem i zbiorami. Tak powtarzało się wciąż i nie było rady, aby go poskromić.

Złośliwy smok nie ograniczał się jednak do wyrządzania krzywdy mieszkańcom wiosek, lecz napadał również na posiadłości Olbrzymów. Tu pożarł zapasy zgromadzone dla wojska, gdzie indziej znów porywał pasące się na swobodzie bydło, dziesiątkując stada. Łatwiej mu było zaspokoić w ten sposób nienasycony głód aniżeli ścigać po bagnach szybkonołą dziką zwierzynę.





O siedmiu Olbrzymach i ognistym smoku- Natalia Hajdamowicz, kl. II, Zespół Szkół Sportowych w Koszalinie

Postanowili więc bracia rozprawić się ze smokiem – wiedzieli jednak, że mimo ogromnej siły nie sprostają mu w walce ani nie przewyższą w chytrności. Tu trzeba było sięgnąć do innych środków. Po dłuższej naradzie przypomnieli sobie o pewnym rycerzu imieniem Jerzy, który słynął w całym wojsku z nieustraszonej odwagi i biegłości w wojennym rzemiośle, jednakże popełnił ciężkie przestępstwo i teraz oczekiwał zasłużonej kary, przykuty łańcuchem do ściany więziennego lochu. Kazali więc przyprowadzić go do zamku, zebrali radę rycerską – a kiedy stanął się przed ich obliczem, najstarszy z braci odezwał się w te słowa:

Zuchwałość twoja i brak poszanowania praw spowodowały, że znalazłeś się sytuacji nie do pozazdroszczenia. Dajemy ci jednak ostatnią szansę. Otrzymasz z powrotem miecz i włócznię po to, byś udał się na spotkanie ze smokiem. Jeśli go pokonasz, przywrócimy ci cześć rycerską a nadto otrzymasz wysoką nagrodę. Teraz wybór należy do ciebie!

Twarz rycerza pokraśniała, z oczu strzelił blask radości. Skłonił się nisko przed dostojnym zgromadzeniem, zacerpnął oddechu i rzekł:

– Dzięki wam po stokroć za okazaną łaskę. Natychmiast udam się na poszukiwanie smoka i – przysięgam! – uczynię wszystko, aby go pokonać. Najwyższą zaś dla mnie nagrodą niech będzie uwolnienie kraju od trapiącej zmyry!

Najstarszy z Olbrzymów skinął ręką, co miało oznaczać, że posłuchanie skończone.

Przywdział rycerz Jerzy lekką zbroję, przypasał miecz do boku, zabrał włócznię i wyjechał na poszukiwanie smoka. Był właśnie słoneczny jesienny dzień, dookoła – jak okiem sięgnąć – rozciągał się kobierzec kwitnących wrzosów, ciesząc oczy delikatną barwą fioletu. Koń biegł rażym kłusem, prowadzony pewną ręką jeźdźca, który znał dokładnie wszystkie dostępne ścieżki. Droga wiodła w kierunku Darzewa. Już słońce zaczęło powoli skłaniać się ku linii horyzontu, gdy nagle rycerz ujrzał nieruchome cielsko potwora. Leżał śpiący na wrzosowisku, z otwartego pyska sączyła się ślina. Zapewne obżarł się od rana i teraz odpoczywał – pewny, że mu nic nie zagraża.

Rycerz ostrożnie podjechał z boku, a kiedy znalazł się w dostatecznej bliskości, pełnym rozmachem wbił grot włóczni w oko drapieżcy.

Z otwartej paszczy smoka zagrzmiął ryk bólu. Błyskawicznie uniósł w górę kościsty ogon i uderzył nim konia, łamiąc mu grzbiet. Jeździec jednak równie szybko zsunął się z siodła i dzięki temu udało mu się uniknąć śmiertelnego ciosu.

Tymczasem smok wił się z bólu i, obracając wokoło, usiłował dostrzec przeciwnika. Lecz odważny rycerz trzymał się blisko jego głowy od strony przebitego ślepią i raz za razem ciałł mieczem w czułe miejsce, gdzie kończyła się czaszka potwora – wiedział bowiem, że tylko w ten sposób zdoła go obezwładnić.

Walka przeciągała się. Rycerzowi omdlewały ręce, strugi potu zalewały oczy. Równocześnie słabła furia okaleczonego gada, który tarzał się teraz w uchodzącej krwi.

Wtedy potwór zdobył się na ostatni wysiłek: z jego nozdrzy buchnęły płomienie, ogarniając najbliższe położone drzewa i krzewy. Rycerz Jerzy odsunął się na bezpieczną odległość – wiedział już bowiem, że został zwycięzcą. Teraz pozostało mu tylko czekać na agonię wroga.

Nie czekał zbyt długo. Kiedy płomienie zaczęły przypiekać cielsko smoka, ten zaczął się czołgać w kierunku bagna, by tam znaleźć ochłodę.

To właśnie przypieczętowało jego zgubę. Cienki kozuch roślinny nie utrzymał ciężaru i opasłe cielsko smoka zaczęło pograżać się w bezdennej topieli. Potem już tylko bańki wydobywającego się powietrza znaczyły miejsce jego grobu.



Wieść o bohaterskim czynie rycerza Jerzego obiegła lotem całą okolicę. Wszyscy cieszyli się niezmiernie, gdyż dzięki jego odwadze odzyskali upragniony spokój. Wybaczone mu też poprzednie winy i odtąd mógł znowu na równi z innymi rycerzami zasiadać przy wspólnym stole.

Natomiast wywołany przez smoka pożar trwał przez wiele tygodni – a i dziś jeszcze można znaleźć w pobliżu Darzewa zwęglone szczątki drzew, które niegdyś rosły w tym miejscu.



Zagłada starej Łeby

Nieprzebrane masy wody runęły na miasto, rozlały się po okolicy, dosięgły nawet stóp wzgórza, na którym zbici w gromadę ludzie czekali z trwogą w sercach swej ostatniej godziny. Zdawało się, że nic już nie zdoła uratować ich od śmierci.

Stopniowo jednak furia żywiołu słabła. Ustał wicher, przez postrzępione chmury zaczęły przeświecać skrawki błękitu. Morze wróciło w swe dawne łóżysko i stało się znów jak przedtem ciche, spokojne.

Zbliżało się południe. Żar płynął z bezchmurnego nieba, powietrze drgało nad rozpaloną czerwienią murów, aż trudno było oddychać. Ulice miasta, zazwyczaj pełne gwaru, świeciły pustką. Zamknięto sklepy i warsztaty, właściciele gospód beczynnie wysiadali na progach. Tego dnia wielu mieszkańców Łeby wyjechało do Gdańska na doroczny jarmark. Rzemieślnicy powieźli swe najlepsze wyroby, obrotni kupcy korzystali z wyśmienitej okazji napełnienia pustawych już nieco mieszkań, inni zaś tam właśnie mogli nabyć poszukiwane towary, przede wszystkim sieci oraz zawsze potrzebny sprzęt rybacki. Toteż wyjechali o świcie – niektórzy nawet w przeddzień – by zająć na targowym placu co lepsze miejsca.

Dla pozostałych w mieście kobiet był to zwykle dzień wolny od ciągłej krzątaniny. Zrobiły więc szybko porządek w mieszkaniach i obejściach, a następnie zabrały z sobą dzieci i udały się nad brzeg morza, aby nieco odpocząć i pogwarzyć o gospodarskich sprawach. Ucieszone swobodą dzieci zbierały różnokolorowe muszelki albo pluskały się w nagrzanym letnim słońcem wodzie.

I właśnie wtedy, jak grom z jasnego nieba, spadło na nich nieszczęście. Pociemniało nagle, zerwał się gwałtowny wicher i ostrym powiewem wzburzył powierzchnię spokojnej dotąd toni. Rozkołysało się morze, na grzbietach rosnących fal pojawiły się białe pienne grzywy, z oddali zaś dobiegł głuchy przeciągły huk.

Kobiety zerwały się z miejsc, czym prędzej chwyciły dzieci za ręce i pobiegły co sił w nogach, by jak najprędzej schronić się pod zbawczym dachem.

Tymczasem siła huraganu rosła z każdą chwilą. Powietrze wypełnił przejmujący świst,





Zagłada starej Łeby – Hubert Michalski, kl. II, Szkoła Podstawowa nr 4 w Koszalinie

przeplatany odgłosem grzmotów. Tumany sypkiego piasku uniosły się w górę i z niesamowitą szybkością pędziły w kierunku miasta, niszcząc wszystko, co spotkały na drodze.

Ktoś pobiegł do kościoła, by dźwiękiem dzwonów przestrzec mieszkańców okolicznych wiosek przed grożącym niebezpieczeństwem. Nadludzkim wysiłkiem, walcząc z wichurą, udało mu się dotrzeć na miejsce. Zaledwie jednak wdrapał się na schody i dotknął sznurów, wieża runęła z łoskotem i zasypała nieszczęśnika warstwą gruzu. Zerwane wściekłym porywem wichru dzwony uleciały w przestrzeń, niosąc jęklwym głosem żalobną wieść do najdalszych zakątków kraju.



Nagle wiatr jakby trochę przycichł. Strwożeni mieszkańcy Łeby czym prędzej wybiegli z domów i – przedzierając się przez zwały piasku – uciekali w głąb lądu, aby uratować przynajmniej własne życie.

Już wydawało się, że ocalenie jest bliskie. Z najwyższym trudem dotarli do położonego w pobliżu miasta, porośniętego lasem wzgórza, gdzie mieli nadzieję przeczekać nawałnicę, by potem wrócić do domów i usunąć szkody. Próżno jednak wytyżali wzrok – nad miastem unosiła się gruba warstwa wirujących w powietrzu niezliczonych ziarenek piasku, przesłaniając zarysy ulic i kształty budynków.

Lecz oto wicher zawył znowu ze wzmożoną siłą, piekielne moce rozpętały się na nowo. Nieszczęśliwi rozbitkowie ujrzeni nadbiegającą od strony morza, sięgającą po niebo falę, na grzbiecie której unosiła się ogromna skrzydlata łódź.



– Czarny Lewiatan! – rozległy się pełne rozpacz głosy. – Teraz jesteśmy zgubieni!
Tylko po dawnym mieście nie zostało śladu. Ciężar mas wodnych wtłoczył je głęboko w ziemię, reszty zaś zniszczenia dokonały wędrujące piaski. Pozostały jedynie ruiny kościoła – milczący świadek zagłady nadmorskiego grodu.

Dzielni mieszkańcy Łeby nie poddali się rozpacz, lecz zakasali rękawy i natychmiast przystąpili do zakładania nowego miasta, które istnieje do dzisiaj.

A działo się to w 1570 roku, kiedy ziemią pomorską władał sławny ród Gryfitów.



130 | O księżniczkach,
zbójcach,
karzełkach i...



Zagłada starej Łeby

Zaklęta księżniczka

W dawnych, bardzo dawnych czasach wznosił się na Kaszubach bogaty rycerski zamek. Bór go otaczał gęsty i nieprzebyty, mury potężne i baszty wysokie. Komnaty w zamku były pięknie malowane, a w nich sprzęty rzeźbione, na dębowych stołach białe jak śnieg obrusy, srebrne misy i puchary ze szczerego złota, miód przedni i piwa co niemiara. Co dzień ucztę i zabawy napełniały go wesołym gwarem, co dzień w okolicznych borach rozbrzmiewał głos myśliwskiego rogu. Sam książę częstym gościem tutaj bywał.

Nad zamkiem wisiało jednak przekleństwo i ludzka krzywda. Właściciel, człowiek zły i chciwy, gnębił swych poddanych bez litości. Płakali chłopci gorzko, gdy przyszło im dzień w dzień na pańskich gruntach pracować i checze swoje mizerne i dzieci zaniedbywać. A kto nie mógł z powinności się wywiązać, tego zakuwano w żelaza i wtrącano do zamkowych lochów. Przeklinały złego pana kobiety pozbawione mężów, przeklinały dzieci pozbawione ojców. Chłopi zaciskali pięści. Gdzież jednak sprawiedliwości szukać mieli? Przecie za książęcym przyzwoleniem to wszystko się działo. Zanosili tedy modły do niebios.

I oto pewnego dnia na okrutnego pana spadła straszna kara. Przyniósł ją wiatr gorący, co lot jaskółek do ziemi przygina i ludziom ochłody nie daje. Przyniósł ją w samo południe i jakby czarną płachtą okrył nagle błękit pogodnego nieba. Gdzieś blisko uderzył piorun, huk targnął powietrzem, a potem ogniste warkoczce opasały ziemię z jednego krańca na drugi. Zdawało się, że nadchodzi koniec świata.

Trwoga ogarnęła wszystkich ludzi. Porzucili pracę w polu, wyprzęgli woły z pługów i uciekli z pola. Kryjąc się po checzach, patrzyli, co się dzieje. A działy się rzeczy dziwne: żaden piorun nie uderzał w zagrody chłopskie. Wszystkie, jakby ręką kierowane, były w zamek okrutnego pana. Wkrótce rozpostarła się nad nim krwawa łuna, a z okien wypęzły ogniste języki. Poprzez gromoty biegly stamtąd wołania o ratunek.

Pospieszili więc chłopci na pomoc, bo byli to ludzie dobrzy i w chwili nieszczęścia zapomnieli o własnych krzywdach. Nim jednak zdążyli tam dobiec, w niebo wystrzeliły snopy iskier i wśród ogłuszającego huku cały zamek zapadł się pod ziemię.





Zaklęta księżniczka – Amelia Klinowska, kl. II, Zespół Szkół Sportowych w Koszalinie

Minęło wiele lat. Po wspaniałym zamku pozostały tylko ziejące pleśnią jaskinie, wiodące w głąb podziemnych ganków. Starzy ludzie powiadają, że niekiedy wychodziła z nich zaczarowana księżniczka, córka owego okrutnego rycerza i czekała na chłopca, który by ją uwolnił od klątwy za ojcowskie winy. Raz widział ją Radgost, kiedy nocą wracał do wsi. Przechodził akurat obok kościelnego cmentarza, gdy nagle w uchylonej furtce zobaczył jakąś białą postać, zmierzającą jego stronę.

Zatrzymał się nie tyle przestraszony, ile zdziwiony, bo był to chłopak krzepki i bardzo odważny.

– Cóż to za dziewczyna – pomyślał – i czego tu szuka po nocy?

W świetle księżycy ujrzał jej smutną twarz o pięknych, delikatnych rysach. Dziewczyna wyciągnęła do niego obie ręce i odezwała się ciepłym głosem:

– Zechciej mi pomóc, chłopcze!

Radgost domyślał się, kogo ma przed sobą. Aby się jednak upewnić, zapytał:

– Chętnie to uczynię. Powiedz mi jednak, kim jesteś i czego ode mnie potrzebujesz?

– Jestem księżniczką podziemnego zamku – odpowiedziała dziewczyna. – Już po raz trzeci wychodzę na ziemię i czekam na tego, kto wybawi mnie z mocy zaklęcia.

Teraz już Radgost nie miał wątpliwości. Żał mu się zrobiło nieszczęśliwego dziewczęcia, więc zapytał:

– Cóż mam uczynić, aby cię wybawić?

– Weź mnie na ręce i przenieś trzy razy dookoła tej świątyni. Pamiętaj jednak, że nie wolno ci ani razu obejrzeć się za siebie. Jeśli tego dokonasz, będę wybawiona.

Próba ta wydała się Radgostowi śmiesznie łatwa. Nie namyślając się długo, wziął dziewczynę na ręce. Była lekka jak piórko. Odważnie wkroczył przez bramę i szedł wokół kościoła.

Za pierwszym razem nie wydarzyło się nic szczególnego. Wszędzie panowała cisza i tylko żwir skrzypiał pod stopami. Kiedy obchodzili kościół po raz drugi, usłyszał nad sobą jakiś szelest, ale nie zwracał na to żadnej uwagi. Gdy jednak rozpoczął ostatnie okrążenie i już był w połowie drogi, nagle niewidoczna w ciemności gałąź uczepliła się jego ramienia. zaskoczony tym chłopak odruchowo obejrzał się do tyłu.

W tej samej chwili dziewczyna wysunęła mu się z rąk.

– O, chłopcze! – zawołała. – Oto byłeś już blisko celu i jednym nieostrożnym ruchem zniweczyłeś cały swój wysiłek. Teraz już nikt nie uwolni mnie od klątwy!

Powiedziawszy to gorzko zapłakała i znikła sprzed oczu osłupiałego Radgosta.

Odtąd zaklęta księżniczka nie ukazała się już nikomu więcej, a mieszkańcy Budowa powiadają, że w podziemnych lochach jest siedlisko złych duchów. Dlatego boją się tam wchodzić, by nie narażać własnego życia.



NIEBO



PIENKLO

Trzej łebianie u niebieskich bram

Wędrowali trzej łebianie Mleczną Drogą do wrót Niebieskiego Grodu. Mizga, Sendek i Miłobrat, którego za życia Kosym nazywano, jako że od dzieciństwa jednym okiem w bok spoglądał. Otaczała ich jasność chłodna i przenikliwa, w której zahartowani na morzu rybacy czuli się dziwnie nieswojo i z obawą rozglądali się na wszystkie strony.

– Mizga...

– Co?

– Daleko jeszcze?

– Bo ja wiem.

– Mizga, jak myślisz, przyjmą nas do nieba?

– Bo ja wiem.

– Może tam o wszystkim wiedzą?

– Cichaj, głupi! Jeszcze kto usłyszy!

Znowu obejrzeliby się wokoło. Zgromiony Sendek ucichł i tylko szczerzej zapiął kapotę pod szyją, bo mu się zimno zrobiło.

Wkrótce oczom trzech przyjaciół ukazała się złocista brama. Stanęli obok siebie, zdjęli z głów rybackie kaptury i obciągnęli kapoty, żeby się jak najlepiej pokazać. Zastukali w złotą bramę tak donośnie, że aż się echo po całej niebieskiej krainie rozniosło.

Podniósł się ze stołka siwobrody klucznik, który akurat w tym czasie ucinął sobie drzemkę. Przetarł dłońmi zaspane oczy i gniewnie zmarszczył brwi.

– Cóż to za gwałt słyszę pod bramą? – mruknął niezadowolony.

Zadźwięczały klucze u pasa świętego Strażnika, uchyliły się nieco złote wierzeje.

– Cóżecie za jedni? – zapytał, widząc przed sobą trzech chłopów prostych i mocnych jak sosnowe maszty.

– My z Łeby, święty Piotrze – rzekł Mizga, wysuwając się do przodu. – Bardzo prosimy, puść nas do nieba!

Ale święty Piotr nie kwapił się bynajmniej z przyjęciem nowych duszyczek. Jakiś czas



przyglądał się bacznie spalonym przez słońce i wichry twarzom, w których nie dostrzegał śladu pokory. Wreszcie – jakby sobie coś przypomniał – stuknął dłonią w czoło i zawołał:

– Znam ja was przecież, nicponie! Miast uczciwie pracować jak inni rybacy, wyście za życia tylko pili, kłócili się i grali w karty. Nawet nie mogę waszej prośby przedstawić Najwyższemu, boście jeszcze do tego wszystkiego odzierali z mienia rozbiteków morskich. Szukajcie więc dla siebie innego miejsca w wieczności!

To mówiąc, zamknął im bramę przed nosem i podreptał do niedawno opuszczonego stołka.

– Aleśmy się urządzili! – mruknął Sendek zwieszając głowę.

– Co teraz pocniemy? – zawtórował mu Mizga.

– Głupstwa gadacie! – rozgniewał się Miłobrat. – Trzeba zaczynać na nowo!

Spojrzeni po sobie, wciągnęli w płuca zapas powietrza i nagle podnieśli tak głośny lament, że postawili na nogi całe niebo. Liczne zastępy aniołów zbiegły się pod bramę i słysząc co się dzieje, prosiły świętego Piotra, aby ulitował się nad biednymi rybakami.

Długo opierał się Klucznik anielskim prośbom, aż wreszcie uległ i ponownie uchylił bramy niebios.

– Puść nas do nieba, święty Piotrze! – wznieśli łebianie jeszcze głośniejszy lament. – Zobaczysz, że wszystkim będzie z nami dobrze. Potrafimy rozweselić i zabawić każdego z niebiańskich duchów!

Zza pleców Mizgi wystąpił Miłobrat zwany Kosym. Najpierw wywracał oczyma na wszystkie strony, a potem przytknął do ust obie dłonie i naśladował głosy różnych ptaków. Wyglądał przy tym tak pociesznie, że wszyscy aniołowie zanosili się od śmiechu. Świętemu Piotrowi zdumienie odebrało mowę, po raz pierwszy bowiem miał do czynienia z tak osobliwymi duchami. Wreszcie machnął ręką, kiwnął głową i rzekł:

– A niechże was nie znam! Wchodźcie już nareszcie i dajcie mi święty spokój, bo się tu zaraz całe niebo zbiegnie!

Trzej łebianie podskoczyli z radości i natychmiast zniknęli w świetlistej przestrzeni.

W ciągu pierwszych dni zachowywali się całkiem spokojnie. Spacerowali po niebieskich polach, zachwycaли się pięknem obłoków, słuchali anielskich chórów i spoglądali z daleka w jaśniejące promiennym światłem oblicze Stwórcy. Z wolna w ich twardych sercach zaczęła pojawiać się jakaś dobroć, rzewność i inne nie znane dawniej uczucia.

Ale po pewnym czasie to spokojne życie zaczęło ich nudzić. Obrzydły im anielskie pienia, spowszedniały piękne barwy, a od wszechwidzącego oblicza Boga Ojca woleli się trzymać z daleka, żeby się zanadto nie przypominać. Toteż włóczyli się przeważnie po niebiańskich peryferiach, szukając jakiegoś odosobnienia, miejsca, gdzie mogliby sobie przypomnieć ziemskie czasy. W końcu po dłuższych poszukiwaniach odkryli położony na uboczku zakamarek, do którego żaden z aniołów nie zaglądał. Spotykali się tam coraz częściej, przebywali coraz dłużej, aż wreszcie zadomowili się na stałe. Mizga wyciągnął z kieszeni zapomnianą butelkę żytniówki, Sendek zaś talię kart, która przypadkiem ocalała i towarzyszyła mu w ostatniej wędrówce w zaświaty. Nie trzeba było żadnej zachęty. Wszyscy trzej pociągali z butelki, tłukli kartami i przeklinali ile wlezie. Najpierw cicho, potem już śmiało, na cały głos.

Akurat przechodził w pobliżu święty Piotr. Usłyszał soczyste przekleństwa i zatrzymał się zdumiony. Ukryci za chmurką łebianie nie spostrzegli świętego Strażnika i pozwalali sobie co niemiara.



Kiedy święty Piotr zobaczył wreszcie, co się dzieje, najpierw załamał ręce z rozpacz, a potem rozgniewał się nie na żarty.

– Co wy tu wyprawiacie! – zawołał wymachując rękami. – Puściłem was do nieba nie po to, żebyście tutaj swoje ziemskie zwyczaje wprowadzali. Dostyc tego, rozumiecie? Gorszycie mi całe niebo!

Ale trzej kompani mieli już dobrze w czubach i nic sobie nie robili z ostrych słów świętego.

– Nnnnie przeszkadzaj nam, śśświęty Piotrze – bełkotał Kosy – i oodczep się od nas! Mmmmmamy teraz coś innego do roboty, niż słuchanie twego gderania!

Święty Strażnik poczerwieniał z irytacji, słysząc te bluźnierstwa.

– Ja wam... ja wam...! – chwycił w rękę klucze i już chciał nimi zdzielić po głowach niepoprawnych łebian, lecz przestraszył się ich groźnych spojrzeń i zaciśniętych pięści. Wołał tedy ustąpić im z drogi.

Popsuło się wszystko w niebiańskiej krainie.

Znow siedział święty Piotr pod bramą. Podparł rękami skołataną głowę i zgasłym wzrokiem zapatrzył się gdzieś daleko. Miał teraz biedny staruszek zmartwień co niemiara. Lebian robili co chcieli i wszystkie duchy musiały przed nimi uciekać.

– Co ja z nimi pocznę? – biadał zatroskany, lecz nie znajdował sposobu, by się od nich uwolnić.

Wtem ktoś zapukał do wrót. Święty Piotr uchylił je i oto ujrzał przed sobą jakiegoś rybaka stojącego w pokornej postawie.

– Skąd przybywasz? – zapytał.

– Z Łeby, święty Piotrze.

W starego Klucznika jakby grom uderzył.

– Uciekaj mi stąd natychmiast! – krzyknął w zapamiętaniu. – Już trzech twych rodaków mamy tutaj w niebie i więcej jako żywo nie chcemy!

Przybysz wysłuchał cierpliwie słów świętego Klucznika, a kiedy staruszek zakaszłał się w gniewie, rzekł do niego spokojnie:

– Wiem, o kogo chodzi. Jeśli chcesz się ich pozbyć, mogę ci to ułatwić.

– Naprawdę? – zawołał Piotr z nadzieją w głosie.

– Mam na nich sposób niezawodny, wpierw jednak muszę wejść do nieba.

– O, co to, to nie! – zastrzegł się święty.

– Jednakże – nalegał przybysz – musisz mi pozwolić wejść, gdyż od tego zależy wykonanie zamiaru.

Strażnik niebiańskich wrót zastanawiał się przez chwilę. W końcu zdecydował się jednak na próbę.

– Dobrze więc – rzekł – puszczę cię do nieba! Jeśli uda ci się wyprowadzić tych opryszków, zapewnię ci najlepsze miejsce w pobliżu Pana Boga.

Łebianin wszedł przez bramę i stanął pośrodku niebiańskich pól. Przyłożył dłonie do ust i zaczął obracać się na wszystkie strony, wołając głośno:

– Okręt na brzegu! Okręt na brzegu!

Usłyszeli wołanie trzej zajęci grą w karty i wybiegli z zakamarka jak oparzeni.

– Gdzie okręt, gdzie? – pytali, szarpiąc go za ramię.

– Tam! – odpowiedział rybak, wskazując ręką za bramę.



Rzucili się naprzód bez chwili namysłu. Żaden nawet nie obejrzał się za siebie. Skorzystał z okazji święty Piotr i natychmiast zamknął za nimi złote wierzeje. A ponieważ wiedział już, do czego niepoprawni łebianie są zdolni, przeto na wszelki wypadek podparł jeszcze bramę od wewnątrz.

– Już teraz nie dadzą rady! – mruknął sapiąc z wysiłku.

Zbyt późno spostrzegli trzej kompani, że wyprowadzono ich w pole. Próżno kołatali do niebiańskich wrót, przyrzekali poprawę i wznosili głośny lament. Święty Piotr był nieczuły i na ich prośby, i na przekleństwa. Z opuszczonymi tedy głowami musieli powędrować tam, gdzie na nich już od dawna czekano.



Diabeł powsinoga

Mieszkańcy Rowów mieli z nim prawdziwe utrapienie. Ciągłe włóczył się po okolicy, plądrował przystań, darł żagle na masztach albo ścigał z łowisk zastawione pławnice. Kiedyś podczas sztormu poprzecinał wszystkie cumy i potem rybacy przez kilka dni szukali swych łodzi po całym wybrzeżu. Innym razem ukrył się w piasku na wydmach i czekał chwili, kiedy będą wracali z połowów. Wtedy dmuchnął tak potężnie, że zapędził ich daleko w morze. Po wielogodzinnej walce z żywiołem udało się wreszcie rybakom dobić szczęśliwie do brzegu, lecz cały połów przepadł. Dobrze, że się na tym skończyło!

Poszli więc któreś niedzieli do starego Kirka, żeby się naradzić i wspólnie znaleźć sposób na pozbycie się niebezpiecznego złośliwca. Dumali, radzili przez wiele godzin, lecz nic nie wymyślili.

– Sprawa jest trudna – rzekł wreszcie Kirk, który przez cały czas nie odzywał się, tylko słuchał uważnie. – Wiele już lat żyję na świecie, ale o taki diabła jeszcze nie słyszałem!

– Bo to on inny niż wszystkie? – zapytał powątpiewająco jeden z rybaków.

– ...Każdy diabeł – ciągnął Kirk nie zważając na pytanie – idzie między ludzi po to, żeby schwytac w sidła kogoś nieostrożnego, a potem jego duszę zaprowadzić do piekieł. Ten zaś nikogo nie namawia ani nie kusi, tylko ludziom dokucza.

– Jakiś głupi diabeł...!

– Głupi, nie głupi – trudno zgadnąć, o co mu chodzi. Trzeba zaczekać, nie ma innej rady. Może uczyni coś takiego, co nam otworzy oczy!

Okazja nadarzyła się wkrótce. Było to przed Wielkanocą. Mieszkańcy Rowów czynili przygotowania do świąt, co zamożniejsi bili wieprze i przyrządzali wędliny. Lecz oto pewnej nocy ktoś zakradł się do komina w Kirkowej checzy i zjadł świeżo uwędzoną szynkę. Na sznurku została tylko ogryziona kość. Podobna szkoda spotkała również innych gospodarzy. Od razu było wiadomo, że to nowa sprawka Złego.

Ponownie zebrali się na radę, wzburzeni i gniewni.

– Tak dalek być nie może – mówili jeden przez drugiego. – Trzeba coś zaradzić!





Diabeł powsinoga – Milena Waroch, kl. III, Szkoła Podstawowa nr 7 w Koszalinie

Ale i tym razem Kirk nie odezwał się słowem. Powoli milkł gwar. Wszyscy zwrócili się w jego stronę. On zaś – opierając się na łokciach – siedział za stołem i długo medytował. W końcu podniósł głowę i rzekł:

– Zdaje się, że znalazłem sposób!

W izbie zrobiło się cicho, jak makiem zasiał.

–... Ten nasz diabeł to jakiś głodomór albo nielada obzartuch! Myślę, że powinniśmy podłożyć mu od czasu do czasu coś do jedzenia. Wtedy przestanie nam płatać figle.

Z początku wszyscy przyjęli Kirkową radę z powątpiewaniem, ale po namyśle zdecydowali się wypróbować ten sposób. Przygotowali więc w pobliżu przystani ukryty schowek i tam co noc zostawiali już to krążek kiełbasy, już to miskę gotowanej kaszy lub innego jada.

Sposób okazał się niezwykle skuteczny. Najedzony diabeł zakopywał się w nadmorskim piasku i przesypiał cały dzień oraz noc – budząc się tylko wówczas, kiedy odczuwał głód. O dokuczaniu ludziom lub też polowaniu na ich dusze całkowicie zapomniał.

Lenistwo diabła rozgniewało w końcu władcę podziemnej krainy, groźnego Lucyfera. Wezwał go więc do siebie – a kiedy wystraszony diabeł stawiał się przed obliczem swego pryncypała, ten zagrzmiał:

– Dość mam już twych głupich wybryków! Widzę, że się od dawna zaniedbujesz i zamiast wykonywać co do ciebie należy, obżerasz się jadem, które ci ludzie znoszą!

– Ja... ja... – jękał się obwiniony – będę...

– Milcz! – wrzasnął Lucyfer. – Jeśli w najbliższym czasie nie dostarczysz mi tutaj duszy któregoś rowianina, wtedy sprawię ci taką łaźnię, że popamiętasz!

Diabeł zwinął się w kłębek u stopni piekielnego tronu i przyrzekł, że uczyni wszystko, by dotychczasowe niedbalstwo naprawić.

Po wyjściu na ziemię zabrał się energicznie do dzieła – zrozumiał bowiem, że z Lucyferem nie ma żartów. Stał nad brzegiem morza, nadął się jak potworna bania i wywołał taką wichurę, jakiej nie pamiętali najstarsi mieszkańcy Rowów. Zamknęli się więc w domostwach i z trwogą wyglądali przez okna. Niebo zasnuły ciężkie chmury, z oddali dobiegał szarpany wichrem grzmot morskich fal.

W nocy obudził wszystkich głośny trzask. Nie wiedzieli, co oznacza – bali się jednak wyjść na dwór, ponieważ dookoła panowały nieprzeniknione ciemności i można było zginąć bez szansy ratunku.

Ranikiem burza uspokoiła się zupełnie. Ustało wycie wichru, zamilkło morze, przez postrzępione jak zleżałe płótno chmury zaczęły przeświecać skrawki błękitnego nieba. Wyszli więc rowianie nad brzeg Łupawy, gdyż w tamtej stronie słyszeli nocą ów głośny trzask. Wtedy dopiero ujrzeli obraz zniszczenia. Most, który ponad korytem rzeki łączył osadę z położoną na drugim brzegu przystanią, już nie istniał. Nawałnica wyrwała z dnia grube dębowe słupy



i wyniosła je gdzieś daleko w morze. Tu i ówdzie leżały wyrzucone przez wodę resztki desek, stanowiących przedtem nawierzchnię mostu.

Pełni zmartwienia ludzie stali na brzegu z opuszczonymi głowami.

– Cóż teraz pocznjemy? – rzekł jeden z rybaków.

– Ano, trzeba nam będzie zabrać się do odbudowy. Nie ma innej rady! – odpowiedział drugi.

– Skąd weźmiemy materiał? Najtrudniej będzie ze słupami...

– Nawet jeśli wszyscy weźmiemy się do roboty, to i tak prędzej niż za pół roku mostu nie zbudujemy!

Tak oto biedni rybacy szukali jakiegoś wyjścia z niewesołej sytuacji. Nagle spostrzegli obcego człowieka, który szybkim krokiem zdążył w ich kierunku.

– Któż to może być? – zastanawiali się, nie umieli jednak znaleźć odpowiedzi. Nikt nie znał tego człowieka.

Po chwili nieznamy znalazł się obok. Najpierw grzecznie pozdrowił zebranych, a następnie zaczął pilnie oglądać uszkodzenia. Obserwowali go w milczeniu.

Po jakimś czasie obcy przerwał oględziny i zwrócił się do rybaków:

– Widzę, że macie nie lada zmartwienie!

– Ano, mamy... – mruknął ktoś z boku.

– Jeśli chcecie, mogę wam ten most bardzo szybko odbudować – rzekł obcy, uśmiechając się zagadkowo.

Spojrzeni na niego z zainteresowaniem nie pozbawionym odrobiny nadziei.

– Jakże to uczynisz? Skąd weźmiesz drewno na budowę i ludzi do roboty? A przede wszystkim czy potrafisz? – padały zewsząd natarczywe pytania.

Nieznamy roześmiał się w głos.

– Moja w tym głowa! – odpowiedział.

Zaczęli naradzać się między sobą. W końcu doszli do przekonania, że przecież niczym nie ryzykują, przyjmując pomoc obcego człowieka. Może on rzeczywiście rozwiąże ich kłopoty?

– Zgadamy się! – oświadczył jeden z rybaków. – Powiedz nam tylko, jakiej zapłaty żądasz za wyświadczenie tej usługi?

– O, bardzo niewiele! – odparł zagadnięty. – Jutro budowla będzie gotowa, natomiast jako zapłatę zabiorę sobie pierwszego, kto wejdzie na ten most!

Wówczas zgromadzonych opanowało przerażenie. W jednej chwili domyślili się, że oto mają przed sobą diabła we własnej osobie.

Teraz jednak zabrał głos doświadczony Kirk. Wsunął się przed innych i rzekł::

– Zgoda! – Zabieraj się do roboty, a jutro rano, kiedy zobaczymy gotowy most, otrzymasz żadaną zapłatę.

– Doskonale! Trzymam za słowo! – zawołał ucieszony diabeł. Jeszcze raz uklonił się wszystkim i zniknął w pobliskim lesie.

Po odejściu diabła stropieni rybacy kołem otoczyli starego.

– Przyrzekliście, Kirku, w naszym imieniu spełnienie żądania, które postawił Zły. Jakże to uczynicie? Chyba sami jako pierwszy wejdziecie na most!

Ale Kirk uśmiechnął się i przymrużył oko.

– Jak zrobię, to już moja sprawa! – odparł. – Wy się nie martwcie, wszystko skończy się dobrze. Razem zbierzemy się tu jutro rano, teraz zaś niech każdy idzie do domu. Nie mamy nic więcej do roboty.



Przestali więc pytać starego, ponieważ znali go od dawna i wiedzieli, że nie mówi na próżno. Toteż – słuchając jego rady – rozeszli się do domów.

Tej nocy nikt z mieszkańców Rowów nie mógł zasnąć. Nazajutrz, skoro świt, wszyscy wraz z rodzinami pobiegli nad Łupawę. Stanęli zdumieni, widząc nowiusienki most, przerzucony przez rzekę. Pełni obawy trzymali się jednak z daleka i pilnie uważali na dzieci, by któreś z nich przypadkiem nie wbiegło na most. Z niecierpliwością czekali na przybycie Kirka, który jakoś długo się nie zjawiał.

– Patrzcie no ludzie! Widzieliście coś takiego? – odezwało się nagle kilka kobiecych głosów.

Wszyscy obejrżeli się za siebie. Od strony wsi zdążył Kirk, pędząc przed sobą starą świnię uwiązaną na postronku. Zwierzę szarpało się i nieustannie odbiegało w bok, zdradzając najwyraźniej chęć powrotu do chlewa. Widok był tak pocieszny, że ludzie wybuchnęli śmiechem.

Tymczasem diabeł schował się w wodzie i czekał cierpliwie, kiedy wreszcie usłyszy odgłos kroków dudniących po moście. Był przekonany, że tym razem wykona zadanie i oczyści się z zarzutów swego pryncypała.

Nad brzegiem rzeki świnia odmówiła posłuszeństwa. Wszystkimi nogami zaparła się w ziemię, kwiczała i w żaden sposób nie chciała ruszyć z miejsca. Jednakże rybacy, którzy już zrozumieli, o co Kirkowi chodzi, pospieszyli mu z pomocą. Mimo to z największym trudem udało im się wepchnąć świnię na most.

Nagle zwierzę kwiknęło przeraźliwie i raptem znikło im z oczu. W tej chwili rozległ się pod mostem głośny plusk. Kirk wyprostował się wówczas i rękawem koszuli otarł pot z czoła.

– Już po wszystkim! – rzekł do rybaków. – Teraz możemy śmiało wejść na most.

Ruszył pierwszy, a za nim inni, choć jeszcze z pewną obawą. Tam, gdzie zapadła się świnia, widać było w moście dużą dziurę, pod którą Łupawa toczyła swe spokojne wody.





Tajemnica czarnej wody

Hej, chłopcze, a dokąd to?

Zatrzymał się pośrodku drogi i spojrzał w stronę skąd padło pytanie. Na miedzy, rozdzielającej łąny dojrzałego zboża, siedziała grupa żniwiarzy. Kosy leżały obok – oni zaś trzymali w dłoniach pajdy razowego chleba i popijali mleko, które hoże dziewczęta rozlewały z dzbanków.

– Boże pomagaj! – odpowiedział pozdrowieniem, jak to było w zwyczaju. – Do Głównicy idę.

– Na żniwa?

– E. nie...! Kościół maluję.

Spojrzeni na niego z ciekawością.

– Więc ty jesteś malarzem, który maluje nasz kościół?

– Ja.

– Oglądaliśmy twoją pracę w niedzielę. Podoba nam się. Widać, że znasz swoje rzemiosło, choć jesteś młody.

Malarz uśmiechnął się z zadowoleniem.

– To jeszcze. nic – odpowiedział. – Zobaczycie, gdy skończę swą pracę. Ale teraz muszę już iść, robota czeka. Bywajcie!

Odszedł już spory kawałek drogi. Słonko przygrzewało, malarz poczuł pragnienie – jednakże nie chciało mu się wracać do żniwiarzy i prosić o kubek mleka. Droga biegła akurat przez szczyt pagórka rozejrzał się więc po okolicy i oto dostrzegł w pobliżu niewielki staw, ukryty wśród łąnów zboża. Nie namyślając się, postanowił tam pójść.

Obok stawu biło źródelko, zasilając go czystą jak kryształ wodą. Malarz klęknął na brzegu, pochylił się nad lustrem i pił, czerpiąc dłońmi orzeźwiający napój.

Kiedy ugasił pragnienie, podniósł się z kolan i w tej chwili ujrzał jakiegoś mężczyznę, który siedział na kamieniu niedaleko brzegu i przyglądał mu się uważnie.

Był to jakiś dziwny człowiek. Mimo upału siedział owinięty w długą brunatną opończę



– na głowie zaś miał kapelusz z szerokim rondem, spod którego połyskiwało dwoje czarnych jak węgiel oczu. Jego podobne do wzroku jastrzębia spojrzenie oraz wyostrome rysy twarzy miały w sobie coś odpychającego.

– Ki diabeł...? – pomyślał młody malarz. Czuł się zaskoczony i nie wiedział, co właściwie powinien uczynić: zachować się spokojnie czy zmykać natychmiast.

Po chwili nieznajomy wyciągnął rękę, wskazał miejsce przy sobie i rzekł krótko:

– Siadaj!

Jakkolwiek obcy człowiek nie okazywał wobec niego wrogich zamiarów, to jednak malarzowi nie podobał się ani on sam, ani też jego rozkazujący ton.

– Po co? – zapytał.

– Usiądź, proszę, obok mnie! – tym razem głos nieznajomego brzmiał znacznie łagodniej. – Chciałbym z tobą pomówić o pewnych sprawach.

Malarz wzruszył ramionami, nie domyślał się bowiem celu tej rozmowy – niemniej jednak spełnił życzenie i usiadł na trawie. W jednej ręce trzymał woreczek, z którego wystawały końce owiniętych szmatką pędzli.

– Wiem, że jesteś malarzem... – zaczął nieznajomy, patrząc gdzieś przed siebie.

– Przecież mnie nie znasz! – przerwał zdziwiony młodzieniec.

– Wiem o wszystkim – odparł tamten. – Teraz malujesz kościół w Głównycach, później może przeniesiesz się gdzie indziej. Spod twego pędzla ukazują się wdzięczne twarze aniołów i świętych. Proszę cię, nie maluj mej postaci tak odrażająco, jak to czynią inni.

Młodzieńcowi zaczęło coś świtać w głowie.

– Kimże więc jesteś? – zapytał.

– Czyżbyś się jeszcze nie domyślił?

Teraz dopiero wszystko stało się jasne: malarz zrozumiał, że oto ma obok siebie Złego we własnej osobie. Z początku opanował go strach – ponieważ jednak diabeł nadal nie zdradzał wrogich zamiarów i raczej prosił niż żądał, przeto zrezygnował z ucieczki, która i tak nie przyniosłaby rozwiązania.

– No, dobrze – odparł. Powiedz mi jednak, dlaczego miałbym namalować cię w innej postaci?

Diabeł rozejrzał się wokoło, jak gdyby chciał sprawdzić, czy nikt ich nie podsłuchuje, a potem szepnął:

– Uczyni, o co cię proszę, a wówczas nie pożałujesz. Staniesz się sławny, bogaty, wszyscy będą zazdrościć ci powodzenia. Spełnię każde twoje żądanie!

Młodzieniec zastanawiał się przez dłuższy czas, jakiej udzielić odpowiedzi. Wykonać jego prośby nie zamierzał, a odmawiać w tej chwili nie chciał, żeby nie ściągnąć na siebie jakiegoś nieszczęścia.

– Pomyślę nad twoją propozycją – odparł wreszcie. – Spotkamy się tu za miesiąc o tej samej godzinie i wówczas dowiesz się, co z tego wyszło.

– Zgoda! – ucieszył się diabeł. – Stawię się punktualnie!

Malarz pracował bez wytchnienia. Już wczesnym rankiem można go było ujrzeć na rusztowaniach, z których schodził tylko na chwilę, żeby spożyć posiłek. Kończył wielki obraz



przedstawiający Sąd Ostateczny. Z jednej strony unosiły się wśród obłoków zastępy aniołów, śpiewających hymn szczęścia i radości. W tym kierunku zdążali sprawiedliwi, ubrani w białe powłóczyste szaty, zapatrzeni w niebo.

Po drugiej stronie obrazu czerniała otchłań. Tę część obrazu zostawił malarz na sam koniec. Zamknął się wówczas w kościele i nie pozwalał nikomu wejść do środka. Próżno ciekawscy dobijali się do drzwi, chcąc śledzić postępy jego pracy.

– Nie przeszkadzajcie mi teraz! – odpowiadał na liczne nagabywania mieszkańców Głównicy. – Zobaczycie obraz, kiedy już będzie całkiem ukończony.

W końcu nastąpił uroczysty moment. Opadły rusztowania zasłaniające obraz. W miejscu, gdzie malarz namalował otchłań, ludzie ujrzeli straszliwą poczwarę, wyciągającą niezliczone macki po dusze potępionych. Widok był tak przerażający, że wszyscy odwracali głowy, dzieci zaś ukrywały twarze w fartuchach matek. Nawet proboszcz czuł się nieswojo i prosił malarza, by zechciał złagodzić nieco obraz piekła, gdyż inaczej ludzi z kościoła wystraszy.

Malarz poprosił księdza o chwilę rozmowy na osobności i wyjaśnił mu powód, dlaczego tak właśnie uczynił. Przynależał też poprawić obraz – lecz prosił, by do tego czasu drzwi kościoła pozostały stale otwarte.

– Uczynię, jak sobie życzysz – zgodził się proboszcz. – Strzeż się tylko, chłopcze, bo z diabłem żartów nie ma!

Umówionego dnia o oznaczonej godzinie malarz przyszedł na spotkanie z diabłem. Zastał go już na miejscu, siedzącego na kamieniu... Wokoło panowała cisza, nietknięte jeszcze kosą zboże zasłaniało brzegi stawu.

– Jestem! – rzekł malarz, stając za jego plecami.

Diabeł zerwał się jak oparzony.

– Czy spełniłeś moją prośbę? – zapytał niecierpliwie.

– Idź i zobacz!

– Przecież nie wejść do kościoła!

– Nie potrzebujesz. Drzwi są otwarte, możesz zajrzeć do środka.

Diabeł pobiegł natychmiast w kierunku Głównicy. Tymczasem malarz ukrył się w zbożu i czekał, co się stanie. Oczywiście wyobraźni widział już minę diabła, gdy ujrzy swa podobiznę. Na myśl o tym ogarniał go śmiech, lecz jednocześnie obawa, czy nie zaryzykował zbyt wiele.

Tymczasem Zły podkraść się niepostrzeżenie w pobliże kościoła. Stąpał jak po rozżarzonych węglach, gdyż poświęcona ziemia kłuła go niemiłosiernie w stopy. Zaciskając zęby, dotarł do drzwi i ostrożnie zajrzał w głąb nawy.

Nagle ujrzał obraz sądu ostatecznego, na nim zaś swoją podobiznę. Oczy wyszły mu na wierzch, chwycił się za głowę i jak szalony popędził z powrotem. Mieszkańcom Głównicy wydawało się, że nagły huragan przeleciał ulicami, zrywając poszycie dachów.

Młodzieniec czekał cierpliwie. Wtem ujrzał z daleka pędzącego diabła. Rozwiana opończa unosiła się za nim jak potworny ogon. Malarzowi serce zamarło ze strachu.

– Zginąłem! – pomyślał.

Nagle diabeł uniół się wysoko w górę i z niesamowitą szybkością pomknął w stronę stawu. Tutaj rzucił się w głąb, aż woda wystąpiła z brzegów. Potem wszystko ucichło.

Od tego czasu w stawie jest czarna jak sadza. Nigdy też nie zamarza, nawet podczas najsroźszej zimy – a to dlatego, że mieszka w niej diabeł i czeka na innego malarza.



Spis treści

	Słowo wstępne	3
	Upiór z Suchej	5
	Wróżba Swantewita	9
O zbójcach z Góry Chełmskiej i mosiężnym rogu	15	
	Skarby podziemnego zamku	21
O dobrych karzełkach znad brzegów Jamna	25	
	Nocna przygoda drwala Marcina	29
Jak rycerz Bonin diabłu duszę zaprzedał	33	
	Porwanie księcia	37
	Sąsiedzka waśń	43
	Spór o graniczną miedzę	45
	Smutna opowieść o rycerzu Bulgrinie	49
	Kamień szczęścia	53
O złych wrózkach i cudownym źródleku	57	
	O kamienistym polu Mateusza	61
O tym, jak chłopcy z Sianowa kąpali się w rzece	63	
O dwóch braciach rycerzach i ich niesławnej śmierci	67	
	Lestek na królewskim dworze	71
	Fałszywa karta	77
	O Rostku, co służył u Olbrzyma	81
O pięknej Grzymisławie z drahimskiego zamku	87	
	Swawolne karzełki znad jeziora Lubie	91
	Niewidzialna pomoc	95
	Czarodziejski ptak	101
	Kłęska Belbuka	107
	Zaraza w Połczynie	111
Jak szewc z Nielepu diabłu buty szył	115	
	O uciekających dzwonach	119
O siedmiu Olbrzymach i ognistym smoku	123	
	Zagłada starej Łeby	127
	Zaklęta księżniczka	131
Trzej łebianie u niebieskich bram	135	
	Diabeł powsinoga	139
	Tajemnica czarnej wody	145

sponsorzy





Gracjan Bojar-Fijałkowski

urodził się w roku 1912 na Kujawach. Tradycje wojskowe w rodzinie, utrwalone udziałem starszych braci w walkach o niepodległą Polskę, zdecydowały o wybraniu podobnej drogi życia. Gdy zatem wybuchła II wojna światowa, Gracjan Bojar-Fijałkowski brał w niej udział już jako wyszkolony oficer Wojska Polskiego, a później partyzant Armii Krajowej. Za tę działalność został aresztowany i osadzony w hitlerowskim obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, a następnie innych obozach zagłady.

Te przeżycia mocno zaważyły na jego późniejszej twórczości literackiej, a także naukowej. Wiele jednak uwagi pisarz poświęcił dziejom Pomorza Zachodniego, gdzie mieszkał od 1958 roku. Działalność ta miała charakter pionierski, jako jedyny bowiem Gracjan Bojar-Fijałkowski sięgnął już przed tyłu laty do słowiańskiej przeszłości tego obszaru, a owe fascynacje zaowocowały wieloma legendami i podaniami wywodzącymi się z kultury ludu pomorskiego.

Jego zbiory legend doczekały się kilkunastu wydań i wciąż cieszą się dużym powodzeniem u czytelników. Uczą one patriotyzmu, rozwijają wyobraźnię i przybliżają przeszłość Pomorza Zachodniego.

Gracjan Bojar-Fijałkowski zmarł w 1984 r.

dr Anna Bojar - Fijałkowska

